

Powstanie warszawskie
podzieliło „polski Londyn”

Prof. August Grabski
PRL – wielki skok cywilizacyjny

Ryszard Strzelecki-Gomułka
Jak wyjść z cienia ojca

Prof. Łukasz Łuczaj
Seks na łonie natury



CZY POLAK MOŻE BYĆ OPTYMISTĄ?



Jesienne Targi Książki

8-10 września 2023

plac Defilad przed Kinoteką,
od strony Al. Jerozolimskich



historiaikultura.pl

organizator



patronat honorowy



patronat medialny



eprasa.pl ba20d7c192



Silni na pokaz

Czy czujecie się bezpieczni? To pytanie do Czytelników. Nie-przypadkowe, bo w rozmowach telefonicznych, które prowadzę z darczyńcami, prawie zawsze słyszę: „Panie redaktorze, czy jesteśmy bezpieczni? Czy Polska jest bezpieczna?”.

Skończyły się lata bez troski. Długo nie musieliśmy myśleć o tym, czy zagraża nam wojna. My nie musieliśmy. Ale rządzący powinni. Po to bierze się władzę, by społeczeństwu zapewnić podstawowe warunki do życia. Bezpieczeństwo należy do tych z najwyższym priorytetem.

Co mamy po ośmiu latach rządów PiS? Defiladę, którą chce się przykryć golizną armii. Wojsko nie ma broni, bo wyjechała na wschód. A ta, którą chwali się minister Błaszczak, dopiero ma być. Chaotyczne zakupy za gigantyczne pożyczki, które będziemy spłacać przez wiele lat, ośmieszają rząd. I kompromitują podpisujących się pod nimi wojskowych.

Ile różnych marek czołgów może kupić taki kraj jak nasz? Ile trzeba będzie później wydać na logistykę, szkolenia i remonty? Mówią o tym wojskowi, ale po cichu. Bojaźliwy wojskowy to efekt spustoszenia, jakiego wśród wyższych oficerów dokonał były minister obrony Antoni Macierewicz. PiS udaje, że nie było takiego etapu. A przecież ten kustosz bredni o zamachu smoleńskim był jak operator kosiarki. Wykosiał co zdolniejszych generałów i pułkowników. Awansowali ci, co najgłośniej trzasnęli obcasami. I ci, nad którymi parasol trzymają Amerykanie. Zgłiszczą po Macierewiczu próbuje kłajstrować Błaszczak, ale jakie ma efekty, każdy widzi. Nie ma tygodnia bez grubej wpadki. Znalaziona pod Bydgoszczą rakietą. Białoruskie śmigłowce

Dzięki wsparciu finansowemu Czytelników szykujemy kolejne numery tygodnika. Dziękuję za ogromną życzliwość, wiele dobrych słów i przelewów. Zgodnie z obietnicą rozmawiam z tymi darczyńcami, którzy podają numery telefonów. Trochę to potrwa, bo lista jest długa. Proszę o dalsze wpłaty na:

Fundacja Oratio Recta

ul. Inżynierska 3 lok. 7, 03-410 Warszawa

Nr konta: 72 1090 2851 0000 0001 2023 9821

z dopiskiem: „Darowizna na rzecz PRZEGLĄDU”

nad Białowieżą. I ostatnio zapalnik pocisku zagubiony gdzieś w okolicy Puszczy Białowieskiej.

Czy Polacy bombardowani takimi komunikatami mogą czuć się bezpieczni? Władza też nie pomaga w odpowiedzi. Albo straszy wagnerowcami, którzy czyhają za granicą, albo przeży muskuły i zapewnia, że kontrolę ma nad wszystkim.

Jeszcze gorzej niż ze stanem uzbrojenia armii jest z tym, co dotyczy strategii obronnej państwa. Mamy wojnę propagandową z Niemcami już o wszystko. Wojnę z Czechami o Turów. Coraz gorsze relacje z Ukrainą. I USA jako jedyne go sojusznika. Daleko. Z własnymi interesami. My jesteśmy potrzebni Amerykanom tylko doraźnie.

Sytuacja coraz bardziej przypomina tę z 1939 r. Wówczas marni politycy też przeżyli muskuły. Mieliśmy nie oddać ani guzika. A jak się skończyło?



**PRENUMERATA
POCZTOWA
PRZEGLĄDU**

**PŁAĆ MNIEJ
I OSZCZĘDZAJ!**

**Jeden egzemplarz
w prenumeracie 7,50 zł**

**Zamówienia można składać
do 25 sierpnia 2023 r.**

97,50 zł – IV kwartał

**We wszystkich placówkach
pocztowych na terenie kraju
lub u listonoszy
albo drogą elektroniczną
pod adresem:
prenumerata.poczta-polska.pl**

W NUMERZE

WYBORY 2023

- 8** Wyborcy przesunęli się na lewo,
politycy poszli za nimi
Mapa wyborów 2023

KRAJ

- 10** Chaos w lodziarni na Chmielnej
Konkurs „Szybka ścieżka”
i kłopoty z prawem
- 14** Czy Polak może być optymistą
Optymizm pomaga przetrwać
- 17** Szarlataneria optymizmu
– rozmowa z prof. Wojciechem Kuleszą
- 44** Ciąża. Piąty tydzień
Matki a przemoc

HISTORIA

- 20** Kompromis ze Stalinem?
Jak powstanie podzieliło „polski Londyn”
- 30** Ryszard Strzelecki-Gomułka:
jak wyjść z cienia ojca?
Swoje miejsce znalazł
w handlu zagranicznym

OPINIE

- 24** August Grabski
Polska Ludowa – przeszłość i wyzwanie
- 26** Piotr Kimla
Amerykańskie impresje

ZAGRANICA

- 36** Przestępcze migracje
Polak dobry na nagłówki
- 38** Czekoladowa wycinka
W Afryce zwiększa się
produkcja ziaren kakaowca
- 41** Piłką po piasku
Arabia Saudyjska bezczerpi futbol
- 58** Białe-błękitne wrota Sahary
Wakacje w Tunezji

KULTURA

- 48** Ważna postać epizodyczna
Jak Pies z Korą
- 51** Qulturalia
- 66** Inkografie. Prace na papierze

OBSERWACJE

- 52** (Za)kochajmy się w naturze!
– rozmowa z dr. hab. Łukaszem Łuczajem
- 56** Matematyka słonecznika
Kwiaty inne niż wszystkie

FELIETONY I KOMENTARZE

- 3** Jerzy Domański
Silni na pokaz
- 13** Jan Widacki
Defilada, defilada
- 19** Andrzej Romanowski
Henryk Siewierski
- 29** Roman Kurkiewicz
Listki figowe fruną w kosmos
- 35** Tomasz Jastrun
Hieny i szakale
- 55** Wojciech Kuczok
Prawdopodobnie Szatan



44

KRAJ

**CIĄŻA.
PIĄTY TYDZIEŃ**
Matki a przemoc



56

OBSERWACJE

MATEMATYKA SŁONECZNIKA

Kwiaty inne niż wszystkie



58

ZAGRANICA

BIAŁO-BŁĘKITNE WROTA SAHARY

Wakacje w Tunezji

Projekt okładki: Iza Mierzejewska

FOT. ANDRZEJ IWAŃCZUK/REPORTER, TOMASZ JEDRZEJOWSKI/REPORTER,
WOJCIECH STRÓZYK/REPORTER, PIOTR MOŁĘCKI/EAST NEWS,
TOMASZ JASTRZĘBOWSKI/REPORTER





f Misjonarz

W wywiadzie z Mariuszem Urbankiem czytam: „»Przekrój« był redagowany dla nowej inteligencji, dopiero tworzącej się w kraju, którego przedwojenna elita zginęła albo została na Zachodzie”. To powtarzana od lat dezinformacja. Owszem, część elity zginęła, ale spora część się uratowała. W powojennych liceach i na uczelniach było wielu nauczycieli i profesorów z Polski przedwojennej. Miałem takich nauczycieli w liceum, miałem kilku lwowskich i wileńskich profesorów podczas studiów na Uniwersytecie Wrocławskim. Wspomniany Marian Eile wyrastał przed wojną, przed wojną wyrastała część jego współpracowników.

Andrzej

Ja „Przekrój” dostałem kiedyś jako 14-latek w prezencie od dziadka. Wtedy co najwyżej mogłem kartkować strony i się uśmiechać. Myślę, że to jest coś, czego nikt nam nie odbierze. Różnorodne teksty, dużo intelektu i ukrytych treści. Później Piotr Najstubb zrobił z „Przekrojem” coś strasznego. Cała spuścizna poszła na zmarnowanie. „Przekrój” to dla mnie tematyka daleka od tego, co widoczne na pierwszy rzut oka, szukanie w tekstach drugiego dna, krzyżówki i abstrakcyjne poczucie humoru.

Kamil



f Polityka 2023 – Twitter i festyny

Nowy język komunikacji. Najpierw znaczna redukcja treści i coraz większe spłykanie przekazu. 150 znaków, memy, tweety, w końcu będzie

bełkot pokolenia Twittera. Co dalej? Zaczniemy gulgotać? Tusk – mistrz gulgotania.

Paweł Stawicki

f Bunt Polek – nie chcą mieć dzieci

Raz piszecie, że Ziemia jest przeludniona, a innym razem, że w Polsce rodzi się zbyt mało dzieci. Polska leży na Marsie?

Krystyna Urbańska

Na decyzje kobiet o macierzyństwie wpływ ma na pewno kilka czynników. Po pierwsze – strach przed tym, że jeśli płód będzie uszkodzony, to kobieta będzie zmuszona urodzić, co może być zagrożeniem jej życia. Po drugie – strach przed poważną chorobą dziecka, jego przedwczesnym pochowaniem lub wychowywaniem dziecka niepełnosprawnego przy symbolicznej pomocy państwa. Po trzecie – brak stałej i dobrze płatnej pracy oraz kosmiczne ceny mieszkań. Po czwarte – chore kryteria w postępowaniach rekrutacyjnych do żłobków lub przedszkoli, które dają lepszą pozycję niepracującym wielodzietnym rodzicom, zamiast pomagać tym, którzy pracują.

Michał Czarnowski



Dramatem jest powoływanie dziecka na taki świat, w którym będzie mu potem bardzo ciężko żyć, a nie rezygnowanie z rozmnażania się. Swoją drogą, demografowie, zamiast załamywać ręce, też mogą postarać się o zwiększenie wskaźnika dzietności.

Małgorzata Kulczyk

ZDJĘCIE TYGODNIA

Co najmniej 30 osób zginęło w wypadku pociągu, który wykoleił się w południowym Pakistanie. W lokalnych szpitalach ogłoszony został stan wyjątkowy ze względu na dziesiątki rannych. Nawabshah, 6 sierpnia 2023 r.



15 października czekają nas wybory do Sejmu i Senatu. A może i pytania referendalne.

Piła straciła posła, ale pacjenci zyskali trochę spokoju. **Premier odwołał ministra zdrowia Adama Niedzielskiego.** Za całokształt. Ostatni jego wpadką było ujawnienie, że krytycznie wypowiadający się lekarz wystawił sobie receptę na leki psychotropowe i przeciwbólowe. **Nowym ministrem została Katarzyna Sójka,** posłanka PiS.

Receptą na braki kadrowe wśród medyków mają być **nowo otwarte kierunki kształcenia lekarzy:** w **Nowym Sączu, Nowym Targu, Elblągu, Płocku i Kaliszu.** Zastrzeżenia zgłosiły m.in. Naczelna Izba Lekarska i Konferencja Rektorów Akademickich Uczelni Medycznych. We wrześniu zobaczymy, kto chce studiować na tych nowych uczelniach.

Długi szpitali wzrosły z 11 mld zł w 2015 r. do **20 mld zł** w 2022 r. Tylko w ostatnim kwartale zwiększyły się o 1,1 mld zł.

Według danych Głównego Inspektoratu Ochrony Środowiska w Polsce jest **768 nielegalnych składowisk odpadów.** W 231 są materiały bardzo niebezpieczne dla życia i zdrowia ludzi.

Abp Antonio Guido Filipazzi będzie nowym nuncjuszem apostolskim w Warszawie. Od 1992 r. jest dyplomatą watykańskim. Przez ostatnie sześć lat był nuncjuszem w Nigerii.

Co roku Polska wpłaca do Europejskiej Agencji

Kosmicznej (ESA) składkę podstawową w wysokości 26,7 mln euro. W zeszłym roku cała składka wyniosła 44,8 mln, a w ciągu najbliższych trzech lat mamy wpłacić dodatkowo 51 mln. To nie wszystko, bo nagle rząd wpłacił do ESA 295 mln euro. W zamian polecieć w kosmos na tydzień ma polski kandydat. **Bardzo drogi będzie to lot.** Bo za **ponad 1,3 mld zł.**

Szczęścia do marszałków Senatu to my nie mamy. **Grodzki** nie ma nic z klasy Pastusiaka. **A Karczewski?** Pisowski nominat, który zapewniał młodych lekarzy, że „pieniądze naprawdę nie są najważniejsze w życiu”, w 2022 r. zarobił 194 tys. zł na umowie-zleceniu w szpitalu w Nowym Mieście nad Pilicą, 150 tys. zł w Senacie i 45 tys. zł diet poselskich. A do tego otrzymał 149 tys. emerytury.

W Polsce mieszka **320 tys. ludzi zamożnych,** którzy zarabiają miesięcznie powyżej 20 tys. zł brutto, i 83 tys. ludzi bogatych o zarobkach 50 tys. zł miesięcznie.

W ciągu ostatniej dekady **w co szóstej gminie (397) liczba ludności zmniejszyła się o ponad 10%.** W większości to gminy ze ściany wschodniej: z województwa podlaskiego i części lubelskiego, a także ze wschodniej części Pomorza Zachodniego.

Do Polski wróciła gruźlica. W pierwszym półroczu potwierdzono 1566 przypadków. Jako choroba zakaźna zagraża osobom mającym bliższy kontakt z chorymi.

PRZEBŁYSKI

Do boju z różańcem

Na defiladę Błazszczaka będą jak znalazł. Zamiast sprzętu wojskowego, który wyjechał wiadomo gdzie, wojsko może dostać specjalne różańce. W sklepie internetowym Dywizjonu Maryi można kupić różańce bojowe ROSOMAKI 9,7 mm. Za skromne 85 zł plus wysyłka, a dla rozrzutnych za 175 zł.

Różaniec ma metalowy krzyż, ręcznie produkowany w Polsce, z medalikami św. Benedykta. Figura Jezusa jest przybita do krzyża prawdziwymi gwoździkami. Cały różaniec jest nawleczony na linkę spadochronową typu Paracord 550. Musi być wytrzymała, bo koraliki są metalowe i galwanizowane w kolorze prochu strzelniczego.

Oferta różańcowa jest rozwojowa, bo żołnierzy przybywa, a broni ubywa.

Błazszczak wchodzi i wychodzi

Mariusz Błazszczak był jednym z gości zaproszonych na uroczystości 79. rocznicy wybuchu powstania warszawskiego. Nie zsynchronizował jednak zegarka i przyszedł na plac Krasińskich przed Jarosławem Kaczyńskim. Wyszedł więc boczkciem, by ponownie wejść, już środkiem, z prezesem. Nie wiedział, biedak, że i prezesa, i jego, i nawet prezydenta Dudę spotka despekt ze strony natury. Nad katedrą polową Wojska Polskiego pojawiła się przepiękna tęcza. Co gorsza, odbijała się w szklanej elewacji Sądu Najwyższego, więc politycy zostali tęczą osaczeni.



Zdort z Hitlerem pod pachę

Jest wiele dowodów, że upały szkodzą. A najnowszy to produkcja Dominika Zdorta. Nie możecie go znać, bo i skąd. Uczciwy człowiek nie dotyka przecież czegoś, co nazywa się tygodnik.tvp.pl (uwaga: produkt szkodliwy). Jeszcze jeden sposób dojrzej zmiany, by swojakom dać zarobić.

I tenże Zdort robi tam za szefa (!), zarabiając na tłustą emeryturę. Ma przy tym dużo wolnego czasu na pisanie do „Sieci”. Takie sobie pisowskie bredzenie. Upały go tak zmogły, że porównał gen. Jaruzelskiego z Hitlerem! „Jaruzelski mordował Polaków mniej niż Hitler” itd. No cóż, nic dziwnego jak na kogoś, kto stale podkreśla, jak ważne są wiara i wartości chrześcijańskie. Czuć, że Zdort ma nerwy zszargane szybko nadchodzącym końcem wypasu.

Pływający biskup

Przed nim nie można się schować. Nawet na jeziorze. Biskup ełcki Jerzy Mazur dość przebiegle uznał, że skoro nie ma frekwencji na lądzie, trzeba szukać zbłąkanych owieczek na wodzie. Wymyślił spotkanie „Z Maryją na jeziorach”. Do akcji wyznaczył parafie pw. św. Mikołaja i pw. Matki Bożej Różańcowej z Mikołajek. Oczywiście Urząd Miasta Mikołajki dołączył do tych jasełek. Pewno finansowo. I pewno szczerze. A na deser zebrani mogli posłuchać „Ave Maria” w wykonaniu gwiazdorka TVPiS Rafała Brzozowskiego. Był i cud. Choć rejs zaczął się w deszczu, to na koniec modlitw wyszło słońce. Można było pobiesiadować.





PYTANIE TYGODNIA

Czy Kościół, popierając PiS, wzmacnia się, czy osłabia?

PROF. STANISŁAW OBIREK,

były jezuita, teolog, UW

Rację ma ks. Alfred Wierzbicki, który mówi, że Kościół nie powinien popierać żadnej partii. Zwycięstwo PiS oznaczać będzie wzmocnienie fundamentalistycznego i faszyzującego Kościoła reprezentowanego przez takich hierarchów jak Jędraszewski czy duchownych jak Rydzyk. To oznacza dalsze zjeżdżanie po równi pochyłej w kierunku utraty resztek autorytetu tej instytucji w kraju i poza nim. Polski katolicyzm budzi dziś zdumienie zagranicznych katolików. Widać to po oziębłych relacjach z Watykanem i papieżem Franciszkiem, który przez nominację kard. Rysia wyraźnie daje do zrozumienia, że nie godzi się z tą formacją. Natomiast przegrana PiS wzmocniłaby Kościół nieupolityczniony, próbujący dostosować się do demokratycznych struktur, jakie obserwujemy w Europie Zachodniej czy w obydwu Amerykach. Krótko mówiąc, oznaczałoby to możliwość zatrzymania degrengolady, która dotyka polski katolicyzm od 2015 r.

PROF. JACEK WÓDZ,

socjolog, WSB w Dąbrowie Górniczej

Nie ma jednoznacznej odpowiedzi na to pytanie. Jedni stwierdzą, że Kościół w 100% się osłabia i traci pozycję autorytetu, stając się aktorem gry politycznej. Jednak druga strona tej relacji daje coś, czego Kościół potrzebuje – uzasadnienie

trwałości jego materialnej pozycji. Kościół w Polsce od kilkudziesięciu lat przygotowuje się na przetrwanie trudnych czasów, kiedy świątynie opustoszeją. Instytucja ta, wiedząc, że traci w oczach swoich wiernych, zapewnia sobie trwałość materialną, która będzie w najbliższych dziesięcioleciach konieczna do tego, żeby jako organizacja Kościół w Polsce przetrwał. Z tego punktu widzenia PiS jest jedyną partią, która da Kościołowi taki luksus.

JAROSŁAW MAKOWSKI,

autor książki „Kościół w czasach dobrej zmiany”

Kościół nie ma wyjścia – musi popierać PiS. Biskupi zainwestowali w ten romans nie tylko swój autorytet, ale i przyszłość – dziś jedyną szansą na podtrzymanie siły polskiego katolicyzmu jest sojusz z PiS. W tym sensie, jeśli PiS wygra wybory, będzie to również zwycięstwo Kościoła. Gdyby teraz – po ośmiu latach zblatowania Kościoła i PiS – biskupi zostawili na lodzie tzw. dobrą zmianę, byłoby to niezrozumiałe nie tylko dla Kaczyńskiego, ale również dla religijnej prawicy, która dziś jest rdzeniem rodzimego katolicyzmu. W sensie politycznym rozwód Kościoła z PiS to osłabienie Kościoła. W sensie ewangelicznym byłaby to droga powrotu do Ewangelii. Paradoksalnie zwycięstwo opozycji, która chce rozdziału państwa i religii, jest dla Kościoła szansą.

Rozmawiał Kornel Wawrzyniak

Wyborcy przesunęli się na lewo, politycy poszli za nimi

Ponad połowa Polaków uważa, że znacząca liczba przedsiębiorstw powinna być własnością państwa

Robert Walenciak

Ruszyli. Meta – 15 października. Wiemy, kto w tych wyborach startuje. Wiemy, jaka jest stawka. Jakie metody sztaby stosują (choć pewnie niejedną raz jeszcze nas zaskoczą) i czym grają. Zresztą, jak widzimy, na razie próbują różnych rzeczy, by sprawdzić, co tym razem chwyci, co ludzi poruszy. Wojna, Niemcy, bezpieczeństwo, patriotyzm... To przynęty, na które łowiony ma być elektorat. Te z ostatnich dni.

Mamy wielką zmianę w kwestiach światopoglądowych, nastąpiło mocne przesunięcie w lewo. Aż 46% Polaków popiera prawo do aborcji, za zakazem przerywania ciąży opowiada się 28%.

Wiemy dużo. Może więc czas porozmawiać nie o myśliwych, ale o zwierzyńcu? Czyli o nas. Bo przecież to my, wyborcy, jesteśmy w tym wszystkim najważniejsi.

Dla partyjnych sztabów wyborcy to z jednej strony coś znanego, ale z drugiej tajemniczego, nie do końca przenikniętego. Społeczeństwo jest przecież wielobarwne, tworzą je różne grupy, o różnych poglądach. To wciąż się zmienia. Jak nad tym zapanować?

To, że poglądy ludzi ewoluują, jest rzeczą oczywistą. Pokazują to zresztą sondaże. Poglądy elektoratów największych partii bada regularnie m.in. CBOS*. Można zatem obserwować pewne zmiany.

Czasami zmiany te są tylko pozornie niewielkie. Mogą zaś tworzyć nową rzeczywistość. Przykładem niech będzie stosunek do członkostwa Polski w Unii Europejskiej. Na pierwszy rzut oka nic tu się nie zmienia, zarówno w latach 2016-2021, jak i obecnie aż 78% Polaków jest za tym, byśmy byli w Unii. Ale gdy zaczynamy pytać, na jakich zasadach Polska powinna być we Wspólnocie, widać już ewolucję. Zmniejsza się liczba tych, którzy są za pogłębianiem integracji, a zwiększa tych, którzy uważają, że Polska

powinna zachować w ramach Unii daleko idącą niezależność (z 35% do 39%). Niby zmiana jest nieduża, ale pokazuje tendencję. W jakim stopniu ukształtowały ją działania polityków? Zwłaszcza Konfederacji i PiS? Na pewno w decydującym.

Z drugiej strony mamy w ostatnich latach wielką zmianę, jeśli chodzi o kwestie światopoglądowe – tu nastąpiło mocne przesunięcie w lewo. Aż 46% Polaków popiera prawo do aborcji, co jest wynikiem najwyższym z dotychczas notowanych. Z kolei za zakazem przerywania ciąży opowiada się 28% respondentów, o 2% mniej niż dwa lata temu.

Pewną korektę w porównaniu z poprzednimi latami mamy w sprawie stosunków państwo-Kościół.

W ostatnich dwóch latach o 4% zmniejszył się odsetek przeciwników konkordatu. 45% Polaków uważa, że jest on niepotrzebny. Z kolei 38% jest przeciwnego zdania. Skąd ta modyfikacja? Otóż po stronie liberalnej nic się nie zmieniło, natomiast nastąpiła mobilizacja na prawicy, zadziałał tzw. efekt ataku na Jana Pawła II.

A w sprawach bytowych? Tu liberalizm od lat jest w odwrocie. 80% Polaków uważa, że państwo opiekuńcze jest lepsze od liberalnego, czyli należą się nam bezpłatna opieka zdrowotna, szkolnictwo i inne świadczenia socjalne.

Podobnie jest, jeśli chodzi o prywatyzację. Ponad połowa Polaków (54%), i ten wskaźnik się nie zmienia, uważa, że znacząca liczba przedsiębiorstw powinna być własnością państwa, za prywatyzacją przedsiębiorstw państwowych jest 23% ankietowanych.

Za to, i nad tym wynikiem warto się pochylić, najniższy w historii badań CBOS jest odsetek tych, którzy popierają podatki progresywne (50%), rośnie z kolei poparcie dla podatku liniowego (z 32% do 35%). Jak to wytłumaczyć? Bardzo prosto. Wzrostem sił Konfederacji, dla której podatek liniowy jest jak katechizm.

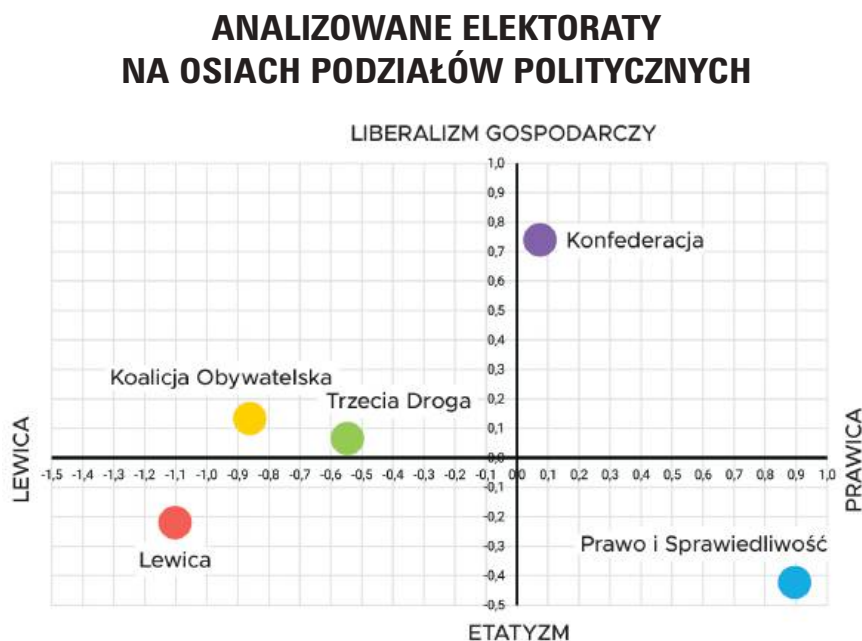
Czym innym są bowiem poglądy społeczeństwa jako całości, a czym innym poglądy elektoratów największych partii. Dopiero wówczas możemy zobaczyć, jak bardzo polskie społeczeństwo jest podzielone, jak duże są różnice między elektoratami.

Jeżeli na poglądy społeczeństwa nałożymy oś lewica-prawica w sferze światopoglądowej, ukaże się nam

dość niespodziewany widok. Oto bowiem na jej lewej stronie, dość blisko siebie, zobaczymy elektoraty Lewicy, Koalicji Obywatelskiej i – najbliżej centrum – Trzeciej Drogi. Natomiast po prawej stronie, w odosobnieniu, są wyborcy PiS. A gdzie wyborcy Konfederacji? Otóż, jeśli chodzi o podział światopoglądowy, są blisko... centrum.

Inaczej rzecz się ma, gdy wyznaczymy oś liberalizm gospodarczy-etytizm. Tu najmocniej ufającymi w rolę państwa okazują się wyborcy PiS. A najbardziej liberalni, i to wysoko na tej osi – zwolennicy Konfederacji. Elektoraty pozostałych partii będą blisko centrum – z tym że lewicowcy po jego „etatystycznej” stronie, a KO i Trzecia Droga – po liberalnej.

To, że elektorat PiS tak bardzo różni się od innych, stanowi o sile tej partii i w dużym stopniu kształtuje jej działania. W wieloraki sposób. Po pierwsze, jest to elektorat odosobniony, wyborcy PiS nie za bardzo mają dokąd pójść, nikt inny ich specjalnie nie kusi. Takie odosobnienie sprzyja postawie obłążonej twierdzy. Liderzy PiS mają zatem komfortową sytuację – mogą być pewni wierności swoich wyborców. Po drugie, marsz w kierunku centrum, przynajmniej w obecnej chwili, nie ma dla nich specjalnie



w gospodarce (83%), no i jest za podatkiem progresywnym, a nie liniowym. Jest także za ochroną miejsc pracy, a nie elastycznością w przyjmowaniu i zwalnianiu. I za państwem socjalnym (89%).

Cały pakiet gospodarczy stawia go na antypodach Konfederacji, która jest liberalną wyspą na mapie. Za to łączy PiS z Konfederacją bardzo sceptyczny stosunek do integracji

z Trzecią Drogą, KO i Lewicą. Różnice między tymi grupami wyborców są stosunkowo nieduże.

Wszystkie trzy są proeuropejskie. Za zacieśnianiem więzi w ramach Unii jest 79% zwolenników Lewicy, 74% zwolenników KO i 68% Trzeciej Drogi.

Są to środowiska światopoglądowo liberalne. Najbardziej zdecydowanie Lewica. 80% jej zwolenników jest za prawem kobiety do przerywania ciąży, w Koalicji Obywatelskiej ten odsetek wynosi 73%, a w Trzeciej Drodze – 58%.

Jeśli chodzi o stosunek do Kościoła, aż 88% wyborców Lewicy uważa, że konkordat jest niepotrzebny. Podobnie sądzi 73% wyborców KO i 66% wyborców Trzeciej Drogi.

Na osi liberalizm gospodarczy-etytizm też wielkich różnic nie ma. Za podatkami progresywnymi jest 44% wyborców Lewicy i 52% wyborców KO. Trzecia Droga jest w tej sprawie pośrodku. Za progresją podatkową opowiada się aż 64% wyborców PiS i ledwie 28% wyborców Konfederacji, w której dominuje idea podatku liniowego.

Prywatyzacja zakładów państwowych? Tylko 5% elektoratu PiS jest za tym. Potem jest długa przerwa i mamy Lewicę (27%) i Trzecią

W sprawach bytowych liberalizm jest w odwrocie. 80% Polaków uważa, że państwo opiekuńcze jest lepsze od liberalnego.

sensu. Byłby mało skuteczny i niezrozumiały. Po trzecie, z ich punktu widzenia bardziej opłaca się podkreślać atmosferę, podkreślać podziały, by mobilizować swoich.

Zerknijmy zresztą na badania – elektorat PiS chce współpracy państwa z Kościołem (70%), zdecydowanie sprzeciwia się małżeństwom osób tej samej płci, opowiada się też za restrykcyjnym prawem antyaborcyjnym (56%, dwukrotnie więcej niż średnia krajowa).

W sprawach gospodarczych chce znacznego udziału państwa

europejskiej. W elektoracie PiS odsetek osób, które uważają, że Polska powinna dążyć do zachowania jak największej niezależności w Unii Europejskiej, wynosi 67% i jest nawet wyższy niż wśród wyborców Konfederacji (56%)!

Jest to więc elektorat bardzo tradycyjalistyczny, religijny, wierzący w moc państwa i nieufny wobec Europy.

Po drugiej stronie osi lewica-prawica mamy trzy ugrupowania, położone blisko siebie. Idąc od centrum,

► Drogę (30%). Potem kolejna przerwa i wreszcie KO (41%) i Konfederacja (42%)

Co się stało, że trzy ugrupowania mające bardzo różne korzenie (SLD, liberałowie, PSL...) tak się zbliżyły? Złożyło się na to kilka czynników. W ciągu ostatnich lat elektorat PO przestał być zwolennikiem kompromisów typu ustawa antyaborcyjna ze

na lewą stronę sceny, to jeszcze trudno znaleźć jakieś elementy programowe, które odróżniałyby zdecydowanie TD od KO.

Można rzec, że brak głębokich różnic z jednej strony jest dobry, bo ułatwia współpracę. Ale z drugiej powoduje łatwość przepływu elektoratów. A tendencja w polityce jest taka, że wyborcy chętniej przechodzą

Najniższy w historii badań CBOS jest odsetek tych, którzy popierają podatki progresywne (50%), rośnie zaś poparcie dla podatku liniowego (z 32% do 35%).

stycznia 1993 r. czy konkordat, podpisany w lipcu tegoż roku, a ratyfikowany w roku 1998. Podobnie jest z elektoratem ludowców. To przesunięcie w lewo miało taki efekt, że i Donald Tusk, i w pewnej odległości Władysław Kosiniak-Kamysz (i Szymon Hołownia) musieli iść za swoimi wyborcami – a to, że nie potrafiła ich zagospodarować Lewica, jest już inną kwestią. W podobny sposób trzy ugrupowania zbliżyły stosunek do Unii Europejskiej oraz do praworządności i ochrony praw obywatelskich.

z mniejszych partii do większych i skupiają się wokół wyrazistego lidera, a nie nijakiego. Na wyrazistość Tuska pracują zaś największe aparaty partyjne – Platformy i... PiS. Dość powiedzieć, że w ostatnim wywiadzie Kaczyński użył słowa Tusk 51 razy.

Oto więc mamy tajemnicę ostatnich ruchów na partyjnej mapie – czyli tego, że Platformie i Tuskowi rośnie, a Lewicy i Trzeciej Drodze spada. No i rośnie Konfederacji, która żywi się elektoratem twardoliberalnym, porzuconym przez Tuska,

Wyborcy PiS nie za bardzo mają dokąd pójść, nikt inny ich specjalnie nie kusi. Sprzyja to postawie oblężonej twierdzy. Liderzy PiS mają więc komfortową sytuację.

Ta sytuacja wymusiła na liderach trzech sił określone działania. Przede wszystkim postawiła w trudnej sytuacji Lewicę. W sprawach światopoglądowych jest ona najbardziej oddalona od PiS, są to główni opoenenci. A w sprawach społecznych? Mimo że Lewica jest w grupie trzech opozycyjnych formacji najbardziej etatystyczna i socjalna, i tak jej wyborcom bliżej w tych sprawach do KO i Trzeciej Drogi niż do PiS. Każdy więc flirt liderów lewicy z PiS jest odbierany przez ich sympatyków jako coś niezrozumiałego, jako zdrada. Bo oni są najbardziej antypisowscy na opozycji.

Ale i Trzecia Droga nie ma łatwo. Nie dość, że jej elektorat zawędrował

i antyestablishmentowym, który gubi Hołownia. Poza tym żeruje, tego nie można zapominać, na rosnących nastrojach antyukraińskich.

Tak wygląda wyborcza mapa i polityczne pole bitwy. Wygra ten, kto skuteczniej zmobilizuje swoich i dotrze do tych niedużych grup, które jeszcze się wahają. Kto narzuci swoją narrację, swoje tematy, będzie bardziej chciał...

Ten mecz już trwa.

Robert Walenciak
r.walenciak@tygodnikprzeglad.pl

* Badanie „Charakterystyka poglądów elektoratów”, CBOS, sierpień 2023 r.

Marek Czarkowski

9 sierpnia br. zakończyła się pierwsza sześciomiesięczna kadencja pełniącego obowiązki dyrektora Narodowego Centrum Badań i Rozwoju dr. Jacka Orła. Po czym natychmiast został on powołany przez ministra funduszy i polityki regionalnej Grzegorza Pudę na drugą kadencję. Pytanie, jak to się ma do zapisu w ustawie o NCBiR, który mówi, że pełniącego obowiązki dyrektora można powołać na okres nie dłuższy niż sześć miesięcy. Być może odpowiedzi w tej materii udzieli sąd, jeśli znajdzie się odważny podmiot, który zakwestionuje tę praktykę. Mogłoby to oznaczać, że wszelkie decyzje podjęte przez dr. Orła po 9 sierpnia br. nie mają mocy prawnej. Przykład ten dobrze ilustruje chaos organizacyjny, w jakim znalazło się centrum.

Karuzela dyrektorów

Ostatnim nominalnym dyrektorem NCBiR był dr Remigiusz Kopoczek, który przetrwał na tym stanowisku zaledwie trzy tygodnie – od 20 lipca do 9 sierpnia 2022 r. Jego następcą, p.o. dyrektor dr Paweł Kuch, opuścił gabinet w budynku przy Chmielnej 9 lutego br. w wyniku skandalu, który wybuchł w związku z dotacjami przyznanymi w konkursie „Szybka ścieżka – Innowacje cyfrowe” oraz wymianą oskarżeń między wiceministrem w resorcie funduszy i polityki regionalnej, pośłem Jackiem Żalkiem, a eurodeputowanym Adamem Bielanem.

Pawła Kucha jako kolejny p.o. dyrektor zastąpił Jacek Orzeł. Pikanterii sprawie dodawał fakt, że niemal jednocześnie przeprowadzono konkurs na stanowisko dyrektora tej instytucji, a 14 lutego br. minister Grzegorz Puda w oficjalnym komunikacie poinformował, iż kandydatem wskazanym przez komisję konkursową na stanowisko dyrektora Narodowego Centrum Badań i Rozwoju jest dr hab. Jakub Pawlikowski.

Pawlikowski funkcji nie objął, lecz odnalazł się w równie „chlebnym” miejscu – jest dziś prezesem spółki NCBR+, która zajmuje się

Chaos w lodziarni na Chmielnej

Konkurs „Szybka ścieżka” i kłopoty z prawem, czyli dalszy ciąg skandalu w Narodowym Centrum Badań i Rozwoju

świadczeniem usług administracyjnych, obsługą HR, doradztwem prawnym, public relations itp. na rzecz NCBiR. Po takich zawirowaniach personalnych mogło być tylko lepiej.

Gdy Adam Bielan i Jacek Żalek wymieniali się w mediach ciosami, 22 marca br. p.o. dyrektor dr Orzeł ogłosił konkurs na stanowiska swojego pierwszego i drugiego zastępcy. 2 czerwca br. konkurs ów został oficjalnie unieważniony „w związku z niedopuszczeniem przez komisję konkursową do drugiego etapu co najmniej dwóch kandydatów”. Mniej oficjalnie szeptało, że żaden z chętnych na to stanowisko się nie nadawał.

17 lipca br. ruszyła kolejna procedura konkursowa, która miała wyłonić dyrektora NCBiR. Nie trwała długo. Po dwóch tygodniach, 3 sierpnia, Ministerstwo Funduszy i Polityki Regionalnej opublikowało komunikat o jej unieważnieniu „w związku z niespełnieniem warunków formalnych”.

I znów źli, niespełnieni w swoich ambicjach ludzie szeptał, że zgłosił się tylko dyrektor Orzeł, stawiając komisję w mało komfortowej sytuacji, ponieważ, by wskazać zwycięzcę, potrzebny był choć jeden kontrkandydat. Nie powinno to wszystko być zaskoczeniem, bo nie od dziś wiadomo, że nad Wisłą najtrwalsza jest prowizorka i dr Jacek Orzeł będzie kontynuował karierę jako pełniący obowiązki.

Kto daje i odbiera

Problemem, z którym przyjdzie mu się zmierzyć, będzie sprawa skandalicznego konkursu „Szybka ścieżka – Innowacje cyfrowe”, związanego z wysokimi dotacjami przyznanymi dwóm spółkom: prawie 123 mln zł



dla Chime Networks i prawie 55 mln dla firmy Postquant. Główny zarzut stawiany ich właścicielom to zbyt bliskie związki towarzyskie z działaczami partii Republikańskiej, kierowanej przez Adama Bielana. Po doniesieniach prasowych i kontroli poselskiej w NCBiR dokonanej przez posłów Dariusza Jońskiego i Michała Szczerbę do budynku przy ulicy Chmielnej 69 w Warszawie wkroczyli prokuratorzy, Centralne Biuro Antykorupcyjne,

Ostatnim nominalnym dyrektorem NCBiR był dr Remigiusz Kopoczek, który przetrwał na tym stanowisku zaledwie od 20 lipca do 9 sierpnia 2022 r.

Najwyższa Izba Kontroli oraz kontrolerzy Ministerstwa Funduszy i Polityki Regionalnej. Przy czym nikogo nie obchodziło, na co właściwie miały być przeznaczone dotacje.

Z komunikatu resortu funduszy i polityki regionalnej wynikało, że kontrolerzy zakończyli prace 28 kwietnia br. i ustalili, że na 117 złożonych i ocenionych pozytywnie przez NCBiR projektów 85 zweryfikowano pozytywnie, 25 projektów zostało skierowanych do ponownej oceny, w przypadku pięciu projektów

stwierdzono nieprawidłowości, które uniemożliwiały ich finansowanie z funduszy europejskich, dwa zaś zostały wycofane przez wnioskodawców.

Podpisanie umowy i wypłaty dotacji odmówiono m.in. spółkom:

- TIZ-IMPLEMENTS, która chciała realizować projekt „Platforma CEaaS oparta na sztucznej inteligencji do szybkiego szacowania kosztów w produkcji”; dotacja miała wynieść 7,8 mln zł;

- Symbiote z projektem „Invictus – modułowe rozwiązanie wykorzystujące sztuczną inteligencję na potrzeby rozbudowy gier”; dotacja – 8,4 mln zł;

- SMARTNET RESEARCH & SOLUTIONS sp. z o.o., MIM SOLUTIONS sp. z o.o. oraz Naukowa i Akademicka Sieć Komputerowa – Państwowy Instytut Badawczy planujące zrealizować projekt „ASID – Automatyczny System Identyfikacji Dezinformacji” z dotacją 6,2 mln zł.

Że spółki Chime Networks i Postquant nie zobaczą ani złotówek, wiadomo było od dawna, i to bez ministerialnej kontroli. Wszak ogłosili to wszyscy, od premiera Morawieckiego począwszy, poprzez Adama Bielana, na posłach Jońskim i Szczerbie skończywszy. Byłem ciekaw, jakich argumentów użyją urzędnicy, by uzasadnić odmowę podpisania umów.

Z oczywistych względów szczegółowe wyniki kontroli przeprowadzonej w NCBiR przez Ministerstwo Funduszy i Polityki Regionalnej nie są

► dostępne szerokiej publiczności, udało mi się jednak co nieco ustalić. Otóż okazało się, że jedynym zarzutem, jaki pojawił się w związku z dotacją 123 mln zł przyznaną spółce Chime Networks, była błędna ocena kosztów kwalifikowanych, czyli że projektowi „Opracowanie rozwiązań w zakresie cyberbezpieczeństwa podmorskiej infrastruktury światłowodowej w oparciu o innowacyjną technologię wielordzeniowych włókien oraz ultraczułych systemów detekcji i identyfikacji zagrożeń” przyznano zbyt wysoką dotację. Jak to ustalono? Przyjęto kursy euro z 16 grudnia 2022 r., gdy zebrał się panel uzgadniający kartę oceny, i z 23 grudnia 2022 r., tj. z dnia, w którym została zatwierdzona lista rankingowa konkursu, i po przeliczeniu euro na złotówki okazało się, że dotacja jest zbyt wysoka.

Jednak zgodnie z obowiązującym prawem podobne wyliczenia powinno się prowadzić, uwzględniając kurs euro na dzień podpisania umowy z beneficjentem. A umowa między NCBiR i Chime Networks nie została zawarta. Jak sądzę, w tej sprawie będzie musiał wypowiedzieć się sąd, gdyż właściciele spółki nie mają zamiaru rezygnować z dochodzenia swoich praw.

Znamienne, że eksperci Ministerstwa Funduszy i Polityki Regionalnej nie mieli żadnych zastrzeżeń do merytorycznej zawartości wniosku o dofinansowanie. Nie poddali też krytyce pracy oceniających go ekspertów. Innymi słowy, projekt Chime Networks miał sens i był merytorycznie poprawny. Szerzej opisaliśmy ten przypadek na łamach PRZEGLĄDU 20 marca br. w artykule „Tajemnica projektu »Kabel«”. Myślę, że w NCBiR wiedzą, że będą musieli przed sądem odpowiedzieć na pytanie, dlaczego nie podpisano umowy o dofinansowanie ze spółką Chime Networks. I lepiej, by mieli solidne argumenty.

Wszystko w rękach sędziów

Co prawda, konstytucja gwarantuje nam jawność procesów sądowych, z wyłączeniem np. spraw obyczajowych, lecz w praktyce nie jest to tak oczywiste. Chcąc się dowiedzieć, czy w przeszłości zdarzało się, by NCBiR lub Polska Agencja

Rozwoju Przedsiębiorczości odmawiały podpisania umów ze spółkami, którym przyznano dotacje w konkursach, szukałem przykładów spraw, które trafiły do sądu. Znalazłem spółkę, która w takiej sytuacji skierowała pozew przeciw NCBiR do sądu administracyjnego. By poznać szczegóły, zwróciłem się do Naczelnego Sądu Administracyjnego z prośbą o wgląd do akt. I spotkałem się z odmową.

Powołano się na uchwałę NSA z 9 grudnia 2013 r. (sygnatura I OPS 7/13), w której siedmiu wybitnych sędziów z przewodniczącym składu Romanem Hauserem oraz sprawozdawcą sędzią NSA Ireną Kamińską (która wprowadziła do języka polskiego pojęcie nadzwyczajnej kasty) uznało, że „wnioskodawca żądając dostępu do akt sprawy, które jako całość tworzą zbiór materiałów, domaga się w istocie nie udostępnienia informacji publicznej, lecz dostępu do tego zbioru”. I należało mu odmówić zapoznania się

jak i przedsiębiorcom, którym przyznano dotacje, lecz odmówiono wypłaty środków, przysługuje prawo zaskarżenia tych decyzji do sądów administracyjnych.

Jest zatem pewne, że spółki, które starały się o dotacje w ramach konkursu „Szybka ścieżka – Innowacje cyfrowe” i których projekty zostały zakwalifikowane do dofinansowania, a mimo to odmówiono im zawarcia umów i przekazania pieniędzy, pójdą do sądów.

Czy fakt ten niepokoi jednoosobowe kierownictwo Narodowego Centrum Badań i Rozwoju? Oficjalnie nie. Dr Orzeł uważa, że prawo jest po jego stronie. Natomiast prawnicy, z którymi rozmawiałem, są przekonani, że decyzja o odmowie podpisania umowy, zwłaszcza jeśli została poprzedzona dodatkową kwalifikacją bez udziału zainteresowanej strony, jest do podważenia. Ważnym czynnikiem przemawiającym na korzyść

W NCBiR wiedzą, że będą musieli przed sądem odpowiedzieć na pytanie, dlaczego nie podpisano umowy o dofinansowanie z Chime Networks.

z aktami sprawy. Z takim uzasadnieniem nic nie można zrobić. Polecam je przedstawicielom administracji państwowej i samorządowej. Dzięki tej uchwale będą mogli – zgodnie z prawem – odprawić każdego pisemka z jego bezczelnymi pytaniami i żądaniem dostępu do dokumentów.

Za to udało mi się ustalić, że sądy administracyjne od dawna rozpatrują pozwy spółek, którym NCBiR bądź PARP najpierw przyznały w konkursach dotacje unijne, a potem odmówiły podpisania umowy i przekazania środków. Ulubiony argument prawników reprezentujących NCBiR sprowadza się do stwierdzenia, że ustawa nie przewiduje prawa do wniesienia protestu wobec odstąpienia od zawarcia umowy, w sytuacji gdy stronie przyznano dofinansowanie, lecz według organu nie spełniła ona innych warunków określonych w regulaminie konkursu. Zapominają przy tym, że już w roku 2007 NSA uznał w trzech wyrokach, że zarówno organom samorządu terytorialnego,

zainteresowanych firm stało się zaangażowanie polityków, którzy wielokrotnie publicznie deklarowali, że o wypłatach przyznanych przez NCBiR dotacji mowy być nie może. Trudno oprzeć się wrażeniu, że zarówno centrum, jak i resort funduszy i polityki regionalnej działały w tej sprawie na ich zamówienie.

Wiem, że archiwa wymiaru sprawiedliwości kryją akta wielu podobnych spraw. Dostęp do nich byłby świetną okazją do przyjrzenia się temu, jak w rzeczywistości funkcjonuje system dzielenia dotacji unijnych. Dlaczego jedni je dostają, a drudzy nie. I kto personalnie miał wpływ na te decyzje.

Niestety, rodzima władza, jak to władza, nie lubi, gdy obywatele patrzą jej na ręce. I w praktyce realizuje zasadę szefa carskiej tajnej policji z czasów Mikołaja I, gen. Aleksandra von Benckendorffa, który głosił, że „prawo pisze się dla podwładnych, nie dla naczałstwa”.

Marek Czarkowski
m.czarkowski@tygodnikprzeglad.pl

Z Galicji



Jan Widacki

Defilada, defilada

15 sierpnia, w Święto Wojska Polskiego, w rocznicę „Cudu nad Wisłą”, ma się odbyć w stolicy wielka defilada. Pan prezydent jako najwyższy zwierzchnik sił zbrojnych z miną Napoleona będzie z wyżyn trybuny patrzył na maszerujące (oczywiście krokiem defiladowym) pododdziały, na przejeżdżające kolumny czołgów, transporterów opancerzonych, armat, haubic i armatohaubic, wyrzutni rakiet i czego tam jeszcze. Być może pojawi się też jakaś grupa rekonstrukcyjna husarzy na koniach... Obok prezydenta stanie zapewne rozpromieniony minister Błaszczak, dumny ze swoich zakupów, wszak znaczna część defilującego sprzętu została przez niego właśnie kupiona. Później, a może równocześnie, na niebie pojawią się samoloty, także te nowo zakupione. W USA i Korei. Zadrze więc

Wojskowi zaś przestrzegają, że zakupy czynione w ostatnim okresie za miliardy dolarów są dość chaotyczne i nie zawsze przemyślane. Himarsów mamy wedle życzeń ministra Błaszczaka mieć więcej niż Stany Zjednoczone. Tyle że jeśli tymi himarsami nie zniszczymy sił wroga na odległość od 100 do 300 km, to później będziemy musieli czekać, aż zbliży się na odległość kilkunastu kilometrów i znajdzie w zasięgu armat naszych czołgów i armatohaubic. Wojskowi zastanawiają się też, czy mamy przygotowaną kadrę do obsługi tego nowego sprzętu, a szkolenie jest długie. Wyrażają również wątpliwości, czy wojsko jest organizacyjnie zdolne zapanować nad tym sprzętem na polu walki. Historie takie jak ta z ruską rakietą odna-

leżoną przez zażywającego konnej przejażdżki po lesie pod Bydgoszczą cywila czy ostatnie, z białoruskimi helikopterami nad Białowieżą, o których wojsko dowiedziało się po czasie od miejscowej

Znów mieli państwo, ale krótko trwało, nowe abramsy chrzęściły w parady, zmienili w chwalbę, co mogło być chwałą...

głową z aprobującym uśmiechem stojący też na trybunie człowiek skromny, odziany wprawdzie nie w mundur szary, ale w garniturek, z tupieżem na kołnierzu i ramionach, być może w dwóch różnych butach. I tak wszyscy będą wiedzieli, że to on jest wodzem prawdziwym.

Zademonstrowaną na defiladzie siłę naszej armii we sprą zapewne liczne przemówienia, uzupełnią ten pokaz wypowiedzi nadwornych dziennikarzy. Tak oto w obliczu rosyjskiego zagrożenia PiS odbudowało zniszczoną przez Tuska i jego zgrają armię. Stajemy się jedną z największych potęg militarnych w Europie! Niech lud patrzy i słucha. Ożyją stare hasła: „Jesteśmy silni, zvarci i gotowi”. Znów „nikt nam nie robi nic”. Może nawet dojdą nowe? Na przykład takie: „Niepotrzebne nam nad Wisłą cuda, nam wystarczy Andrzej Duda”?

Przypuszczam, że znaczna część tego ludu wpadnie w zachwyt, a przecież tylko o ten zachwyt chodzi, wszak wybory za pasem! Przecież Putin nie musi czekać, aż jego szpiedzy dopiero na ulicach Warszawy policzą, ile to i jakich czołgów, armat czy rakiet posiada nasze wojsko. On to już dawno wie. Nawet z naszych gazet. Ta defilada nie wpędzi go zatem w panikę. Sojusznicy też dobrze wiedzą, ile i jakiego mamy uzbrojenia. To wyłącznie o ten lud, pieszczotliwie przez Jacka Kurskiego nazywany ciemnym ludem, chodzi.

ludności, i zgubieniem zapalnika pocisku raketowego, faktycznie nie napawają optymizmem. Pokazują, że ten skomplikowany mechanizm, jakim są siły zbrojne, nie działa w Polsce, najdelikatniej mówiąc, zbyt precyzyjnie.

Ekonomiści też nieśmiało zwracają uwagę, że zbrojąc się dziś na potęgę, stajemy się bezbronni na przyszłość. Sprzęt zakupiony za miliardy dolarów będziemy spłacać przez dziesięciolecia. Zanim go spłacimy, będzie już w dużej mierze przestarzały. Skąd wtedy wziąć pieniądze na nowe zakupy? W międzyczasie staniemy się potęgą gospodarczą?

Historyk dopowie, że przed II wojną światową na armię szło u nas ponad 30% wszystkich wydatków budżetowych. Zbudowaliśmy, co przyznawał gen. de Gaulle, jedną z najsilniejszych armii w Europie. Starczyło na miesiąc kampanii wrześniowej.

Podstawą naszego bezpieczeństwa jest przynależność do NATO i Unii Europejskiej. Skłócenie z sojusznikami godzi w podstawy naszego bezpieczeństwa. Sojuszniczej jedności nie zastąpią doraźne, robione na kredyt zakupy. Oby w przyszłości kolejny wieszcz nie musiał pisać: „Znów mieli państwo, ale krótko trwało, nowe abramsy chrzęściły w parady, zmienili w chwalbę, co mogło być chwałą...”.

CZY POLAK MOŻE BYĆ OPTYMISTĄ?

Optymizm pomaga przetrwać, wyjść z chorób i przeciwności, może wydłużać życie. Można się go uczyć

Beata Dżon-Ozimek

Spółeczeństwa się starzeją, dłużej żyjemy, dłużej pracujemy. Martwi się ZUS, a i my, bo rodzi się bardzo mało potencjalnych dostarczycieli składek na nasze emerytury. Za granicą mamy wojnę. Ciągłe słyszymy o katastrofalnych zjawiskach wynikających ze zmian klimatu. Styl dyskusji politycznej stał się rynsztokowy. W takiej sytuacji potrzeba nam porządných dawek optymizmu, aby uwierzyć, że życie może być dobre.

Najwyższy poziom optymizmu osiąga się około 35. roku życia, potem on spada.

Z analiz naukowych wiadomo, że poziom optymizmu wiąże się z wiekiem – im jesteśmy starsi, tym bardziej pesymistyczni. Potwierdzają to badania postaw wobec życia i zadowolenia z niego, prowadzone przez dr Agnieszkę Czerw, psycholożkę z Uniwersytetu SWPS w Poznaniu, jeszcze przed pandemią i wojną w Ukrainie. Wynikało z nich, że ponad 50% pesymistów stanowili najmłodsi uczestnicy badania (w wieku 19-25 lat). Dr Czerw w książce „Optymizm. Perspektywa psychologiczna” zauważa, że najwyższy poziom optymizmu osiąga się około 35. roku życia, potem on spada.

Pod koniec 2022 r. ukazały się też wyniki badań kilku amerykańskich uczelni, finansowanych przez

National Institute on Aging. Wskazują one na powiązanie optymizmu z dłuższą żywotnością kobiet i z lepszym zdrowiem emocjonalnym starszych mężczyzn. Wnioski? Optymizm może być sposobem na wydłużenie życia i poprawę samopoczucia u osób starszych.

Jak więc być optymistą? Odpowiada na to pytanie ks. Adam Boniecki, redaktor senior „Tygodnika Powszechnego”. Nieraz nakazem przełożonych zamykano mu usta, ale Boniecki pogodnie trwał. „Jeśli pytasz o mój optymizm czy brak zgorz-

knienia sprzed wieków, na ławkach obok siedzą stali bywalcy. Niedaleka Góra Szubieniczna pamięta kaźnie czarownic. Trudno o optymizm, nawet ten wywodzący się z poppsycho-logii (pogardliwe określenie popularnych treści, najczęściej o charakterze poradnikowym, dotyczących m.in. ludzkich postaw i zachowań, niemających podstaw naukowych – przyp. aut.), w miasteczku, do którego ludzom nie chce się wracać, a takich w Polsce jest wiele. „Jak wracam do domu, to zawsze wracam wolniej, niż z niego wyjeżdżam”, słyszy Anna Knoblich-Kaczmarek od niektórych pacjentów. Przez 18 lat psychoterapeutka w gimnazjum, społeczna kuratorka rodzinna, od czterech lat pracuje w swoim gabinecie. – Młodzież szuka źródeł optymizmu poprzez pytania, jak to jest w dorosłości, czy życie jest łatwe, czy trudne. Ma dylematy związane z życiem rodziców w mieście, gdzie pozamykano zakłady, jest duże bezrobocie. Młodzi ludzie przynoszą z domu pesymizm, brak nadziei, wiary w jutro – opowiada.

Część młodzieży, którą się opiekowała, wyjechała za granicę, po jakimś czasie zaczęła dostawać od nich piękne wiadomości. – Pamiętają, że powiedziałam coś, co nimi pokierowało. „Dzięki temu jednemu zdaniu doszedłem do czegoś i opatentowałem w holenderskim urzędzie patentowym swój program” – rozpląkałam się ze wzruszenia. Taka informacja buduje mój optymizm jako pedagoga i psychoterapeuty.

nienia, to myślę, że jednym ze źródeł jest nieustanna praca z ludźmi. Nie zamknęłam się w celi, nie zaczął narzekać na charaktery ludzkie, na grzeszność i marność żywota”, tłumaczy w jednej ze swoich książek. Ot, optymizm ponadmetrykalny.

Optymizm zależny od adresu

Głuchotaży – miasteczko uzdrowiskowe o tradycjach leczenia gruźlicy i chorób płuc, było niemieckie Ziegenhals. Dawno temu wydobywano tu złoto, potem uran. Miejscowi mówili latami o wpływie złóż na ludzi, o wielu chorych na depresję na tutejszym oddziale psychiatrycznym. Na 800-lecie miasta nie wiedzieć czemu uroczy rynek przyozdobiono kopią



A zaspokajanie swoich potrzeb jest dla nich źródłem optymizmu, bo biorą odpowiedzialność za coś, co jest ich, a nie co jest im narzucone. Zaczyna się właśnie od wiary w siebie. Szkoda, że tego nie uczy się w szkołach – zwraca uwagę.

Trudny optymizm w szkole

– Mamy bardzo dużo definicji optymizmu. Każdy z nas rozumie to trochę po swojemu. Optymizmu można się nauczyć, tylko brakuje nam edukacji, i to w różnych obszarach. Polacy są i nie są optymistami. Mówi się, że jesteśmy marudami; jeśli ktoś zapyta: „Jak się czujesz?”, odpowiadamy: „Masakra, szkoda gadać, co to za życie” albo: „Jakoś leci”. Z drugiej strony mamy w historii różne zrywy, kiedy wszyscy wątpili, a Polacy pokazali optymizm, wiarę, nadzieję, bo to jest ten rodzaj postawy. Jeśli chodzi o doświadczenie gabinetowe, myślę, że osoby, które przychodzą do terapeuty, już mają postawę pozytywną, bo żeby się zgłosić po pomoc, trzeba wierzyć, że ktoś mnie wesprze – mówi Katarzyna Lessmann-Czardybon, terapeutka z Wyr na Górnym Śląsku. Pracuje z młodzieżą, z parami, współpracuje m.in. z Fundacją Rozwoju i Promocji Psychoterapii w Zabrze. Wcześniej

pracowała w korporacjach i któregoś dnia podjęła decyzję, że zmienia swoje życie. To był akt optymizmu. Tego racjonalnego. – Wierzyłam, że szukam mojego miejsca, że to jest moja ścieżka serca, ale miałam też wsparcie otoczenia – podkreśla.

Istnieje w psychologii takie pojęcie jak *toxic positivity*, toksyczny optymizm. – Płyne m.in. z kanałów youtuberów i influencerów z mediów społecznościowych. Mówią:

Optymizmu można się nauczyć, tylko brakuje w naszym społeczeństwie edukacji.

„Jesteś diamentem, dasz radę, wszystko będzie dobrze”. To takie myślenie magiczne, które może być szkodliwe. Bo np. jeśli wierzę, że nie zachoruję, to nie pójść się badać. Ten „optymizm” podpowiada, że coś mnie nie dotyczy, a jednak mamy pewne nowotwory, na które i kobieta, i mężczyzna mogą zachorować. Ważne w optymizmie jest to, by mieć tę drugą nogę do podparcia, czyli do wiary, że wszystko dobrze się ułoży, dokładać starania: badać się, sprawdzać, przygotowywać do spotkania, zadania, wyjazdu, zrobić np. checklistę. Można sobie zapisać, co wziąć, jak będzie deszcz, jak będzie

gorąco, jak będą komary czy kiedy idę w góry. W ten sposób można też przygotowywać się do życia, z checklistą w innej skali – podpowiada Katarzyna Lessmann-Czardybon.

Skutki gładkich, toksycznie optymistycznych gadek ponoszą wyłącznie ci, którzy się do nich stosują, nie ci, co je wypowiadają. Zamiast iść na cytologię czy mammografię, pani powie: „Mnie to nie dotyczy, bo wierzę, że nie” i za jakiś czas może być za późno.

Terapeutka pracuje też z rodzinami i młodzieżą szkolną w poradni psychologiczno-pedagogicznej w Katowicach. Po pandemii wciąż jest bardzo dużo różnych trudności związanych z powrotem na lekcje stacjonarne. Jako matka wspólnie z gronem innych rodziców podjęła w Katowicach wyzwanie, które wymagało odwagi i optymizmu, tego racjonalnego i wspartego nie tylko wiarą. Ich dzieci przestały być częścią szkoły ministra Czarnka, choć nie systemu. – Jeśli chodzi o polską szkołę, trudno być optymistą, kiedy jesteśmy w szkole straszeni, oceniani, boimy się odpowiadania przy tablicy, niezapowiedzianych kartkówek. Boimy się, że świadectwo wpłynie na nasze kariery i zaprzepaścimy swoją przyszłość, więc osoby o słabszej odporności, które nie mają wsparcia w rodzinie, o wiele trudniej

sobie z tym radzą. Kiedy jest rodzina, która wspiera, wykląda fundusze na korepetycje, wymiany zagraniczne, dziecko wie, że może na nas liczyć, łatwiej budować optymizm, ale to jest rodzaj przywileju.

Optymizm między Niemcami a Rosją

Łukasz Zwoliński, filozof, politolog, historyk, nauczyciel Szkoły z Charakterem w Gliwicach, zastanawia się nad optymizmem po polsku. Wyjaśnia, że na polską historię miały wpływ szkoły historyczne pesymistyczna i optymistyczna. ▶

► – Ta pesymistyczna Michała Bobrzyńskiego zdawała się realistyczna, a ta optymistyczna Joachima Lelewela prowadziła do tragedii narodowych. I może tak to jest z optymizmem i pesymizmem, że zawsze najtrudniej osiągnąć złoty środek. I nam, wychowanym w kulturze judeo-chrześcijańskiej, o to trudno. Mam wrażenie, że my w Polsce, obojętnie, czy w roku 2023, czy 50, czy 200 lat temu, odbijamy się: od hurraoptymizmu do skrajnego pesymizmu. Natomiast najtrudniej o ten zwykły, zdroworozsądkowy realizm – wywodzi nauczyciel znanej nie tylko na Śląsku świetnej szkoły katolickiej o otwartości „Tygodnika Powszechnego”. Zwoliński za krakowskim konserwatyistą, stańczykiem Bobrzyńskim, uważa, że zawsze jest dobre miejsce i dobry czas, szczególnie dziś nie ma się o co obrażać, że jesteśmy między Niemcami a Rosją, bo zawsze tu będziemy. – Nie jesteśmy Portugalią czy Irlandią i miejsca nie zmienimy, więc albo możemy się tym faktem załamać, albo przyjąć go do wiadomości, a jeśli przyjmujemy, trzeba to przekuć na myślenie realistyczne. A to myślenie, wydaje mi się, powinno być w stosunkach międzynarodowych przede wszystkim pozbawione emocjonalnych podejść.

Zawsze najtrudniej osiągnąć złoty środek i nam, wychowanym w kulturze judeo-chrześcijańskiej, jest o to trudno.

Zdaniem Zwolińskiego mamy pokolenie bardzo mądrych, inteligentnych młodych ludzi, ale często ich entuzjazm, pasja są gubione albo niszczone. A do realizowania pasji, dążenia do celu różnymi drogami potrzebny jest optymizm. – Nie głupkowaty hurraoptymizm, tylko taki, który pozwala nam mimo mniejszych czy większych przeciwności losu robić swoje. Chciałbym, żeby Polacy stali się taką Finlandią, która może być pewnego rodzaju wzorcem. Ten mały kraj położony między wielką Rosją a Szwecją potrafił przekuć inteligencję swoich ludzi na doskonałą edukację. W tej sprawie



OPTYMIZM

Gdy pierwszą myślą
po zwolnieniu Cię z pracy jest to,
że wreszcie się wypiszesz.

nie jestem optymistą, ale nie można się poddawać – uśmiecha się Łukasz Zwoliński.

Optymizm kobiet

Cierpliwe w optyzmie muszą być polskie kobiety. Dr Małgorzata Tkacz-Janik, Ślązaczka z kresowymi korzeniami, feministka, kulturoznawczyni, jedna z pierwszych troszczących się o polską herstorię, wie, co to niezbędny optymizm. – Polki są optymistkami. Umieją walczyć

o swoje prawa, nie przekroczyły ekstremalnej granicy, nie paliły opon, nie demolowały sklepów w centrum Warszawy. Śmierci kolejnych kobiet, to, co prawo dziś proponuje Polkom, otaczająca nas rzeczywistość, mnogość spraw opiekuńczych spoczywających na barkach kobiet, mniejsze zarobki... Mimo to wydaje mi się, że jesteśmy silniejsze, a przez to możemy być bardziej optymistyczne. Polka pojedyncza i Polki zbiorowe zostały wzmocnione swoim czynem i z tego może wypływać optymizm, który nas wesprze, kiedy przyjdzie kolejna ciężka chwila – mówi twórczyni szlaków kobiet m.in. na Śląsku.

Kiedy wiele lat temu prowadziła jeden z pierwszych warsztatów antydyskryminacyjnych, uzmysłowiła sobie, że optymizm nie jest wyrazem chwilowego zadowolenia, że nie wypływa wprost z okoliczności życiowych. – Właściwie w ogóle z nich nie wynika, tylko jest bardzo silnym imperatywem, być może cechą psychologiczną, związaną z zachowaniem. Te warsztaty były dla mnie wielką lekcją, bo pokazywały, jak ludzie zachowują się w sytuacjach, w których stereotypowo moglibyśmy myśleć, że będą się czuć bardziej pogwałceni, dyskryminowani. Pokazały mi, że optymizm jest silną cechą, kształtowaną od dziecka, być może ma podłoże genetyczne, ale na pewno otoczenie wpływa na to, czy jest optymizmu mniej czy więcej. Nawet badania marketingowe pytają o klimat, nastroje polityczne, sąsiedzkie, społeczne – wskazują.

– To ci, którzy nie tracą pozytywnego spojrzenia, widzenia szklanki pełnej do połowy, wyprowadzają innych na powierzchnię, ku światłu i mają niezwykłe moce, by pokonywać przeszkody – dodaje.

Relacje w domu, szkole, pracy wpływają na takie odczucia jak szczęście, optymizm czy przekonanie o sensie życia, piszą specjaliści z Uniwersytetu Jagiellońskiego i Uniwersytetu Harvarda w podsumowaniu wieloletnich badań, opublikowanym w lipcu br. (...) „Dobra atmosfera może przełożyć się na poczucie szczęścia, optymizm, sens życia i lepsze kontakty z innymi, ma również pośredni wpływ na zdrowie”, np. o 32% mniej chorujących na depresję. Czyli pracownicy traktowani z szacunkiem i w równy sposób firmie przyniosą większe zyski finansowe, a w perspektywie państwa – większe wpływy do fiskusa, mniej kosztów opieki medycznej itd. Optymistycznie, czyli zdrowiej – od niezastraszonego dziecka, ucznia, przez zadowolonego pracownika, do zdrowego emeryta. Optymizm na zdrowie!

Beata Dżon-Ozimek
b.dzon@tygodnikprzeglad.pl

Szarlataneria optymizmu

Nierealistyczny pesymizm jest zdrowszy niż nierealistyczny optymizm, choć oba to fałszowanie rzeczywistości

Rozmawia Beata Dżon-Ozimek

Czy optymizm jest czymś bezwzględnie pozytywnym? Co przynosi bycie optymistą?

– Mniej więcej od 10 lat możemy słuchać poppsychologicznych wystąpień, że jeśli odpowiednio dużo będziesz marzył/marzyła, pracował/pracowała, na pewno osiągniesz, co chcesz; że trzeba być optymistą; że jeżeli czegoś nie osiągasz, to z pewnością dlatego, że marzenia nie były wystarczająco wielkie. Człowiek, który nie jest optymistą, tego czegoś nie osiąga, optymistą/optymistką oczywiście tak. To absolutnie fałszywe założenie, co jest poparte badaniami. Mogę jeszcze dodać, że ludzie, którzy mówią: „Uwierz w siebie, bądź optymistą”, mają pewien luksus, najpewniej na koncie kilka milionów złotych, mogą zatem pozwolić sobie na porażkę, którą się nie chwala. Nie nagłaśniamy porażek i można odnieść mylne wrażenie, jak kilka znanych osób śmie mówić, że istotnie to, co osiągnęły, jest normą. A to nie jest normą. U nas, odbiorców takich poppsychologicznych mądrości, porażka kończy się stanami depresyjnymi, wycofaniem z jakiejś działalności, stwierdzeniem, że ktoś się nie nadaje, bo przecież mówiono, że będzie wspaniale, a on tego nie osiąga.

Poppsychologia i patopsychologia to pańska nomenklatura robocza podczas pracy ze studentami.

– Bo ten „optymizm” ewoluuje do poppsychologii. To jest takie coś, co ktoś bierze ze zdrowego rozsądku: popatrz na świat, być może



PROF. WOJCIECH KULESZA

– psycholog społeczny

Wojciech Kulesza – doktor habilitowany, profesor Uniwersytetu SWPS, kierownik Katedry Psychologii Społecznej USWPS w Warszawie. Zajmuje się zjawiskiem mimikry (naśladownictwa zachowań, gestów i mowy ludzi), nierealistycznym optymizmem oraz tzw. medycznym fake newsem. Autor m.in. książki „Efekt kameleona. Psychologia naśladownictwa”.

przeczytał coś w internecie i teraz coś wie. To krzywdy nie robi, nie pomoże, a może pomoże, w każdym razie nie zaszkodzi. Niestety, patopsychologia idzie krok dalej. Ktoś zaczyna w coś wierzyć i sobie szkodzić. Zaczniemy od przerysowanego przykładu: jak stanę na Wielkiej Krokwi w Zakopanem na rozbiegu, spojrzę w dół i pomyślę, że jestem Adamem Małyszem, będę bardzo w to wierzył, nawet tre-

Badania przeczą założeniu, że optymizm bezwzględnie pomaga.

nował wiele lat, i tak nie skoczę jak Małysz. Jestem za stary, za gruby, za duży. Jestem w takim razie realistą, względnie pesymistą. Jeżeli człowiek uwierzy w siebie w duchu patopsychologii i skoczy, może się zabić przez ten optymizm. Weźmy lotnictwo cywilne i wojskowe. Jednym z przykładów dramatycznego założenia optymistycznego, że „damy radę”, było nieprzestrzeganie procedur w Smoleńsku. Kiedyś Bronisław Komorowski powiedział, że polski lotnik poleciał nawet na drzwiach od stodoły. No nie poleciał. Są procedury, ograniczenia, prawa fizyki. Przed atakiem na Irak Donald Rumsfeld, odwołując się do operacji Pustynna Burza, powiedział, że patrząc na ówczesne pięciodniowe zwycięstwo, można zakładać, że obecne będzie liczone może nie w dniach i tygodniach, ale w miesiącach. Realia? Pozostali tam na kilkadziesiąt lat.

A co o optymizmie mówią badania naukowe?

► – Badania przeczą założeniu, że optymizm bezwzględnie pomaga. Na przykład osoby bardzo otyłe były w jednej grupie proszone o założenie, że wszystko będzie dobrze, że będą piękne i zdrowe, a w drugiej, że bardzo sobie szkodzą, że może być bardzo źle z ich zdrowiem. No i ta druga grupa osiągała lepsze wskaźniki medyczne, bo zakładała, że może bardzo chorować, jeżeli o siebie nie zadba. Jeśli w poppsychologii zakładamy, że optymizm jest ważny, to czasem psychologia to potwierdza: bezwzględnie optymiści deklarują mniejszy ból,

Optymiści deklarują mniejszy ból, a po operacji kardiologicznej szybciej dochodzą do zdrowia.

a po operacji kardiologicznej szybciej dochodzą do zdrowia. Ale trzeba przyjąć, że pesymizm albo realizm jest niezwykle ważny, bo ostrzega nas, żeby nie robić czegoś, co wykracza poza nasze zdolności. **W psychologii społecznej zakłada się istnienie nierealistycznych optymistów i nierealistycznych pesymistów.**

– Nierealistyczny optymizm oznacza, że np. w covidzie zakładam, że owszem, mogę zachorować, ale to raczej pani czy mój sąsiad zachoruje. Jeśli jestem zaszczepiony, chodzę cały czas w maseczce, jest to założenie realistyczne. Zbadaliśmy, że w Polsce i w wielu różnych krajach wszyscy cierpieliśmy na ten gen szaleństwa optymizmu, zakładaliśmy, że to inni zachorują na covid, a nie ja. Okazało się więc, że likwidacja pandemii jest problemem nie medycznym, ale społecznym. Czyli medycznie wiadomo, co trzeba było robić, żeby nie chorować: zakładać maseczki, trzymać dystans społeczny, szczepić się i dezynfekować ręce. Zarażaliśmy się dlatego, że nierealistycznie zakładaliśmy, że np. od rodziny się nie zarazimy albo że przecież jesteśmy młodzi. To jest trochę podobne założenie jak w chorobach wenerycznych. Mamy wrażenie, że rodzina nas nie zarazi albo że jak ktoś jest z dobrego

domu czy dobrze wygląda, to na pewno nie jest nosicielem chorób.

Co w takim razie zakłada nierealistyczny pesymizm?

– To pojęcie wprowadził Dariusz Doliński po wybuchu w elektrowni atomowej w Czarnobylu. Polacy wówczas uważali, że to przede wszystkim oni zachorują, a nie sąsiedzi. Okazało się, że przełożyło się to na niezwykle prozdrowotne zachowania. Ludzie pili płyn Lugola, częściej zamykali okna, rzadziej wychodzili na zewnątrz, powstrzymywali się od jedzenia nowalijek, czyli nierealistyczny pesymizm, który też

świat płonął, a my jeszcze nie, to tylko jeszcze nie, a potem się okazało, że rzeczywiście płonęliśmy. Uspokajanie powoduje, że przestajemy się izolować, przestajemy słuchać zaleceń specjalistów. Badania psychologów, nie tylko nasze, pokazują, że przyszłe masowe problemy medyczne, które dotyczą wiele osób, rozwiązywane będą przez czynniki psychologiczne powodujące to, jak mamy patrzeć na ten moment – że mamy odstawić te drzwi od stodoły, przestać próbować na nich latać i wreszcie zacząć słuchać lekarzy, fachowców.

Co pan sądzi o stanie optymizmu politycznego, społecznego po mar-szu 4 czerwca w Warszawie?

Czy to był jakiś specjalny moment, który na coś w praktyce się przełożył? Czy podlegamy już „szarłatane-rii optymizmu”?

– Przyszłość trudno przewidzieć, więc oczywiście nie wiem, ale mamy już porażki takich zrywów. To były choćby strajki kobiet. Co z tego wynikało? Nic. Budowanie wspólnoty narodowej nie wystarcza. Możemy się czuć dobrze, że dużo ludzi przyszło, jeżeli jesteśmy z tego obozu politycznego, ale czy coś z tego będzie? Nie mam takiego przekonania, nie mogę też zaprzeczyć. Mam jeszcze jeden przykład. Marsze nie muszą oznaczać nic pozytywnego; co pewien czas są czarne marsze, jak po śmierci chłopca, który został

nie ma sensu, bo niemożliwe, żebyśmy wszyscy byli bardziej narażeni niż inni, pchał nas do prozdrowotnych postaw. Wracając do nierealistycznego optymizmu, kobiety, które uważają, że to koleżanka zachoruje na raka piersi, rzadziej się badają. Studenci, którzy uważają, że alkoholizm dotknie kolegów, a nie ich, częściej ryzykownie korzystają z alkoholu itd. Czyli mamy pewne zagrożenia wynikające z optymizmu, ale mamy też skrzywienia poznawcze, takie jak nierealistyczny optymizm czy nierealistyczny pesymizm,

Pesymizm albo realizm jest niezwykle ważny, bo ostrzega nas, żeby nie robić czegoś, co wykracza poza nasze zdolności.

które są odwrotne według naszej logiki. Nierealistyczny pesymizm jest zdrowszy niż nierealistyczny optymizm, choć oba to fałszowanie rzeczywistości.

Co z badań psychologów społecznych może wynikać w praktyce?

– Pokazujemy badaczom z zakresu zdrowia publicznego, że trzeba zmieniać narrację, np. na początku covidu rząd mówił, że wszystko jest pod kontrolą, wszystko będzie dobrze. To było nierealistyczne zachowanie, a raczej założenie. Jeżeli cały

skatowany. I co? I nic. Kilka tygodni później zginął kolejny chłopiec zakatowany przez bliskich – znów ktoś czegoś nie zgłosił, ktoś odwrócił wzrok. Karol Modzelewski uważał, że ruch społeczny, który się nie przeradza w ruch polityczny, spełnia na niczym. Mówiąc wprost, na tym optymizmie trzeba teraz zbudować ruch ludzi, którzy chcą działać. A to już zależy od polityków i opozycji.

Beata Dżon-Ozimek
b.dzon@tygodnikprzeglad.pl

Refleksje pesymisty



Andrzej Romanowski

Henryk Siewierski

Niezwykła przygoda mi się trafiła. W auli Collegii Novi Uniwersytetu Jagiellońskiego patrzyłem, jak w ślad za orszakiem profesorów, dziekanów i rektorów wkracza do sali ubrany w togę mój kolega ze studiów, Henryk Siewierski. Uczyliśmy się na jednym roku, w jednej grupie, razem działaliśmy w studenckim Kole Polonistów, razem odbywaliśmy nasze uniwersyteckie staże i asystentury. Dziś moja Alma Mater obdarzyła Henryka medalem Merentibus.

W istocie jest on jednym z wybitnych naukowców mojego pokolenia. Z mojego roku studiów, który dyplom magisterskie odbierał przed niemal półwieczem, chyba tylko prof. Ryszard Nycz zdobył podobną, międzynarodową renomę. Było pięknym akcentem uroczystości, że to właśnie Nycz wygłaszał okolicznościową laudację. Ryszard dla Henryka: czy w naszych czasach, gdy uczyliśmy się zapatrzeni w mistrzów – Marię Dłuską, Henryka Markiewicza, Jana Błońskiego – mógłby ktoś to sobie wyobrazić?

Z naszej piątki, którzyśmy zostali po studiach na uczelni, Henryk zrobił doktorat jako pierwszy. I wkrótce potem, w roku 1981, został lektorem języka i literatury polskiej na uniwersytecie w Lizbonie. Ale w Polsce wprowadzono stan wojenny – i Henryk udzielił krytycznego wywiadu prasie portugalskiej. Warszawa chciała go represyjnie odwołać, jednak za młodym naukowcem stanęli jak mur Portugalczycy. Henryk pozostał więc w Lizbonie, a ponieważ miał szczęście do ludzi, jego nauczycielem języka portugalskiego został przypadkowo jeden z najwybitniejszych tamtejszych intelektualistów, Agostinho da Silva. Ten „pisarz, intelektualista, naukowiec, pedagog, wizjoner”, jak go swego czasu określił prezydent Portugalii Mário Soares, obdarzył Henryka przyjaźnią, ten zaś nagrał z nim cykl rozmów, które, wydane jako „Vida conversável”, stały się w Portugalii bestsellerem. I to z rekomendacji da Silvy przyleciał Siewierski w sierpniu 1986 r. do Brazylii, gdzie zatrudnił się na stołecznym Universidade de Brasília jako *visiting professor*. Potem, po 22 latach, wygrał konkurs i osiągnął szczyt brazylijskiej kariery akademickiej jako *professor titular*.

Ale już znacznie wcześniej był na Uniwersytecie w Brasílii dyrektorem Instituto de Letras. To tak, jakby w Polsce dziekanem wydziału polonistyki został rodowity Brazylijczyk. Henryk doprowadził do powstania w instytucie laboratorium języków indiańskich, założył instytutowe wydawnictwo. Potem był szefem wydawnictwa całego uniwersytetu. A co najciekawsze, zaczął

pisać wiersze w języku portugalskim! Obecnie jest już autorem trzech tomików, bardzo dobrze przyjętych przez brazylijską krytykę.

Człowiek, który mieszka w Brazylii 37 lat i który zrobił tam taką karierę, wydawał się dla Polski stracony. Ale to nie był przypadek Siewierskiego! Jeszcze w Portugalii, w roku 1984, zaczął on wydawać pismo „Aproximações”, poświęcone przekładom na język portugalski literatur Europy Wschodniej. Potem, już w Brazylii, założył stowarzyszenie sławistów w São Paulo. Wreszcie zaczął tłumaczyć – i to w obie strony. Największe znaczenie miały jego przekłady Brunona Schulza, wydane w 2013 r. jako „Ficção completa – Dzieła zebrane”, w serii Prosa do Mundo najbardziej prestiżowej oficyny brazylijskiej. Już wcześniej zaś, w roku 2000, wydał też Siewierski pierwszą w Brazylii historię polskiej literatury: „História da

Siewierski w Brasílii był dyrektorem Instituto de Letras. To tak, jakby w Polsce dziekanem wydziału polonistyki został rodowity Brazylijczyk.

literatura polonesa”. A wreszcie w roku 2011, w wyniku jego starań, otwarto na Uniwersytecie w Brasílii „katedrę Norwida”. Do dziś jest Siewierski w Brazylii ambasadorem kultury polskiej.

Odkąd w roku 1990 stało się to możliwe, pojawia się – i to ze wzruszającą częstotliwością – w Polsce. Objeżdża wtedy cały kraj, ośrodki polonistyczne i portugalistyczne. Wielokrotnie wędrował też na Ukrainę, do Schulzowskiego Drohobycza. A inne kontynenty? On był chyba wszędzie! Gdy kiedyś – mam nadzieję – spiszę wspomnienia, pojawiają się w nich kraj i emigracja, Portugalia i Brazylia, Ameryka Południowa i Ameryka Północna, rodzinna kultura europejska i kultura brazylijskich Indian.

Medal Merentibus otrzymał Siewierski podczas VIII Światowego Kongresu Polonistów. Załącznikiem tych kongresów była – jak dziś widzę – Międzynarodowa Studencka Sesja Polonistyczna z roku 1974, nasze wspólne dzieło z Henrykiem, on bowiem ją wymyślił, a ja, prezes Koła Polonistów, zorganizowałem. Dziś widzę nas obu, pięknych 20-latków, siedzących w tej samej auli Collegii Novi, obok przemawiającego prof. Kazimierza Wyki... Naszych mistrzów już nie ma, lecz ich uczniowie przenoszą ich przesłanie nawet do dalekiej Brazylii.

a.romanowski@tygodnikprzeglad.pl

Kompromis ze Stalinem?

Jak powstanie warszawskie podzieliło „polski Londyn”

Bohdan Piętko

Powstanie warszawskie przyspieszyło kryzys polityczny w „polskim Londynie”, który zapoczątkował stopniową izolację rządu na uchodźstwie wśród aliantów zachodnich. Rząd premiera Stanisława Mikołajczyka ponosił znaczną część odpowiedzialności za wybuch powstania, którego pierwotnie nie przewidywały ani plany rządowe, ani plany dowództwa Armii Krajowej. Głównymi orędownikami podjęcia walki z Niemcami w Warszawie w obliczu trwającej ofensywy radzieckiej byli gen. Leopold Okulicki „Kobra” (zastępca szefa sztabu Komendy Głównej AK) oraz płk Antoni Chruściel „Monter” (komendant

wobec sprzeciwu strony brytyjskiej. Nierealna była też ocena sytuacji militarnej jako sprzyjającej powstaniu. W rzeczywistości bowiem początkowa panika Niemców w związku z nadchodzącą ofensywą radziecką została szybko opanowana, a odtworzona niemiecka 9. Armia przygotowywała się do obrony stolicy i jej przedpola. Siły niemieckie w dniach 25 lipca-10 sierpnia 1944 r. odrzuciły Armię Czerwoną spod Okuniewa i Radzymina (była to tzw. bitwa radzyńska). W takiej oto sytuacji 1 sierpnia wybuchło w stolicy powstanie.

W Londynie rozszyfrowano depeszę gen. Komorowskiego 26 lipca, na krótko przed odlotem premiera Mikołajczyka do Moskwy na rozmowy z Józefem Stalinem. Tego samego

się głównie względami natury politycznej. Chodziło im o zmanifestowanie przed Stalinem i utworzonym 20 lipca 1944 r. Polskim Komitetem Wyzwolenia Narodowego prawa rządu londyńskiego do objęcia władzy nad Polską. Sądono również naiwnie, że powstanie skłoni zachodnich aliantów do poparcia Polski w konflikcie politycznym z ZSRR.

Wiedział o tym Stalin, dlatego od początku przyjął niechętną postawę wobec powstania warszawskiego i nie śpieszył się ze wznowieniem zakończonych właśnie niepowodzeniem ofensywy na kierunku warszawskim. W dniach 30 lipca-9 sierpnia 1944 r. premier Mikołajczyk złożył wizytę w Moskwie. ZSRR nie utrzymywał stosunków dyplomatycznych z rządem polskim w Londynie od kwietnia 1943 r. (pretekstem do ich zerwania przez Moskwę było polskie żądanie wyjaśnienia zbrodni katyńskiej). Ponadto pozycję rządu londyńskiego osłabiały decyzje podjęte w sprawie polskiej na konferencji Wielkiej Trójki w Teheranie (28 listopada-1 grudnia 1943 r.), których premier Mikołajczyk i jego ministrowie nie byli w pełni świadomi aż do października 1944 r., oraz utworzenie PKWN w lipcu 1944 r.

Wyzwolenie Warszawy przez AK miało być dla Mikołajczyka kartą przetargową, wzmacniającą jego pozycję w rozmowach z kierownictwem ZSRR. Okazało się, że jest odwrotnie. Brutalnie uświadomił mu to minister spraw zagranicznych ZSRR Władysław Mołotow, który na początku spotkania w dniu 31 lipca zapytał Mikołajczyka: „Po co pan tutaj przyjechał?”. Również spotkanie ze Stalinem 3 sierpnia rozwiało wszelkie nadzieje odnośnie do politycznej siły przetargowej powstania. W rozmowach z delegacją polską Stalin

Okulicki i Chruściel poprzez spreparowanie meldunku o „czołgach sowieckich na Targówku” wymusili na gen. Tadeuszu Komorowskim wydanie rozkazu o wybuchu powstania.

Okregu Warszawa AK). Poprzez perswazję i spreparowanie fałszywego meldunku o „czołgach sowieckich na Targówku” wymusili oni na dowódcy AK, gen. Tadeuszu Komorowskim „Borze”, wydanie rozkazu o rozpoczęciu walki w stolicy.

Rząd polski w Londynie pozostawił decyzję o wszczęciu powstania dowództwu AK, nie zdając sobie sprawy z rozgrywek w Komendzie Głównej. Było to posunięcie fatalne. 25 lipca 1944 r. gen. „Bór” wysłał depeszę do Londynu, meldując gotowość do walki o Warszawę „w każdej chwili”. Prosił o przybycie do Warszawy Brygady Spadochronowej gen. Sosabowskiego i zbombardowanie przez aliantów lotnisk niemieckich pod Warszawą, co było całkowicie nierealne

dnia premier w depeszy zwrotnej upoważnił delegata rządu na kraj Jana Stanisława Jankowskiego do ogłoszenia powstania powszechnego „w momencie przez was wybranym”. Po latach Mikołajczyk wypierał się inicjatywy wysłania tej depeszy, oskarżając o samowolę ministra spraw wewnętrznych Władysława Banachy. Istota depeszy z 26 lipca została jednak potwierdzona depeszą wicepremiera Jana Kwapińskiego z 2 sierpnia, wysłaną jeszcze przed otrzymaniem w Londynie informacji o wybuchu powstania w Warszawie.

Co wiedział Stalin

Wyżsi oficerowie AK, podrywając stolicę do walki z Niemcami, kierowali



Wizyta w Moskwie rozwiła nadzieje premiera Mikołajczyka na to, że powstanie warszawskie będzie kartą przetargową w rozmowie ze Stalinem. Nz. Stanisław Mikołajczyk (z lewej) z wicepremierem Janem Kwapińskim po powrocie z ZSRR, 9 sierpnia 1944 r.

i Mołotow powątpiewali w rozpoczęcie powstania w Warszawie. Na spotkaniu Mikołajczyka z przedstawicielami PKWN i KRN otwarcie zanegowała wybuch powstania Wanda Wasilewska. Jako warunek współpracy Kreml postawił rekonstrukcję rządu polskiego w Londynie poprzez wprowadzenie do niego przedstawicieli Polskiej Partii Robotniczej.

Z punktu widzenia aliantów zachodnich nieustępliwość władz polskich wobec żądań Moskwy była problemem, którego chcieli jak najszybciej się pozbyć. Dlatego podczas pobytu delegacji polskiej w Moskwie dyplomaci Wielkiej Brytanii i USA wywierali ogromną presję na Mikołajczyka, by skłonić go do przyjęcia wszystkich żądań radzieckich w kwestiach terytorialnych, organizacyjnych i personalnych. Ambasador USA w Moskwie William Averell Harriman nalegał nawet, żeby Mikołajczyk

nie wracał do Londynu, ale wezwał do Moskwy swoich zwolenników i w porozumieniu z PKWN przystąpił do tworzenia wspólnego rządu.

W ocenie najbardziej antykomunistycznych polityków polskich, takich jak prezydent Władysław Raczkiewicz, gen. Kazimierz Sosnkowski i działacze

– było przyczyną podjęcia przez niego tematu rekonstrukcji rządu.

18 sierpnia Mikołajczyk przedstawił na posiedzeniu Rady Ministrów propozycję (tzw. Tekst A) udania się do Warszawy natychmiast po uwolnieniu jej od Niemców i dokonania rekonstrukcji rządu w porozumieniu

Dyplomaci Wielkiej Brytanii i USA wywierali ogromną presję na Mikołajczyka, by skłonić go do przyjęcia wszystkich żądań radzieckich.

emigracyjnej PPS, było to równoznaczne z likwidacją polskich władz na uchodźstwie i wyrzeczeniem się niepodległości. Mikołajczyk jednak coraz bardziej zdawał sobie sprawę, także w kontekście trwającego powstania w Warszawie, z beznadziejności położenia swojego rządu. To – oprócz presji aliantów zachodnich

z Radą Jedności Narodowej i prokomunistyczną Krajową Radą Narodową. Rekonstrukcja miała polegać na poszerzeniu bazy politycznej rządu, w skład którego oprócz czterech „stronnictw londyńskich” (Polskiej Partii Socjalistycznej, Stronnictwa Ludowego, Stronnictwa Pracy i Stronnictwa Narodowego) weszliby ▶

► przedstawiciele PPR. Planowi premiera sprzeciwili się politycy PPS z wicepremierem Janem Kwapińskim na czele, którzy uznali, że jest to droga do utraty niepodległości.

Ministrowie wywodzący się z PPS zgłosili własny projekt (tzw. Tekst B), w którym za punkt wyjścia do dyskusji o wszelkich zmianach politycznych uznali radziecką zgodę na bezwarunkowe wznowienie stosunków dyplomatycznych z rządem polskim w Londynie. Ponadto uzależniali dopuszczenie PPR do rządu od uznania przez komunistów zasadniczych założeń polityki polskiej. Stanowisko socjalistów zostało odrzucone przez SL, SP i SN, które poparły premiera Mikołajczyka.

Propozycje Mikołajczyka

Obie propozycje – Tekst A i Tekst B – zostały 22 sierpnia przekazane władzom Polski Podziemnej w celu przedyskutowania i zaopiniowania. Oddzielną depezę wystął 24 sierpnia prezydent Raczkiewicz. Przedstawiała ona negatywną ocenę propozycji premiera Mikołajczyka. 28 sierpnia Komisja Główna Rady Jedności Narodowej, po pewnych wahaniach ze strony przedstawicieli SN, jednomyślnie poparła propozycje premiera. Wprowadziła tylko do Tekstu A postulaty opuszczenia Polski przez obce wojska (w domyśle radzieckie) po ustaniu działań wojennych i zwolnienia Polaków wywiezionych do ZSRR.

Prezydent Raczkiewicz zdymisjonował Sosnkowskiego po naciskach Brytyjczyków, którzy dali do zrozumienia, że to konieczność, warunkująca porozumienie polsko-radzieckie.

Jednakże 29 sierpnia gen. Tadeusz Komorowski „Bór” wystął depezę do naczelnego wodza, gen. Kazimierza Sosnkowskiego, w której bardzo ostro skrytykował Tekst A jako zejście z „platformy niepodległościowej” i wezwał rząd do bezkompromisowej postawy wobec ZSRR. W odrębnej depeży wystanej tego samego dnia z walczącej Warszawy do Londynu wicepremier Jan Stanisław Jankowski poinformował, że jest przeciwny

obu propozycjom (Tekstom A i B). Jednomyślną uchwałą KG RJN poparł w Krajowej Radzie Ministrów jedynie Adam Bień, reprezentujący Stronnictwo Ludowe (partię premiera Mikołajczyka).

Stanowisko gen. Komorowskiego i wicepremiera Jankowskiego dodało skrzydeł gen. Sosnkowskiemu. Wystął on 30 sierpnia do Warszawy depezę,

Premier Churchill zakomunikował „polskiemu Londynowi”, że obalenie Mikołajczyka zostanie uznane za atak na rząd brytyjski.

w której aprobował ich postawę, dodając: „Woła do Was Polska, z woli Stwórcy ponownie ukrzyżowana. Któż Polskę z krzyża zdejmie, któż Jej zapewni zwycięstwo i wolność, jeśli nie Wy, najlepsi Jej synowie, wierni żołnierze polscy – Wy strażnicy Jej praw, Jej honoru?”. Naczelnny wódz pisał to w sytuacji, gdy upadało już Stare Miasto, a teren kontrolowany przez powstańców skurczył się do wyizolowanych enklaw na Żoliborzu, w Śródmieściu, na Powiślu i Górnym Czerniakowie oraz na Mokotowie.

Zanim w bombardowanej i palonej przez Niemców Warszawie odszyfrowano depezę gen. Sosnkowskiego, 30 sierpnia RJN całkowicie zmieniła swoje poprzednie stanowisko, które było przychylne Tekstowi A. W nowej rezolucji domagano się, żeby projekt rządowy został wiążąco zagwarantowany przez aliantów zachodnich. Najpierw powinny zostać przyjęte

30 sierpnia wystął do Moskwy memoriał (przyjęty przez rząd 29 sierpnia), w którym powoływał się na pierwsze, pozytywne stanowisko RJN. Również 30 sierpnia przewodniczący Rady Narodowej Stanisław Grabski spotkał się z ambasadorem radzieckim przy rządach uchodźczych Wiktorem Lebediewem. Przekazał mu poufne stanowisko premiera Mikołajczyka, który

deklarował 20% miejsc w rządzie przedstawicielom PKWN, pozostawienie baz radzieckich w Polsce dla łączności z okupowanymi w przyszłości Niemcami oraz uzgodnienie przyszłej konstytucji RP z władzami ZSRR.

Stalin obrał cyniczną taktykę, udając pośrednika pomiędzy rządem polskim w Londynie a PKWN. Zgodnie z tą taktyką memorandum Mikołajczyka zostało w Moskwie zignorowane i przekazane do rozpatrzenia przez PKWN, którego przedstawiciele już podczas sierpniowych rozmów w Moskwie oferowali Mikołajczykowi stanowisko premiera rządu jedności narodowej, ale jego współpracownikom z Londynu najwyżej cztery teki w tym rządzie. PKWN odrzucił 15 września memorandum rządu polskiego na uchodźstwie jako nienadające się do dyskusji.

Informacja o faktycznym odrzuceniu przez stronę radziecką memorandum dotarła do Londynu 9 września. W tym czasie gen. Sosnkowski podjął działania mające na celu storpedowanie propozycji premiera Mikołajczyka w razie ich przyjęcia w Moskwie. Najpierw groził wypowiedzeniem posłuszeństwa rządowi i demonstrował chęć skakania ze spadochronem do walczącej Warszawy. Na dochodzące z otoczenia gen. Sosnkowskiego żądania dymisji Mikołajczyka brutalnie zareagował premier Churchill. Poprzez brytyjskiego ministra spraw zagranicznych Anthony’ego Edena zakomunikował, że obalenie Mikołajczyka zostanie uznane za atak na rząd brytyjski i spowoduje „przecięcie naszych więzi” z rządem polskim w Londynie.

Akt oskarżenia

1 września gen. Sosnkowski opublikował w „Dzienniku Żołnierza” rozkaz nr 19 skierowany do Armii Krajowej. Tekst ten, utrzymany w niezwykle patetycznej formie, był wielkim aktem oskarżenia pod adresem aliantów zachodnich za porzucenie walczącej Warszawy i sprawy polskiej. Ta demonstracja Sosnkowskiego stała się doskonałym pretekstem dla zwolenników premiera Mikołajczyka do podjęcia działań, które miały doprowadzić do usunięcia generała ze stanowiska naczelnego wodza. Treść rozkazu skrytykował nawet gen. Władysław Anders, który

Sosnkowskiego. Zrobił to dopiero po naciskach Brytyjczyków, którzy dali do zrozumienia, że to konieczność, warunkująca porozumienie polsko-radzieckie. Na nowego naczelnego wodza prezydent powołał gen. Komorowskiego „Bora”, który dwa dni później – w związku z kapitulacją powstania w Warszawie – trafił do niewoli niemieckiej. Ta sytuacja umożliwiła Mikołajczykowi bezpośrednie podporządkowanie sobie wojska (zarówno Polskich Sił Zbrojnych, jak i AK), którym faktycznie kierowali odtąd lojalni wobec niego generałowie Marian Kukiel (minister obrony narodowej) i Stanisław Kopański (szef Sztabu Naczelnego Wodza).

Polski Podziemnej i dowództwa AK, które poparły stanowisko gen. Sosnkowskiego. Czy gdyby „Bór” i wicepremier Jankowski poparli Tekst A, doszłoby do porozumienia z PKWN w sprawie utworzenia rządu na zasadach proponowanych przez Mikołajczyka? Wydaje się to mało prawdopodobne. Stalin i PKWN takiego porozumienia bowiem nie pragnęli, czego dowiodły chociażby rozmowy w Moskwie z delegacją rządu polskiego na uchodźstwie w pierwszej połowie sierpnia 1944 r. i późniejsze odrzucenie memorandum premiera Mikołajczyka.

Kompromis z Kremlm – za cenę dobrowolnej rezygnacji z Kresów

DEMASKUJEMY KŁAMSTWA O POWSTANIU

Kto odpowiada za śmierć 200 tysięcy cywilów

41 zł 31 zł

Błędy dowódców. Poforne rozkazy i dokumenty

42 zł 32 zł

Obłęd i głód. Nieznany „dziennik powstańczy”

40 zł 30 zł

Raporty oficerów AK: To się skończy katastrofą

44 zł 34 zł

Gen. Władysław Anders: Powstanie to zbrodnia

43 zł 33 zł

5 tomów w pakiecie

210 zł 140 zł

Zamów na sklep.tygodnikprzeglad.pl lub wpłać na konto: 72 1090 2851 0000 0001 2023 9821 Fundacja Oratio Recta, 03-410 Warszawa, ul. Inżynierska 3 lok. 7. Darmowa wysyłka listem nierejestrowanym Poczta Polska.

zarzucił Sosnkowskiemu, że uderza w stosunki sojusznicze z Wielką Brytanią. 12 września premier Mikołajczyk zażądał od prezydenta Raczkiewicza dymisji Sosnkowskiego ze stanowiska naczelnego wodza. Z identycznym wnioskiem zwrócił się 22 września do prezydenta rząd.

Sosnkowski sporządził 17 września prośbę o dymisję, ale nie wiadomo, czy ją złożył i nie została przyjęta przez Raczkiewicza, czy też sam zrezygnował z tego zamiaru. Prawdopodobnie było to z jego strony zagranie taktyczne, bo po 22 września odmówił dobrowolnego ustąpienia ze stanowiska. Ostatecznie prezydent Raczkiewicz 30 września zdymisjonował

Upadek gen. Sosnkowskiego, który – obok emigracyjnej PPS – reprezentował najbardziej bezkompromisowy wobec żądań Kremla nurt polityczny w „polskim Londynie”, nie poprawił położenia rządu polskiego na uchodźstwie wobec ZSRR. Wkrótce nastąpił też upadek premiera Mikołajczyka. Podał się on do dymisji 24 listopada 1944 r. wobec odmowy przyjęcia przez jego rząd ultimatywnych warunków radzieckich w sprawie oparcia granicy wschodniej Polski na tzw. linii Curzona.

Kryzys polityczny w „polskim Londynie” z sierpnia i września 1944 r. rozegrał się na tle powstania warszawskiego z udziałem władz

Wschodnich i uznania PPR – był realny jedynie przed utworzeniem PKWN, a najlepiej tuż po konferencji w Teheranie. Pozwoliłoby to uniknąć tragedii powstania warszawskiego oraz deportacji akowców do ZSRR. Prawdopodobnie jednak nie gwarantowałby on obozowi londyńskiemu trwałego utrzymania się przy władzy w Polsce powojennej. Do takiego wniosku składania przykład Czechosłowacji, gdzie w 1948 r. przewrót komunistyczny obalił demokrację i usunął prezydenta Beneša, który w 1943 r. zawarł układ z ZSRR gwarantujący jemu i jego zwolennikom udział we władzy.

Bohdan Piętko

Polska Ludowa

– przeszłość i wyzwanie

Jakiej Polski potrzebują jej mieszkańcy? Radykalnie socjalnej, suwerennej, z dobrymi relacjami z sąsiadami

August Grabski

Od lat obserwuję przekaz medialny na temat byłego święta 22 Lipca. Niezmiennie cechuje go nienawiść prawicy wszelkiej maści i – w najlepszym razie – milczenie parlamentarnej lewicy. A zdarzają się wręcz potępienia Polski Ludowej ze strony działaczy Nowej Lewicy. Tymczasem, jak wielu z nas, byłem obywatelem Polski Ludowej i jestem z tego dumny – uważam, że bilans ówczesnej Polski był imponujący i może być inspiracją.

Wielki skok cywilizacyjny

Polska Ludowa była okresem największego skoku cywilizacyjnego naszego społeczeństwa w XX w. W krótkim okresie zacołany i biedny kraj, dodatkowo zdewastowany przez niesłychanie krwawą wojnę, zmienił się w sposób radykalny. Nie tylko odbudowano go w nowych, bezpieczniejszych granicach, ale też wydzwignięto do pozycji państwa numer dwa w bloku wschodnim.

Po raz pierwszy w polskiej historii przewyżczono bezrobocie i bezdomność, zaspokoiono głód ziemniaków na wsi, stworzono powszechny i bezpłatny system opieki zdrowotnej oraz powszechny i bezpłatny system oświatowy. Zlikwidowano analfabetyzm. Zbudowano nowoczesny przemysł. Wyzwolono gospodarkę narodową z wpływów obcego kapitału. Otoczono opieką matkę z dzieckiem, tworząc system żłobków i przedszkoli. Wprowadzono powszechne zabezpieczenie na starość. Zaopiekowano się niepełnosprawnymi – wprowadzono renty, rozwinęto

spółdzielczość pracy dla inwalidów. Zelektryfikowano polską wieś. Państwo wzięło na siebie organizację wakacyjnego wypoczynku pracujących, jak również dostępu do dóbr kultury. Zagwarantowano kobietom prawa reprodukcyjne. Rozszerzono radykalnie udział kobiet we władzy politycznej – w Sejmie wybranym w 1980 r. stanowiły one 23% posłów (ten wynik poprawiono w III RP dopiero w 2011 r.). Dokonano rozdziału Kościoła od państwa. To wszystko (i wiele innych osiągnięć) mogłoby napawać dumą polską lewicę.

Ważne jest tutaj stwierdzenie, że właściwie wszystkie te reformy mogły być dokonane dopiero dzięki sięgnięciu po władzę przez PPR i PPS oraz odsunięciu dawnych elit społecznych.

Odwołanie do największego skoku cywilizacyjnego w polskiej historii mogłoby być przedmiotem dumy polskiej lewicy.

Czy gdyby przy władzy pozostała prawica, możliwy byłby w Polsce rozdział Kościoła i państwa? Czy ziemiaństwu nie udało się dwukrotnie zablokować w II RP reformy rolnej? Czy inna niż lewica siła polityczna mogłaby porozumieć się z ZSRR w sprawie zachodniej granicy Polski? Czy zachowanie obcego kapitału w polskiej gospodarce nie zablokowałoby rewolucji przemysłowej?

Polska Ludowa miała swoje cienie związane z autorytarnym charakterem władzy politycznej, które należy potępić, ale kwestia ta podlega obecnie karykaturalnej demonizacji. Ci, którzy przez 30 lat konstruowali i ugruntowywali obowiązującą teraz narrację historyczną, przejętą dziś

przez niemal wszystkie media, muszą abstrahować od skali terroru policyjnego i brutalnej cenzury w II RP, skali przemocy sanacyjnej dyktatury wobec ruchu robotniczego, powojennych zbrodni pogrobowców sanacji i endecji. W cieniu autorytaryzmu rodzącej się Polski Ludowej dokonał się wielki postęp społeczny, natomiast w cieniu autorytaryzmu II RP rozkwitała jedynie wąska elita tłumiąca aspiracje mas, utrzymująca je w nędzy i ciemnocie.

Jak żałośnie wyglądają na tle pierwszych dekad Polski Ludowej pierwsze dekady III RP: masowe bezrobocie, niszczenie całych gałęzi gospodarki, rabunkowa prywatyzacja, przywrócenie haniebnego zjawiska bezdomności, masowa klerykalizacja,

walka z prawami kobiet itp. Zakrzywienie prawdy o nędzy pierwszych dekad III RP jest oczywiście miarą wpływów liberalno-konserwatywnych mediów. W ogóle realna ocena rzeczywistości przez lewicę musi się zacząć od zerwania z mentalnym uzależnieniem od mediów innych opcji politycznych.

Utopijna nostalgia?

Polska Ludowa nie istnieje od ponad trzech dekad. Jest zamkniętym rozdziałem historii. Czy ma sens nawiązywanie do niej, czy może taka postawa jest czymś archaicznym i śmiesznym na wzór choćby istnienia do dziś organizacji monarchistów?

Odwołanie do największego skoku cywilizacyjnego w polskiej historii mogłoby być przedmiotem dumy polskiej lewicy. A Polska to kraj, w którym myślenie historyczne ma się dobrze, co świetnie pokazuje kształtowanie przez PiS swojego elektoratu przy pomocy IPN i jego narracji o „wyklętych”, rzekomym sensie powstania warszawskiego, „niepodległościowej” opozycji (tak naprawdę finansowanej przez CIA) itp. Podczas gdy prawica poprzez tę politykę historyczną daje swoim wyborcom poczucie dumy, parlamentarna lewica poprzez brak takiej polityki funduje swoim sympatykom nieustający wstyd lub konieczność przeproszania.

Jednak w pozytywnej ocenie Polski Ludowej oraz doświadczenia socjalizmu i w traktowaniu ich jako swego rodzaju drogowskazu znacznie ważniejsze wydaje się spojrzenie w przyszłość. Świat – taki, jakim jest – nie pociągnie długo – lub przynajmniej nie powinien być akceptowany. Żyjemy w czasach bezprecedensowego postępu technicznego, który zamiast służyć przewyżczeniu nierówności, jeszcze je zaostrza. W USA prawie 70% bogactwa należy do 10% społeczeństwa, a 1% najbogatszych posiada 32% bogactwa, podczas gdy 50% najuboższych Amerykanów posiada tylko 3% własności (www.statista.com). W Polsce różnice też są znaczące – choć daleko mniej drastyczne, a to ze względu na egalitarne dziedzictwo PRL. Najbiedniejsza połowa Polaków bogaciła się po 1989 r. w tempie 1% rocznie. Dochody 10% Polaków o najwyższych dochodach rosły realnie o 4,2% rocznie. Natomiast dla najbogatszych III RP była niczym eldorado. W przypadku 0,001% najbogatszych Polaków wzrost dochodów w latach 1989-2015 wyniósł, bagatelka, 5066% (obliczenia Pawła Bukowskiego i Filipa Novokmeta).

Takie statystyki można mnożyć w nieskończoność. A wszystkie one przemawiają za tym, by nierównościom, ale też innym patologiom generowanym przez kapitalizm – np. widmu globalnej katastrofy ekologicznej czy wyścigowi zbrojeń – przeciwstawić jakąś formę centralnego planowania podporządkowanego interesowi ogółu, czyli właśnie

za opcją na rzecz socjalizmu. Powszechna komputeryzacja pozwala z kolei na refleksję o tym, jak zastąpić liberalną, czyli oligarchiczną demokrację, w której wybory są de facto kupowane, rzeczywiście stałą, oddolną konsultacją społeczną.

Postrzeganie rywalizacji socjalizm-kapitalizm z europejsko-amerykańskiego punktu widzenia to norma, ale

mogący tutaj kiedyś dotrzeć. Nawet w naszym marginalnym dla polityki Unii Europejskiej i NATO kraju w propagandzie głównych partii rozbrzmiewa ten rasistowski strach. A przecież Polsce „groziłaby” dziś raptem relokacja w ramach UE np. 30 tys. uchodźców. Co jednak, gdyby za jakiś czas w kierunku Europy zaczęły zmierzać dziesiątki milionów?

Parlamentarna lewica funduje swoim sympatykom nieustający wstyd lub konieczność przeproszania.

zarazem intelektualne lenistwo. Pomiędzy bowiem zdecydowaną większość ludzkości, skoro w tym regionie żyje tylko ok. 15% z 8 mld mieszkańców globu. Większość populacji, zwłaszcza żyjącej w Trzecim Świecie, to miliardy ludzi pozbawione dostępu do godnej pracy, oświaty, ochrony zdrowia. To jest ten padół łez, gdzie najlepiej widać potrzebę socjalizmu. Tymczasem według organizacji Oxfam 10 najbogatszych ludzi na świecie ma majątek większy niż 40% najbiedniejszych (ponad 3,1 mld osób). Rzecz zmienna – tych 10 najbogatszych podwoił swój majątek w czasie pandemii COVID-19 („Guardian”, 17 stycznia 2022 r.). Trzecioświatowi nędzarze funkcjonują w kontekście europejskich mediów głównie jako zagrożenie – jako

Wybory wyborami, ale przede wszystkim potrzebne jest zupełnie nowe rozdanie na lewicy – powstanie formacji, która głosiłaby to, co lewica głosić powinna: antykapitalizm, antymilitaryzm – sprzeciw wobec ekspansji NATO, obronę suwerenności – sprzeciw wobec dominacji USA. Oznaczałoby to walkę o zupełnie inną Polskę niż III RP.

Jakiej Polski potrzebują jej mieszkańcy? Są oczywiście możliwe różne wizje kraju – klerykalna, liberalna, nacjonalistyczna itp. – ale bez wątplenia najszerze masy potrzebują właśnie Polski radykalnie socjalnej, suwerennej, z dobrymi relacjami z sąsiadami. Jak ją inaczej nazwać jeśli nie ludową? I tu właśnie przeszłość spotyka się z wizją przyszłości. ■

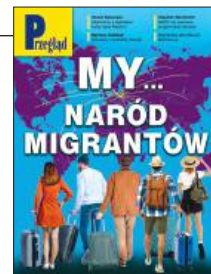
LIST

✉ Odpowiedzialność za kryzys lat 80.

W tekście o emigracji Polaków (PRZEGLĄD nr 30) jest też mowa o PRL i kryzysie lat 80. W tych latach byłem dzieckiem i dopiero wchodziłem w wiek nastoletni. Ale jeśli dobrze pamiętam, to wówczas powszechnym zjawiskiem były strajki, a także załatwianie i kombinowanie. Jeśli więc się strajkuje, to się nie produkuje, a jeśli sprzedaje się coś „pod stołem” i wszystko załatwia, to potem nie ma towaru w sklepach na półkach. I jeśli przy tym jeszcze się kradnie... Tu część Polaków ma swoje za uszami. Zatem pretensje do „komuny” o to, że był kryzys, to raczej pretensje, że nie ukróciła kombinatorstwa i złodziejstwa Polaków! Jeszcze na początku lat 90., gdy zacząłem swoją pierwszą pracę już w prywatnej hurtowni, kradzieże towaru były normą!

Dlatego moim zdaniem kryzys gospodarczy lat 80. to w dużej części wina samych Polaków (nie władzy, nie Jaruzelskiego)! Bo np. na takich bratnich Węgrzech zaopatrzenie w latach 80. było w miarę dobre (jak na państwa bloku wschodniego nawet bardzo dobre). Dlaczego? Może nikt tam nagminnie nie strajkował, nie kombinował, nie kradł i podchodził odpowiedzialnie i rzetelnie do swoich obowiązków?

Piotr Robecki



Piotr Kimla

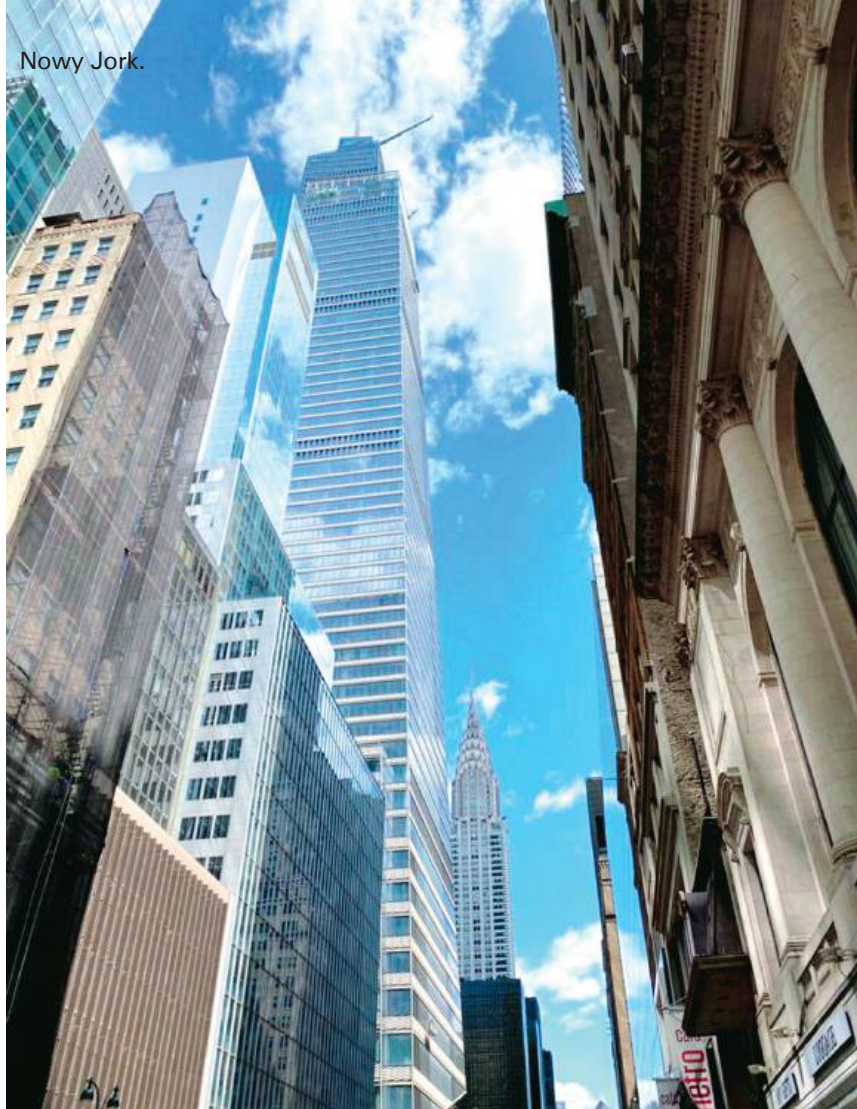
Mam nadzieję, że pani Eliza Sarnacka-Mahoney nie będzie żywić urazy, że wchodzę jej w paradę, pisząc o Stanach Zjednoczonych od strony socjologicznej, nie politycznej.

Byłem przez chwilę w Nowym Jorku, potem przemieściłem się samochodem do „Małej Polski” („Little Poland”), czyli New Britain, gdzie mieści się Central Connecticut State University, by znów znaleźć się w Nowym Jorku. Max Weber był zdania, że próżność jest chorobą zawodową profesorów, i nie mogę dać gwarancji, że choroba ta całkowicie mnie omija. Nie zapadłem na nią jednak tak głęboko (chciejmy w to wierzyć), by nie widzieć śmieszności prób traktowania subiektywnych spostrzeżeń jako uniwersalnie ważnych twierdzeń. Żywię mimo wszystko nadzieję, że gdy piszę o Ameryce, chociaż chwilami udaje mi się być sprawiedliwym wobec rzeczywistości. Opisuję rzeczy tak, jak je widziałem, nie zakładając kajdan political correctness ani żadnych innych.

Nowojorskie metro

Mówi się, że metro w Nowym Jorku jest najbardziej demokratyczną instytucją w USA. Naturalnie demokracja amerykańska ma bardzo niewiele wspólnego z demokracją jako taką. Fundamentem ideowym ustroju demokratycznego jest równość. Biorąc rzecz od strony rzeczywistości, a nie ideologii, dążenia do równości i kontentowania się nią w amerykańskim systemie i w społeczeństwie jest jak na lekarstwo. Demokracja amerykańska jest zoligarchizowana i silnie elitarystyczna. Tworzy enklawy bogactwa, postępu technologicznego, naukowego itd., w których skrywa się potęga Ameryki. Niemniej są to tylko enklawy. Howard W. French robi zarzut Indiom, że „cierpią na poważne niedostatki demokracji (...), jeśli chodzi o względnie równy udział obywateli w korzyściach płynących ze wzrostu gospodarczego” (PRZEGLĄD nr 29/2023). Gdyby French zechciał przyjrzeć się dokładnie własnemu krajowi, zobaczyłby, że ten zarzut nie omija także USA.

Nowy Jork.



AMERYKAŃSKIE IMPRESJE

Uderzyła mnie niska świadomość ekologiczna Amerykanów na Wschodnim Wybrzeżu – najbardziej zeuropeizowanej części USA

Jako pars pro toto może służyć coś tak powszechnego w Europie jak tani dostęp do internetu. W Stanach Zjednoczonych dostęp do sieci jest drogi. Dlatego wielu Amerykanów jest skazanych na wyszukiwanie miejsc publicznych, w których mogą z niej korzystać.

Nowojorskie metro można postrzegać jako demokratyczne w tym sensie, że do pewnego stopnia rzeczywiście zrównuje bogatych i biednych. A to dlatego, że poruszanie się samochodem po „nigdy niezasypiającym mieście” jest skrajnie kłopotliwe. Wszystko z powodu straszliwych

korków. Oczywiście nowojorscy milionerzy (a jest ich całkiem sporo) nie korzystają z metra. Przechodzą po dywanie ze swoich luksusowych loftów do ogromnych, czarnych SUV-ów i, wiezieni przez szefów, wolniutki zmierzają do miejsc przeznaczenia.

Nowojorskie metro dostarcza z jednej strony wzruszeń natury estetycznej, ale z drugiej – wywołuje uczucie przygnębienia. Poruszające są występy artystów. Oniemiałem, gdy usłyszałem młodą wokalistkę wykonującą przebój Cindy Lauper „Girls Just Want to Have Fun”. Nie tylko ja. Ludzie nagle przystawali, zaczęli śpiewać i tańczyć. Zawsze już będę żałował, że nie wyjąłem telefonu i nie nagrałem choć kilku sekund występu tej artystki. Przygnębienia z kolei liczba osób chorych psychicznie, krzyczących w metrze. Powodujących, że ludzie przesiadają się do innych wagonów, nie wiedząc, czy na przemocy werbalnej się skończy. Dojmujący jest fakt, że w amerykańskim „systemie” ochrony zdrowia ci chorzy nie mają praktycznie żadnych szans na otrzymanie pomocy. Nie stać ich na leczenie.

Pod względem przejrzystości kierunków jazdy poszczególnych linii nowojorskie metro nie może się równać z wiedeńskim, londyńskim czy paryskim. Zasadnicza informacja, że dany skład jedzie w kierunku uptown lub downtown, jest wystarczająca dla mieszkańców, ale nie dla odwiedzających Nowy Jork. Tym, co naprawdę uderza, jeśli chodzi o metro, nie są bynajmniej autentycznie wielkie i legendarne szczury swobodnie się tam przechadzające. Zadziwiający jest fakt, że znaczna część młodszej populacji nowojorczyków nie płaci za przejazdy. Zamiast uiszczać opłatę, przeskakuje ponad barierkami. Dzieje się to wszystko na oczach służb, które nie reagują. W kraju, w którym każdy może być uzbrojony w broń palną, kontroler biletów byłby zawodem nie tyle podwyższonego, ile skrajnego ryzyka. Nic więc dziwnego, że nikt nie kwapi się do egzekwowania należności. Pytanie, jak to wpływa na tych, którzy wciąż płacą.

W metrze rozpoczyna się też jeden z najdokuczliwszych procesów, jakim człowiek jest poddawany, przebywając na „ziemi prawie obiecanej”. To proces mrożenia.

Krioterapia dla każdego

Można odnieść wrażenie, że Amerykanie, gdy na zewnątrz temperatura osiąga 30 st. C, za punkt honoru stawiają sobie sprawienie, aby w pomieszczeniach było 16 st. Jasne jest, że musi to prowadzić do ekscesów w użyciu klimatyzacji. Tłoczy ona lodowate powietrze w głowy, karki, plecy, klatki piersiowe. Tak jest w metrze i w teatrach na Broadwayu, w restauracjach oraz w salach uniwersyteckich i konferencyjnych.



Wystawa „Karl Lagerfeld: A Line of Beauty” w Metropolitan Museum of Art.

Tak jest wszędzie. Próba zamówienia napoju niewypełnionego po brzegi kostkami lodu budzi u obsługi spore zdziwienie. Trzeba się tłumaczyć, że jest się z Europy, i wówczas można otrzymać – podany z uśmiechem politowania – napój w normalnej temperaturze. Gdy wchodzi się do sklepów, uderzają promocje wielkich worków z lodem. Można je mieć już za 7 dol. (plus podatek, który jest zróżnicowany, dlatego nigdy do końca nie wiadomo, ile człowiek zapłaci

w amerykańskim sklepie, szczególnie gdy przemieszcza się ze stanu do stanu). Pytałem kilkoro Amerykanów, jak znoszą ekscesy związane z różnicą temperatur. Odpowiedź: co roku zawsze na początku sezonu letniego jestem chory/chora, potem jest już w porządku. Nie doszukałem się u żadnego z rozmówców (niektórych bardzo wykształconych) refleksji, ile energii elektrycznej trzeba zużyć do mrożenia otoczenia. Generalnie uderzyła mnie niska świadomość ekologiczna Amerykanów na Wschodnim Wybrzeżu – najbardziej zeuropeizowanej (cywilizowanej?) części USA.

Ekologia

Woda lejąca się z kranu w kuchni podczas wykonywania czynności w innych pomieszczeniach jest czymś, co widziałem na własne oczy. Nie było to może najgrzeczniejsze, ale pobiegłem wodę zakręcić, bo psychicznie było to nie do udźwignięcia. Woda w USA jest śmiesznie tania, czasem w ogóle darmowa. Nie mam poczucia, że dla rozmówcy przekonujący był argument, iż nie tyle pieniądze są ważne, ile coraz większy deficyt wody na świecie, istnienie ludzi oszalałych z pragnienia. Nie widziałem nikogo, kto w Ameryce myłby ręce na niemiecką modłę. Czyli: odkręcenie wody w celu zamoczenia rąk, zakręcenie wody, nabranie mydła, dokładne mycie rąk przez 40 sekund, odkręcenie wody, by spłukać ręce.

W firmowym sklepie flagowej amerykańskiej marki ekspedientka zdziwiła się, że nie chcę plastikowej torby. Że mam własną, pojemną i posiadanie jej to jeden z elementów ekologicznych odruchów Europejczyków. W odpowiedzi usłyszałem wypowiedzianą obojętnym głosem uwagę, że w mojej postawie „nie ma nic złego”. Ta obojętność mogła wynikać również z tego, że sprzedawczyni była czarnoskóra. W Ameryce zaś nadal istnieją wielkie pokłady rasizmu. Nie tylko rasizmu ludzi białych w stosunku do Afroamerykanów, który zresztą, wedle moich obserwacji, jest o wiele głębiej ukrywany, ale także rasizmu Afroamerykanów w odniesieniu do ▶

► ludzi o białym kolorze skóry, który bywa jawny, czasem ostentacyjny. W każdym razie kino amerykańskie, które traktuję jako najskuteczniejszą instytucję zwalczającą rasizm w USA, ma jeszcze naprawdę wiele do zrobienia.

Autostrady

Ameryka słynie ze wspaniałych autostrad i dróg. Bardzo możliwe,

środkowym. Ponieważ ciągle jechałem z przepisową prędkością, wyprzedzający mnie amerykańscy kierowcy nie byli ze mnie zadowoleni.

Enklawy

Wspominałem już, że w Ameryce istnieją enklawy, w których otrzymuje się produkty najwyższej klasy. Pomijam teraz biznes, sferę technologii, naukę. Zwracam się w stronę

Konieczny. Pod względem muzycznym i wokalnym przedstawienie wybitne. Zostawia tylko niedosyt pod względem choreograficznym. Jest zbyt statyczne. W tym sensie „Latający Holender”, którego widziałem w Berlinie – w zachwycającej inscenizacji (obraz w obrazie) Philippa Stölzla – oraz „nasz” warszawski w reżyserii Mariusza Trelińskiego górują nad nowojorskimi.

Nie sposób nie wspomnieć o dwóch światowej klasy muzeach. Pierwsze to MoMA – Muzeum Sztuki Nowoczesnej, w którym po raz kolejny dane mi było podziwiać obrazy Marka Rothko. Drugie to Metropolitan

Museum of Art. Tutaj ciekawostka: „Cyprysy” van Gogha przegrywały, jeśli chodzi o zainteresowanie, z wystawą „Karl Lagerfeld: A Line of Beauty”. Twórczość Lagerfelda była motywem przewodnim Met Gali 2023 – modowych Oscarów. To na tę wystawę była lista oczekujących, na którą należało się zapisać. Wejście po otrzymaniu zapraszającego SMS-a.

Końcowa refleksja

Zanurzając się na moment w morzu wielokulturowego amerykańskiego społeczeństwa, w rozwiniętej

Dostęp do internetu jest w Stanach drogi. Wielu Amerykanów musi szukać miejsc publicznych, w których mogą korzystać z sieci.

że tak jest. Ale nie na Wschodnim Wybrzeżu, po którym się przemieszczałem. Infrastruktura jest tam bardzo zaawansowana wiekowo. Jej konserwacja polega na łataniu ubytków w jezdni. Jaki daje to efekt, gdy jedzie się samochodem, każdy może sobie wyobrazić. Na tym tle podróż drogą szybkiego ruchu S7 z Krakowa do Warszawy to prawdziwy komfort. Przy tym wszystkim amerykańskie autostrady, po których się poruszam, są płatne.

Niezapomniana była stacja benzynowa, przy której zatrzymałem się, by uzupełnić paliwo. Trudno uwierzyć, że w XXI w. taka placówka może funkcjonować w USA. Kojarzyła się raczej z Ameryką Południową sprzed pół wieku. Skorzystanie tam z toalety było prawdziwym wyzwaniem. Od znajomych dowiedziałem się, że powinienem być zadowolony, bo toaleta była otwarta.

Jadąc, czułem się dziwnie, bo odnosiłem wrażenie, że jestem jedyną osobą, która przestrzega przepisów i ograniczeń prędkości (w USA „doktoryzowałem się” z kodeksu drogowego, aby nie popełnić jakichś głupich błędów). Ponieważ jechałem z przepisową prędkością, a wszyscy inni z dużo większą, poruszałem się prawym pasem. Ma to jednak tę wadę, że można nieoczekiwanie znaleźć się w przyautostradowej miejscowości, gdyż prawy pas dość często staje się nagle pasem zjazdowym. Wyciągnąłem z tego wnioski i po jakimś czasie sunąłem już pasem

sztuki. Zdradziłem się już kiedyś, że miałem epizod studiowania teatrologii. W związku z tym widziałem dużo wybitnych przedstawień. Jednak to, co zobaczyłem na Broadwayu, przeszło moje najśmielsze oczekiwania. Trudno opisać sztukę, jaki prezentują broadwayowscy aktorzy w szlagierze „New York, New York”. To, jak grają, jak śpiewają, jak tańczą, jak stepują. Wyszedłem przekonany, że w teatrze nic lepszego w życiu już mnie nie czeka. Nie mogąc jednak się powstrzymać, zaryzykowałem rozczerowanie i poszedłem na Broadway jeszcze raz. Na znane wszystkim

Przygnębia liczba osób chorych psychicznie, krzyczących w metrze.

„Pół żartem, pół serio” („Some Like It Hot”). Przedstawienie przebiło „New York, New York”. Łyżką dziegciu są ceny biletów. Przypominają, że zanurzyliśmy się w świat twardego kapitalizmu i trzeba bardzo się nagimnastykować oraz mieć dużo szczęścia, aby kupić bilet w sensowniejszej cenie, nie za 250 dol.

Niedoścignioną dla reszty świata świątynią sztuki operowej jest Metropolitan Opera. Z jednego z filmów Woody’ego Allena dowiadujemy się, że gdy słucha on Wagnera, od razu ma ochotę najechać na Polskę. Nie cierpię na tę przypadłość, więc nie miałem obiekcji co do wystłuchania i zobaczenia w Met „Latającego Holendra”. Zresztą w obsadzie w głównej roli występował Tomasz

części USA, nie odnosi się wrażenia, że góruje ono nad Europą. Europejska demokracja wydaje się projektem o wiele bardziej egalitarnym i po prostu sprawiedliwszym. Rozwiązania amerykańskie niekiedy zdają się nie nadążać za upływem czasu. Sztandarowy przykład można wskazać w sferze finansów. W USA wciąż funkcjonują i świetnie się mają czeki. W każdym razie Europejczycy ustawiający się w kolejce do przekroczenia amerykańskiej granicy w poszukiwaniu lepszego życia to dawno przebrzmiała historia. Tylko przedstawiciele tamtejszej służby granicznej zdają się tego nieświadomi. Wciąż przybierają marsowe miny, wpuszczając Europejczyków do USA.

Piotr Kimla

Lewomyślniej



Roman Kurkiewicz

Ach, panie, panowie, co za cudowny czas ta kampania wyborcza, ileż niezwykłych wydarzeń! Tu szeregową lekarkę (na szczęście partyjną – z klucza: partnerki potentatów drobiowych łączą się) zostaje ministrami zdrowia w miejsce poprzednika szkodnika. Tam jeszcze większa ekscytacja: Polak (choć pracujący w Szwajcarii) polecą w kosmos! Już skończy się ta nieprzyjemna wyłączość gen. Mirosława Hermaszewskiego, wszak trzeba pamiętać, kto go wysłał w tym 1978 r.

Zapewne są powody, żeby się cieszyć, że z ponad 20 tys. kandydatów Europejska Agencja Kosmiczna zakwalifikowała do lotu, który współorganizuje (i chce na tym odbić się finansowo), Sławosza Uznańskiego, niespełna 40-letniego doktora elektroniki, pracującego dla Europejskiej Organizacji Badań Jądrowych w Genewie jako operator Wielkiego Zderzacza Hadronów. Jego naukowe i zawodowe zainteresowania od lat orbitują wokół przemysłu kosmicznego. Ale polski kosmonauta in spe

w kosmos? Oprócz efemeryd turystycznych dla najbogatszych i ściem, że to na potrzeby nauki, głównym powodem są oczywiście przygotowania do komercyjnej eksploracji kosmosu. Zmienia się paradygmat w dziedzinie zasobów naturalnych. Tego, czego brakuje na Ziemi lub jest trudno dostępne, jest w bród w kosmosie, i to blisko. Peter Diamandis, współzałożyciel Planetary Resources, prywatnej firmy, której celem jest „rozszerzenie bazy zasobów naturalnych Ziemi poprzez rozwijanie i wdrażanie technologii wydobywania złóż z asteroidów”, powiedział, że „pierwszy bilioner świata majątek zdobędzie w kosmosie”.

Zasoby krążące w Układzie Słonecznym są niewyobrażalne, a obecne koszty technik wydobywczych wcale nie tak wysokie. Za chwilę okaże się, że kosmos nie jest żadną „własnością całej ludzkości”, jak głosi Traktat o przestrzeni kosmicznej z 1967 r. Za chwilę tanie rakiety budowane masowo przy użyciu drukarek 3D (tak pracuje m.in. firma

Listki figowe fruną w kosmos

jest także himalaistą i bądź co bądź urodził się 12 kwietnia – dokładnie w rocznicę pierwszego lotu w kosmos Jurija Gagarina.

Polska podjęła właśnie decyzję (bez niej lot z m.in. Uznańskim nie mógłby się odbyć, a zaplanowany jest na przyszły rok), że zwiększy składkę płaconą corocznie do Europejskiej Agencji Kosmicznej aż o 295 mln euro. W poprzednim roku zapłaciliśmy 44,8 mln euro. Rządzący zachowują się ekstatycznie, jakby to rząd Prawa i Sprawiedliwości był nowym Związkiem Radzieckim i słał „naszego” na tydzień w kosmos. Drogo za siedem dni czy akuratnie? Minister rozwoju i technologii Waldemar Buda zachłysnął się na Twitterze: „To jest niesamowita historia, która pisze się na naszych oczach”. Tu nie Houston, wróćmy na Ziemię.

Lot, w którym ma wziąć udział Uznański, jest lotem komercyjnym. Nie badawczym, naukowym. Polska Agencja Kosmiczna ogłosiła dopiero poszukiwania (jest na to miesiąc!) koncepcji eksperymentów do przeprowadzenia w europejskim module Columbus Międzynarodowej Stacji Kosmicznej, bo tam polecą rakieta Dragon firmy SpaceX (Elona Muska!) w locie organizowanym przez prywatną firmę Axiom. „Axiom powstał w oparciu o wizję trwałego komercyjnego rozwoju przestrzeni kosmicznej – mówił dwa lata temu Michael Suffredini, prezes i dyrektor generalny firmy. – Pierwsze prywatne misje do ISS to wstęp do rozwoju naszej komercyjnej stacji kosmicznej”. Po co prywatne firmy organizują loty

Relativity Space, zbijając koszt budowy rakiety i niemal całkowicie rezygnując z pracy ludzi) i prywatne stacje kosmiczne rozpoczną grabieżczą eksplorację kosmosu, bynajmniej nie w celu rozwiązania problemów Ziemi, tylko dla zysku.

Tymczasem żadna technologia mogąca umożliwić to hiperkapitalistyczne zawłaszczanie nie powstała dzięki „osiągnięciom” prywatnych firm, wszystkie one zostały opracowane na uniwersytetach, za publiczne pieniądze. Będziemy zatem świadkami doskonale znanego upubliczniania kosztów i prywatyzacji (na kosmiczną skalę) zysków.

Znamy obecnie ponad 16 tys. asteroid bliskich Ziemi (ang. *near-Earth asteroids*, NEA), o średnicach od około metra do 32 km. Wartość bogactwa mineralnego NEA, jak podaje Aaron Bastani w książce „W pełni zautomatyzowany luksusowy komunizm” (wyd. Heterodox, Poznań 2022, w tłumaczeniu Joanny Bednarek), pozwoliłaby, po równym podziale między wszystkich mieszkańców Ziemi, obdarować każdego równowartością 100 mld dol. Zapewne jednak wszystko zmierza w stronę powstania nowej klasy bilionerów, a nie rozwiązywania problemów globu.

Przy całej sympatii dla przygody życiowej Sławosza Uznańskiego nie warto tracić z oczu istoty procedury, za który jeszcze stono płacimy. A Polska tradycyjnie w tym prywatyzującym się, poza powszechną wiedzą i świadomością, wyścigu po bogactwa – po prostu nie bierze żadnego udziału.

Ryszard Strzelecki-Gomułka: jak wyjść z cienia ojca?

Swoje miejsce znalazł w handlu zagranicznym, sprzedawał elektrownie w Iranie i Turcji

Robert Walenciak

Syn i ojciec... Władysław Gomułka opisuje we wspomnieniach, jak wybierał przyszły zawód. Jego ojciec bardzo chciał, żeby został krawcem ciężkim, czyli takim od garniturów i jesionek. Uważał, że to dobry zawód, a przy tym „czysty” i niewymagający ciężkiej pracy fizycznej. Chciał dla syna lepszego życia. Ale Gomułka nie chciał być krawcem, uważał, że to mało męskie. „Oświadczyłem mu stanowczo, że takiego zawodu pełnić nie będę – napisał. – Musiał się z tym pogodzić, zbuntowałem się przeciw zamiarom mojego rodziciela”.

Czuć w tych słowach wielkie emocje, ten jego bunt wobec zamiarów ojca głęboko zapadł mu w pamięć.

Wiele lat później, w roku 1948, podobna rozmowa odbyła się między Władysławem Gomułką a jego synem Ryszardem, który po maturze w warszawskim liceum im. Reytana chciał iść na studia na historię lub ekonomię. A ojciec bardzo temu się sprzeciwił. „Tłumaczył podniesionym głosem – tak wspominał to Ryszard – że polityka jest brudna”. I że powinien mieć konkretną umiejętność. Że raczej powinien wybrać zawód inżyniera. Tak się stało, Ryszard Strzelecki-Gomułka poszedł za ojcowską radą i złożył papiery na Politechnikę Warszawską, na Wydział Elektryczny w zakresie elektrowni.

Skąd to nazwisko? Dlaczego Strzelecki-Gomułka? To skomplikowana historia. Ryszard urodził się w 1930 r. w Warszawie, ale wychowywał w Krośnie, w domu rodzinnym Gomułków, pod okiem dziadków, Kunegundy i Jana, oraz ciotki Ludwiki. Inne go wyjścia nie było – jego rodzice za działalność komunistyczną zostali zatrzymani



Władysław Gomułka z żoną i synem idzie na wybory do Sejmu i rad narodowych. Warszawa, 30 maja 1965 r.

i trafili do więzienia. „Pierwszy raz zobaczyłem ojca, gdy miałem sześć lat – mówił Strzelecki-Gomułka. – To było w Katowicach, gdzie był sądzony, a ja pojechałem na proces z ciotką. Siedział na ławie oskarżonych”.

W roku 1936 chłopiec poszedł do miejscowej szkoły, pierwszą klasę skończył jako Ryszard Gomułka. Tak ma zapisane na świadectwie. Ale potem zaczęły się kłopoty, bo małego Ryszarda formalnie nie było. W II RP urzędy stanu cywilnego istniały tylko na ziemiach dawnego zaboru pruskiego. Władysław Gomułka i Zofia Szoken nie mogli więc, jako osoby niewierzące, zalegalizować swojego związku. Wobec tego ich syn, jako nieochrzczony, nie był nigdzie zarejestrowany. Dlatego siostra Gomułki, Ludwika, wybrała się w podróż po więzieniach, w których przebywali rodzice małego chłopca, i uzyskała od nich zgodę na jego chrzest. Został zatem ochrzczony, ale... Ponieważ z punktu widzenia Kościoła był dzieckiem nieślubnym, ksiądz zdecydował, że musi nosić nazwisko matki – był więc Ryszardem Szokenem. Pod takim nazwiskiem przyjął pierwszą komunię. Był wtedy bardzo wierzący, bał się piekła i co wieczór modlił się przed pójściem spać.

„Zdawałem sobie sprawę, że moja matka jest Żydówką, bo o tym mówiło się w rodzinie, ale ja z tego powodu nie miałem żadnych nieprzyjemności, choć dzieciom miejscowych Żydów w różny sposób dokuczano”, mówił Eleonorze Syzdek.

Sytuacja stała się zła, gdy wybuchła wojna. Władze okupacyjne ze względu na matkę mogły go uznać za Żyda, co oznaczałoby dla niego wyrok śmierci. Jej pochodzenie nie było przecież tajemnicą, wiedzieli o tym wszyscy sąsiedzi i znajomi. Nikt nie doniósł. „Odczuwałem raczej dużą przychylność, będąc członkiem społeczności polskiej, czułem się dość bezpiecznie”, przyznawał. W Krośnie skończył szkołę powszechną i rozpoczął naukę w szkole handlowej.

We wrześniu 1944 r., po wyzwoleniu Krosna, przyjechała po niego matka i zabrała do Lublina. Tam poszedł do miejscowego gimnazjum, którego dobrze nie wspomina, a po

wyzwoleniu Warszawy przeprowadził się z rodzicami do stolicy. Przy okazji przeprowadzki, gdy rozpoczął naukę w gimnazjum im. Reytana, zdecydował się rozpocząć ją pod przybranym nazwiskiem. Władysław Gomułka był już znanym politykiem, a kilkunastoletni Ryszard nie chciał budzić sensacji. Wyczytał gdzieś, że na zachodzie Europy często dzieci znanych osób chodzą do szkoły pod innym nazwiskiem, i – dość przypadkowo – wybrał: Strzelecki. Zupełnie wtedy nie wiedząc, że jest taki działacz PPR, Ryszard Strzelecki. Nic go z nim nie łączyło.

Ryszard Strzelecki: Ojciec tłumaczył podniesionym głosem, że polityka jest brudna. I że powinienem wybrać raczej zawód inżyniera.

Na jego świadectwie maturalnym widnieje więc: Ryszard Strzelecki. 20 lipca 1951 r. oficjalnie już zmienił nazwisko na Strzelecki-Gomułka. Widnieje ono na jego dyplomie ukończenia studiów.

Lata od czerwca 1948 r. do grudnia 1954 r. to najtrudniejszy okres w życiu Władysława Gomułki i jego rodziny. Czas, kiedy wypychany jest z partii, a później zostaje aresztowany i zamknięty w willi UB w Miedzeszynie. Co ciekawe, w tej samej willi, tylko na innym piętrze, zamknięta była również Zofia Gomułkowa. Ale o tym, że są przetrzymywani w jednym budynku, żadne z nich nie wiedziało.

Zanim jednak został zatrzymany, przez wiele miesięcy wokół Gomułki zaciskała się pętla. Co o tym zdecydowało? Podział wewnątrz komunistów na krajowych i tych, którzy przybyli „w wojskowych szynelach”? Sprawy programowe? Gomułka, przygotowując zjednoczenie Polskiej Partii Robotniczej i Polskiej Partii Socjalistycznej, usilnie naciskał, by w oficjalnych dokumentach uznać, że w sprawach dotyczących niepodległości Polski to PPS, a nie PPR miała rację. Dla komunistów wywodzących się z Komunistycznej Partii Polski coś takiego było herezją. Podobnie jak teza Gomułki o polskiej

drodze do socjalizmu, niechęć do mechanicznego kopiowania ZSRR i wszystkiego, co z ZSRR płynie.

Gomułka to starcie przegrał. Dotkliwiej, niż się spodziewał. Stracił stanowisko szefa partii, pojawiły się publiczne ataki na niego, przyjaciele i dawni „towarzysze walki” zaczęli się odsuwać. „Myśmcy wszyscy opuścili »Wiesławę«”, mówił, już w latach 60., Zenon Kliszko. Wszyscy się go wyparli. Ostatnimi jego przyjaciółmi pozostali Grzegorz Korczyński i sekretarka Wanda Podgórska, których zresztą w 1950 r. aresztowano. 13 maja 1950 r. aresztowano

też Mariana Spychalskiego i nie mogło mu to, że dwa lata wcześniej wyparł się „Wiesława” i złożył samokrytykę.

Pętla się zaciskała i Gomułkowie byli tego świadomi. Wiedzieli, że w ich mieszkaniu jest podstęp, że są obserwowani. „Właściwie to nam już wszystko jedno. I tak, i tak trzeba będzie głowę oddać, że nie chciało się być pajacem...”, czytamy słowa Zofii Gomułkowej w raporcie sporządzonym przez Józefa Świątę, dotyczącym jej „antypartyjnej postawy”.

Ten nastrój podzielał Władysław Gomułka. Zastanawiał się nawet, czy istnieje możliwość wyjazdu z Polski.

Ciężkie czasy bardzo go zbliżyły do syna, który był już dojrzały, zaczynał studia – można mu było ufać. W zasadzie wyłącznie jemu. „Na kilka miesięcy przed aresztowaniem ojciec napisał oświadczenie, w którym stwierdzał, że zawsze był wierny swoim ideom, i nawet gdyby w trakcie procesu został zmuszony do oskarżenia siebie, będzie to zeznание nieprawdziwe i wymuszone – mówił Ryszard. – List ten, w przypadku rozpoczęcia procesu, miałem przekazać Stanisławowi Stommie lub Jerzemu Turowiczowi z »Tygodnika Powszechnego« z prośbą o przesłanie go do prasy zachodniej”. To znamienne, że Gomułka wskazał właśnie ich.

Ryszard Strzelecki list włożył do butelki i zakopał. Po latach próbował go odnaleźć, ale to się nie udało.

2 sierpnia 1951 r. Gomułka został wraz z żoną aresztowany i przewieziony do tajnego więzienia UB w Miedzeszynie.

A ich 21-letni syn? „W 1951 r. letnie wakacje spędzałem nad morzem – opowiadał Eleonorza Syzdek. – Po powrocie do Warszawy zastałem mieszkanie w alei Szucha opieczętowane, a od pracowników służby bezpieczeństwa dowiedziałem się

być wyjaśniona. W każdym razie ja mam zupełnie spokojne sumienie.

(...) Powiedziano mi, że pracujesz w Pruszkowie. Jestem z tego zadowolony. Chciałbym, abyś zdobył jak najwięcej doświadczenia praktycznego, abyś możliwie najgruntowniej opanował praktycznie i teoretycznie swoją dziedzinę pracy. Poza zdrowiem – to najcenniejszy skarb człowieka. Ciekaw jestem, czy zdałeś już wszystkie egzaminy? Należy się tak ująć w karby, aby nie myśleć o tym, co przeszkadza w pracy i nauce. Martwi mnie tylko, jak ty

rok temu nie byłem przekonany do swojego zawodu, dopiero teraz widzę słuszność Twoich wskazówek i jestem Ci bardzo wdzięczny za to, że skierowałeś mnie, mimo moich sprzeciwów, na Politechnikę.

Materialnie powodzi mi się dobrze, a zarobek mój w zupełności wystarcza na utrzymanie. Często bywam w Krośnie, ostatnio w czasie świąt Bożego Narodzenia.

Kochany! Z okazji Nowego Roku zasylam Ci serdeczne życzenia i mocno Cię całuję,

Ryszard”.

Okres studiów był więc dla Strzeleckiego trudny – z rodzicami miał kontakt listowny, bardzo ograniczony, i w zasadzie nic nie było wiadome – czy czeka ich proces sądowy, czy zostaną wypuszczeni. Atmosfera w kraju nie zachęcała do optymizmu. Gomułkę oskarżano o odchylenie pravicowo-nacjonalistyczne, dyskredytowanie polskiego ruchu robotniczego, wisiaty też nad nim możliwe oskarżenia o współpracę z gestapo i przygotowywanie obalenia ustroju socjalistycznego.

Strzelecki – sam pisze to w liście do ojca – zaczął więc doceniać swój kierunek studiów. Zdobywał konkretny zawód, omijał politykę... W tym czasie także ożenił się – ze studentką prawa Ludmiłą Białowąs.

Musiał minąć rok z okładem od śmierci Stalina, by w lipcu 1954 r. na wolność została wypuszczona Zofia Gomułkowa. Zamieszkała z synem i synową w ich kawalerce. Kilka miesięcy później z Miedzeszyna do szpitala na Wołoskiej przewieziony został Gomułka. Miał martwicę mięśni nogi i chory system nerwowy. W Wigilię 1954 r. pozwolono mu na dwa dni opuścić szpital, by spędzić święta z rodziną. To praktycznie oznaczało, że odzyskał wolność.

Ponieważ z punktu widzenia Kościoła był dzieckiem nieślubnym, ksiądz zdecydował, że musi nosić nazwisko matki – był więc Ryszardem Szokenem.

o aresztowaniu rodziców. Na kilka dni odpieczętowano mój pokój, a potem przeprowadziłem się do kawalerki przy ulicy Poznańskiej. (...) W odpowiedzi na moje nagabywania o los rodziców kilka razy zaprowadzono mnie do Józefa Świątły, a raz zorganizowano wizytę u Edwarda Ochaba – członka Biura Politycznego PZPR. Z rozmów tych nic nie wynikało, oprócz być może zgody na wystanie listu lub paczki z odzieżą. Moje nagabywanie o rodziców kwitowano zazwyczaj formułą, że śledztwo jeszcze jest w toku”.

Listy, które wymieniali (czytał je i osobiście zatwierdzał Bolesław Bierut), były więc rzadkie i podlegały cenzurze. Ale pokazują, jak bardzo byli sobie bliscy.

„Kochany Ryszardzie! – pisał Gomułka do syna w pierwszym liście z aresztu, datowanym na 20 listopada 1951 r. Czyli trzy i pół miesiąca po zatrzymaniu. – Jak Ci chyba zakomunikowano, na podstawie decyzji Rządu zostałem z dniem 2 sierpnia br. izolowany. Mama znajduje się prawdopodobnie w takiej samej sytuacji. Przyczyny izolacji nie są mi znane, gdyż dotychczas nikt ze mną na ten temat nie rozmawiał. Sprawa miała być wyjaśniona dosyć szybko, niestety, z nieznanych mi względów przedłuża się. Mam jednak wrażenie, że w najbliższym czasie powinna

teraz żyjesz, jak się odżywasz? Jak z opałem, mieszkaniem i wszystkimi opłatami. Z pieniędzy, które w domu pozostały, możesz naturalnie zaspakajać wszystkie potrzeby. Lecz tego na długo nie starczy. Możesz więc coś sprzedać z rzeczy domowych, np. aparat radiowy i w miarę potrzeby inne rzeczy. (...)

Jest to pierwszy list, który stąd piszę. Jeżeli Ci pozwolą, to odpisz mi. Bardzo chciałbym mieć jakąś wiadomość od Ciebie.

Serdecznie pozdrów ode mnie Babcię i Ludkę i napisz im, aby się o mnie nie martwiły, gdyż w gruncie rzeczy do zmartwień – według mojego głębokiego przekonania – nie ma powodów.

Ciebie synu również gorąco i serdecznie ściskam i całuję, do zobaczenia cię.

Władek”.

Jest też zachowany list Strzeleckiego do ojca. Wysłany ponad rok później, 30 grudnia 1952 r.

„Kochany Ojcie!”

U mnie wszystko po staremu, Politechnikę skończyłem, pracuję teraz w swoim zawodzie jako inżynier. Robota moja jest interesująca – pracuję mianowicie przy montażu urządzeń elektrycznych w nowo wybudowanych fabrykach. Jest to bezpośrednia praca produkcyjna, mało siedzenia przy biurku, a dużo pracy organizacyjnej i technicznej. Jeszcze



Rodzina Władysława Gomułka po wyjściu z lokalu wyborczego. Warszawa, 1 czerwca 1969 r.

dwupiętrowym domu. Rodzice zajmowali trzypokojowe mieszkanie na drugim piętrze, o powierzchni około 60 m kw. Obok niego było dwupokojowe mieszkanie, które przydzielono mnie i mojej żonie”.

Gomułka powoli odnawiał dawne przyjaźnie. Zaczęli go odwiedzać dawni współpracownicy, ci, których wypuszczano z więzień, a później i ci, którzy odsunęli się od niego podczas przełomu 1948 r. W wielu tych spotkaniach brał udział Strzelecki.

Ten czas ukształtował rodzinne stosunki i zwyczaje. W mieszkaniu, w dużym pokoju Władysław Gomułka przyjmował gości. Do pracy miał swój gabinet. Czytał i pisał w nim do późna w nocy. Zofia po wyjściu z aresztu nie wróciła już do pracy partyjnej, zajmowała się domem. To była jej decyzja. W pierwszym okresie, w latach 1944-1948, była kadrową PPR. Komuniści przyjeżdżający z zagranicy zgłaszali się do niej, ona załatwiała im wejście w nowe życie. Pierwsze pieniądze i jakiś kwaterunek, ale przede wszystkim znajdowała im miejsca pracy w aparacie partyjnym lub państwowym. Była

szarą eminencją PPR, której dziesiątki osób zawdzięczały karierę. Po roku 1956 tej funkcji nie chciała już pełnić. Wybrała dom. Gomułka jadał więc codziennie u siebie w mieszkaniu. Gdy pracował w KC, przyjeżdżał na obiad, a potem wracał do pracy.

Obok mieszkał Ryszard z rodziną. Ta szybko się powiększyła o dwie dziewczynki, urodzoną w 1957 r. Ewę i Hannę, która przyszła na świat dwa lata później. Ponieważ Strzelecki

Praktycznie tworzyliśmy jedną rodzinę – mówił Eleonora Syzdek. – Zazwyczaj razem spędzaliśmy święta i troskliwie organizowane przez matkę uroczystości rodzinne. Często też całą rodziną wyjeżdżaliśmy na letnie wakacje”.

A życie zawodowe Ryszarda Strzeleckiego? Po studiach rozpoczął pracę w Zjednoczeniu Elektroprojekt jako projektant i kierownik

Przed aresztowaniem Gomułka napisał oświadczenie, w którym stwierdzał, że gdyby w trakcie procesu został zmuszony do oskarżenia siebie, będzie to zeznanie nieprawdziwe.

pracowali i późno wracali do domu, dziewczynki szły do babci, tam jadły, uczyły się. Ten model dużej rodziny nie zmienił się do śmierci Władysława Gomułka, bo gdy w latach 60. jako I sekretarz KC PZPR przeprowadził się do domu przy al. Na Skarpie, w tej samej klatce, dwa piętra niżej, zamieszkał Strzelecki.

„Byliśmy względem siebie bliscy, widywaliśmy się prawie codziennie.

robót. W styczniu 1959 r. przeszedł do Elektrimu, centrali handlu zagranicznego, która sprzedawała wyroby polskiego przemysłu elektrotechnicznego, a później, w latach 70., nawet kompletne elektrownie.

W Elektrimie doszedł do stanowiska dyrektora generalnego. A w roku 1969 został wiceministrem handlu zagranicznego. Na tym stanowisku pozostał do roku 1986. Był więc ▶

► jednym z najdłużej urzędujących wice ministrów w Polsce Ludowej.

Po grudniu 1970 r. spodziewał się, że zostanie odwołany. Nowa ekipa wprowadzała wtedy swoich ludzi, odwoływano „gomułkowców”, było na to przyzwolenie, dlaczego więc taka operacja nie miałyby dotknąć syna byłego szefa PZPR? Tymczasem stało się inaczej.

Andrzej Werblan pyta, dlaczego ekipa Gierka pozwoliła Strzeleckiemu pozostać na stanowisku, podaje dwa powody. Po pierwsze, jego praca była dobrze oceniana i nie było podstawy do dymisjonowania go. Dobrze pracował na rzecz ekipy gierkowskiej. Po drugie, i w czasach Gierka, i za Jaruzelskiego uważano, że taka dymisja zostałaby źle odebrana. Innymi słowy, nie było ani powodu, ani potrzeby robić w jego sprawie jakichś gwałtownych ruchów. W 1986 r. Strzelecki przeszedł do pracy w służbie dyplomatycznej i wyjechał do Londynu na stanowisko radcy handlowego naszej ambasady. Wcześniej o to stanowisko zabiegał.

Czy gdyby nie pozycja ojca, doszedłby do tak ważnych stanowisk? Tego nigdy się nie dowiemy, choć oczywiście Strzelecki cieszył się opinią dobrego fachowca. W Ministerstwie Handlu Zagranicznego

unikania konfliktów, poruszał się więc w swojej dziedzinie bardzo sprawnie. A przy tym nie angażował się w życie partyjne, wręcz tego unikał, był bardzo powściągliwy w wyrażaniu swoich opinii.

Zajmując jedno z ważniejszych stanowisk w handlu zagranicznym, miał dostęp do wielu danych i informacji dotyczących polskiej gospodarki, obrotów handlowych i sytuacji

List Gomułka syn miał przekazać Stanisławowi Stommie lub Jerzemu Turowiczowi z prośbą o przesłanie do prasy zachodniej.

odpowiadał za współpracę z krajami rozwijającymi się. Negocjował sprzedaż pod klucz elektrowni, wielkich inwestycji – w Iraku, Iranie, Turcji, Indiach... Był osobiście zaangażowany w podpisanie umowy o budowie elektrowni w Bachtaranie, stalowni w Mobarake, kompleksów petrochemicznych, cementowni. Był kompetentny – z racji wykształcenia znał się na tym, co sprzedaje, znał języki obce, miał umiejętność

finansowej. Dzielił się nimi z ojcem. Ich rozmowy o gospodarce przechodziły ewolucję. W latach 60. mówił ojcu o nonsensach socjalistycznego handlu. Potem, w pierwszej połowie lat 70., opowiadał mu z entuzjazmem o projektach inwestycyjnych. Wiele był zaangażowany, m.in. w zakup licencji Fiata 126p. Potem był coraz bardziej krytyczny, widząc, że inwestycje lawinowo rosną, ale nie ma pomysłu, jak je spłacać.



Ryszard z mamą Zofią.

Gomułka słuchał, analizował dostępne dane, liczył. Już w 1971 r. pisał, że polityka Gierka będzie prowadziła do katastrofy. W drugiej połowie lat 70. był o tym przekonany, bez zdziwienia przyjął i sierpniowe strajki, i stan wojenny. Wróżył też upadek ZSRR, twierdząc, że nie wytrzyma wyścigu zbrojeń.

Te opinie wygłaszał w gronie dawnych współpracowników, którzy regularnie go odwiedzali. Byli wśród nich Zenon Kliszko, Adam Schaff, Edwin Rożubirski, Jan Ptaśński... Rozmawiał z nimi i o bieżącej polityce, i o czasach konspiracji PPR-owskiej. Śmierć Nowotki, Józwiaka, sprawa Mołojców – te kwestie do końca życia go nurtowały.

W jego bibliotece dominują książki historyczne, niektóre zaczytane, z podkreśleniami lub krótkimi komentarzami na marginesach. Co czytał? Rzut oka na jego bibliotekę i można byłoby znaleźć znane pozycje.

„Korespondencja Stalin Churchill Attlee”, „Polska granica zachodnia” Gerarda Labudy, zaczytane książki Pawła Jasienicy, zaczytana, pełna podkreśleń „Najnowsza historia polityczna Polski” Władysława Poboga-Malinowskiego, „Pamiętniki” Józefa Hallera, „Dzieje kultury polskiej” Brücknera, „Wielka Koalicja” Włodzimierza Tadeusza Kowalskiego, pakiet „Zeszytów Historycznych” z „Kultury” Giedroycia, biografie Józwiaka i Nowotki, „Bismarck a Polska” Józefa Feldmana...

Poza tym chodził na długie spacery z psem (bo to zdrowe), unikał telewizji (bo szkoda czasu, wyjątkiem była Kobra jako rozrywka). I pisał wspomnienia. „Widok jego pochyłonej nad biurkiem sylwetki towarzyszył mi przez wiele lat”, wspominał Strzelecki.

Potem, jak mówią jego córki, to on zastąpił ojca przy biurku, pochyłony nad gazetami, czytając i pisząc.

Robert Walenciak
r.walenciak@tygodnikprzeglad.pl

Oko w oko



Tomasz Jastrun

Hieny i szakale

Karmią swój elektorat nienawiścią do Tuska, ileż złorzeczeń, jakby szykowali pokazowy proces zakończony spaleniem na stosie. Przez nienawiść, którą sięją, wszyscy stajemy się gorsi, bo my też ich nienawidzimy. Głosy, że Tusk popełnia błąd – wdaje się w bójkę z nimi, wali pięścią w twarz, a to błędna taktyka, powinien właśnie inaczej, kulturalnie i łagodnie. Sam nie wiem, czy tego od niego oczekujemy. Emocje są rozpalone jak na wojnie, a czym jest łagodność na wojnie, jeśli nie błędem?

Małe zawirowania w małżeństwie Kosiniaka-Kamysza i Hołowni, czyli PSL i Polski 2050, to już przeszłość; idą do wyborów razem. To związek ze strachu, boją się, że osobno nie wejdą do parlamentu. Ale koalicja Trzecia Droga, którą tworzą, też może nie wejść do Sejmu. Ryzyko jest wielkie, a konsekwencje błędu przerażające. Można tak sobie grać w kasynie i stawiać nawet duże sumy, ale oni stawiają Polskę. Bardzo wielu wyborców to widzi i doprowadza ich to do szewskiej pasji. Z tym że więcej złości prowokuje Hołownia, bo był kiedyś kościelny i wydaje się narcystyczny.

Rodzinnie na „Oppenheimerze”. Film chwilami dosyć skomplikowany i za długi. Antek zachwycony, Franio, lat 12, nie wszystko rozumiał, ale wysiedział bez skargi. Temat na czasie, bo zagłada termojądrowa znowu staje się realna. Przesłanie: powstanie bomby było nieuchronne i to się źle skończy dla ludzkości. Dla polskiej widowni pewne rzeczy są niezbyt czytelne, bo trzeba wiedzieć, czym byli w Stanach w latach 50. makkartyzm, słynna komisja, obsesja antykomunistyczna i węszenie wszędzie radzieckich szpiegów. Miało to pewne podstawy, tylko przerodziło się w paranoję. W Polsce zmierzamy w tę stronę, jeśli chodzi o putinizm i wpływy rosyjskie. Będą je węszyć wszędzie. A komisja, którą chce stworzyć prezes, ma rozbudzić emocje w stylu amerykańskim z lat 50. To jednak nie te czasy.

Kończy się bezinteresowna miłość PiS do Ukrainy. A ta bezinteresowność była bodaj jedyną ładną rzeczą, jaką reprezentuje ta okrutnie brzydka partia. Kończy się, bo pal łycho Ukrainę, najważniejsze jest wygranie wyborów. To już Putin jest lepszy od Tuska. A badania opinii publicznej mówią, że Polacy są zmęczeni Ukrainą, jest problem ze zbożem, z wieloma ukraińskimi produktami, które zalewają nasz rynek. I jest sprawa Wołynia. PiS ustawia się tak: załatwimy te sprawy albo nie będziemy was popierać, tak jak popieraliśmy do tej pory. Najgorszy czas

na takie stawianie sprawy. I to obrzydliwe. Były minister spraw zagranicznych w rządzie PiS Jacek Czaputowicz tak to skomentował: „Są państwa silne jak lwy, są państwa przebiegłe jak lisy i są państwa jak hieny i szakale. I my prowadzimy taką politykę hien i szakali. Przychodzi na myśl szmalcownictwo polityczne, w jakie się wpisujemy być może niedługo”. Czaputowicz zawsze wydawał mi się z innej gliny niż pisowcy i trochę się dziwiłem, co on tam robi.

Idąc tropem „Roku myśliwego” Miłosza, trafiam na jego książkę, którą mam w bibliotece, ale jej nie czytałem – „Wyprawa w dwudziestolecie”. To dokument z mądrymi osobistymi komentarzami poety. W kolejnych rozdziałach Miłosz za pomocą artykułów z przedwojennej prasy opisuje różne formy życia politycznego i społecznego ówczesnej Polski. To najlepsza lekcja historii, bo poznawana u źródeł, dotykana. Miłosz przez dwudziestolecie, już jako świadomy człowiek, mieszkał w Polsce, może trochę

**Kończy się bezinteresowna miłość PiS do Ukrainy.
Bo pal łycho Ukrainę, najważniejsze jest wygranie wyborów.**

z boku, bo w Wilnie, ale wiele czuł i wiedział. Okres międzywojenny, jak wiemy, był oplukiwany w czasach PRL, więc przekornie go idealizowaliśmy, w końcu to była wolna Polska. A jednak w tej mrocznej propagandzie było wiele prawdy. Teraz z kolei tamten czas tak się oddalił, że nie budzi dużych emocji. Miłosz pisze, że czuł wtedy głównie „gniew i rozpacz”. Za Miłoszem przypomnę, jaka była ówczesna oś wielkiego konfliktu, szokujące, że bliźniacza do dzisiejszej. Był Piłsudski i jego środowisko i była endecja, czyli polska prawica narodowo-katolicka, dziecko Romana Dmowskiego. Dzieliła te dwa ugrupowania mroczna wrogość, a chemia psychiczna tych dwóch wrogich sobie plemion była odmienna podobnie jak teraz. Używano najmocniejszych wyzwisk. Zasadnicza różnica wobec obecnego czasu to brak w Polsce mniejszości, brak antysemityzmu, teraz tylko się sączy i nie gra żadnej roli w polityce, a był ważną częścią ideologii hitlerowskiego faszystowskiego i naszej endecji. I oczywiście inna była ówczesna Europa, w krajach sąsiedzkich narastały ruchy faszystowskie, mordy polityczne były na porządku dziennym, nasi nacjonaliści mieli na kim się wzorować. Kaczyński ma teraz za wzór jedynie Węgry, które w czasie wojny sympatyzowały z Hitlerem. ■

Przestępcze migracje

Media dużo piszą o zatrzymaniach polskich przestępców za granicą. Szczególnie przytłacza skala przemocy domowej

Kornel Wawrzyniak

Matka spokojnie ogląda telewizję, przezuwając tosty, podczas gdy on raz za razem uderzał chłopca niczym worek treningowy. W pewnym momencie zrobił sobie przerwę, aby otrzeć pot z czoła. Bywało i tak, że Andrzej przerywał bicie i przyglądał się sobie w lustrze, podziwiając własną muskulaturę. Tamtego dnia chłopak dostał ponad 100 ciosów, zanim padł nieprzytomny. Dorośli oprawcy wezwali pogotowie dopiero po dwóch i pół godzinie. Wielomiesięczne tortury wreszcie się skończyły. Chłopak zmarł kilka godzin po przyjęciu do szpitala. Tak doszło do głośnego zabójstwa 15-letniego Polaka w 2021 r. Sąd w Leeds wydał wyrok w sprawie dwojga niespełna 40-letnich wyrodnialców rok później – dożywocie dla Agnieszki K. i jej partnera Andrzeja L. Kobieta ponoć zapałała po zapadnięciu wyroku. Możemy się tylko domyślać, czy nad sobą, czy może jednak nad synem.

W mediach pojawia się dużo informacji o Polakach, którzy dopuścili się jakiegoś przestępstwa za granicą. Część tych informacji dotyczy zawodowych przestępców, którzy wybrali działanie poza Polską – cóż, za chlebem trzeba czasem wyjechać. W większości przypadków docierają do nas jednak doniesienia o przemocy domowej lub tragicznych skutkach rodzinnych kłótni, które dosłownie idą na noże. Pytanie, czy rzeczywiście



Wśród polskich przestępców za granicą jest Dawid Miętus, który zamordował swoją dziewczynę w Irlandii Północnej. Zwłoki kobiety odkryto 2 sierpnia 2020 r.

mamy tylu przestępców wśród Polonii, czy to wypadkowa czynników związanych z migracjami i działania mediów poszukujących sensacji.

Polak to dobry nagłówek

Większość redakcji poczytnych dzienników i portali chętnie podkreśla udział Polaków w sprawach kryminalnych w innym kraju. Najczęściej czytamy wtedy nagłówki w stylu: „Polacy zatrzymani”; „Polak usłyszał wyrok”; „Polska rodzina zamordowana”. Warto zauważyć, że często rozbijane są

międzynarodowe szajki – jeśli jest w nich chociaż jeden Polak, redakcje już mają materiał na newsa. Niekiedy nawet lokalnym redakcjom zdarza się informować, że mieszkaniec danej miejscowości albo regionu został zatrzymany w innym kraju!

Przestępca z Polski jest zawsze nośnym tematem dla krajowych mediów. Najsłynniejszy przykład próby zrobienia sensacji z narodowości przestępcy to nagłówek z portalu Onet: „Hiszpańskie władze zatrzymały pół-Polaka, który wyłudził miliony”. Pochodzenie jest tu najważniejszą informacją – ma wzbudzać większą sensację niż skala przestępstwa. Po lekturze artykułu okaże się zaś, że owo złamanie prawa nie wyróżnia się na tle innych wyłudzeń czy piramid finansowych. Dużo ciekawsza jest historia brawurowych napadów na bankomaty w Austrii, którym to procederem parat się pewien bydgoszczanin.

Mężczyzna ze współnikami wysadzał maszyny i wyjmował z nich gotówkę. Wpadł przez przypadek, kiedy grudziądzka drogówka zatrzymała go do rutynowej kontroli i funkcjonariusze zdali sobie sprawę, że jest poszukiwany europejskim nakazem aresztowania.

Część opisywanych przez media sytuacji to efekt nieumiejętnego uprawiania „zawodu” złodzieja lub nierozgarnięcia, które utrwała na Zachodzie stereotypy o głupocie i chamstwie Polaków. Weźmy zdarzenie z czerwca tego roku. Dwóch idiotów zostało

złapanych na holenderskiej plaży za pijaństwo i nieobyczajne zachowanie – pomylili zwykłą plażę z taką dla nudystów i dumnie paradowali z przyrodzeniem na wierzchu między rodzinami z dziećmi. 34- i 52-latek dostali mandaty po 250 euro. Inny przykład nieobyczajnego zachowania Polaka na holenderskich ziemiach odnotowano w lutym 2020 r. Mężczyzna kilkakrotnie szukał konfrontacji z policją. Prawdopodobnie nie miał się gdzie podziać, więc dążył do tego, by zamknięto go w celi, gdzie będzie miał dach nad głową i wyżywienie. Dopiął swego, kiedy policja zatrzymała go za masturbowanie się za pomocą skrzynki na listy naprzeciwko komisariatu.

Eksport damskich bokserów

W statystykach przedstawianych przez brytyjską Krajową Radę Szefów Policji (ang. National Police Chiefs' Council) 18% wszystkich przestępstw w Anglii stanowi przemoc domowa. Na koniec marca 2022 r. odnotowano ponad 198 tys. aktów napaści seksualnych, z czego 70 tys. stanowiły gwałty. Polacy są zaś najliczniejszą po Hindusach grupą migrantów w Anglii. Brytyjski urząd statystyczny podawał, że w 2021 r. na Wyspach przebywało ok. 700 tys. Polaków. Siłą statystyki odnotowywanych będzie wiele przypadków przestępstw z udziałem rodaków. Z danych zebranych przez brytyjskie ministerstwo sprawiedliwości wynika, że Polacy są drugą po Albańczykach największą grupą cudzoziemców przebywających w więzieniach Anglii i Walii.

Dziś na przygotowanej przez Euro-pol liście najbardziej poszukiwanych przestępców znajduje się tylko dwóch mężczyzn z Polski. Jeszcze w 2016 r. na takiej liście przygotowanej przez Scotland Yard było aż ośmiu Polaków. Obecnie nie ma ani jednego. Za to nie brakuje doniesień o przemocy domowej i agresji wobec kobiet i dzieci. Pod koniec sierpnia 2022 r. 42-letni Polak mieszkający w Anglii próbował na stacji King's Cross wrzucić pod nadjeżdżający pociąg 22-letnią, nieznaną mu kobietę. Powód? Zagadnięta dziewczyna powiedziała mu, że nie jest zainteresowana rozmową,

gdyż przeszkodził jej w dyskusji ze znajomymi.

Wspomniane brutalne zabójstwo 15-latka to niejedyna tak okrutna sprawa z udziałem polskich rodziców. Dekadę temu małżeństwo dostało dożywocie za zamordowanie czteroletniego syna. W dniu śmierci dziecko ważyło 10 kg, bo było męcząciami głodzone i bite. Inny Polak dzieciobójca został skazany na 23 lata więzienia za uduszenie dwuletniego syna poduszką. Dziecko padło ofiarą 41-latka, który chciał się odegrać na byłej żonie za to, że znalazła innego mężczyznę.

Przemoc domowa stała się niejako towarem eksportowym, który przyjechał w pakiecie z częścią polskich imigrantów zarobkowych.

Federalny Urząd Kryminalny Niemiec zaalarmował w raporcie z lipca br. o gwałtownym wzroście przemocy domowej (o 11% w ciągu ostatnich pięciu lat). W czołówce

Polacy są drugą po Albańczykach największą grupą cudzoziemców przebywających w więzieniach Anglii i Walii.

podejrzanych bez niemieckiego obywatelstwa znaleźli się przybysze z Turcji, Syrii i Polski. Polacy są też drugą po Turkach największą grupą migrantów w Niemczech.

Egzekwowanie prawa

Szukający jest też kontrast skuteczności służb zagranicznych i polskiej policji. Egzekwowanie prawa nad Wisłą stoi po prostu na gorszym poziomie. W sierpniu 2020 r. w Londynie miała miejsce dość nietypowa sytuacja. Szef tamtejszego oddziału partii KORWiN Jakub Andrzej Grygowski wezwał policję na demonstrację środowisk LGBT. Podczas interwencji służby zatrzymały... wzywającego. Według zeznań świadków Grygowski miał głośić publicznie homofobiczne hasła, za co w Anglii grozi do siedmiu lat więzienia. Mężczyzna z miejsca trafił na 24 godziny do aresztu. Wyznaczono mu też termin na złożenie wyjaśnień, które miały rozstrzygnąć,

czy ostatecznie trafi przed sąd. A w Polsce? Na mowę nienawiści nikt by nie zareagował. Tutaj zgłaszające na komendzie gwałt kobiety tłumaczą się godzinami z długości spódniczki. Podkreślimy, że 11 dni przed aresztowaniem Grygowskiego policja zatrzymała w Warszawie 48 osób biorących udział w proteście w obronie aktywistki Małgorzaty „Margot” Szutowicz. Większość zatrzymań okazała się bezzasadna. Policjant biorący udział w akcji zeznał przed sądem, że funkcjonariusze otrzymali polecenie wyłapywania wszystkich osób w barwach LGBT, niezależnie od ich zachowania.

Prawicowa lista wstydu poza granicami Polski się wydłuża – w czerwcu zeszłego roku zakaz wjazdu do Anglii otrzymał polityk Konfederacji Janusz Korwin-Mikke. Powodem mają być jego ekstremistyczne poglądy. Ośrodek Monitorowania Zachowań Rasistowskich i Ksenofobicznych informował na Twitterze, że zakaz wjazdu dla

Korwin-Mikkego uzasadniono głoszeniem przezeń „poglądów ekstremistycznych i nieprzyzwoitych w kontekście pedofilskim”. Tymczasem w Polsce człowiek ten jest guru ideologicznym rosnącej w sondażach partii politycznej. Janusz Korwin-Mikke w rozmowie z Interią potwierdził otrzymanie pisma, lecz nie podał oficjalnych powodów zastosowania wobec niego zakazu. Ale czy ktoś o to dopytywał?

Jeszcze długo będziemy odczuwać dysonans, słysząc o zatrzymaniach i zagranicznych wyrokach dla Polaków. Dopóki w Polsce ktoś nie wymusi na służbach większej skuteczności. Widać jednak, że zmiana myślenia jest możliwa. Przykładem jest nowy taryfikator dla piratów drogowych. Kiedyś Polaków szokowały mandaty za zbyt szybką jazdę wystawiane w Austrii czy Szwajcarii. Dziś płacą za złamanie przepisów podobne stawki. Aczkolwiek przed polskim społeczeństwem jeszcze długa droga. Nauka będzie trwała latami i przede wszystkim kosztem kobiet i dzieci, których krzyków ciągle nikt nie słyszy, bo przecież przemoc za ścianą to sprawa rodzinna.

k.wawrzyniak@tygodnikprzeglad.pl



Czekoladowa wycinka

W Afryce zwiększa się produkcja ziaren kakaowca
– za cenę nielegalnego karczowania lasów

Mateusz Mazzini

Na tym rynku są tylko dwaj potentaci. Ghana i Wybrzeże Kości Słoniowej łącznie dostarczają ponad połowę wszystkich ziaren kakaowca, które trafiają potem do globalnego łańcucha dostaw i kończą na stołach całego świata jako czekolada w najróżniejszych postaciach. Wybrzeże Kości Słoniowej produkuje rocznie ponad 2 mln ton ziaren, Ghana – ponad 800 tys. Trzecia w rankingu Indonezja w najlepszych latach przekraczała pół miliona ton, czyli nieco ponad jedną szóstą tego, co rocznie wypływa w świat znad Zatoki Gwinejskiej.

Inne kraje – latynoskie, mezoamerykańskie czy państwa afrykańskiego interioru – właściwie w tym wyścigu się nie liczą. Co więcej, sektor ten nie do końca poddaje się prawom typowego

handlu pomiędzy globalnym Południem a bogatą Północą. Rynek produkcji ziaren kakaowca jest wręcz karkołomnie rozdrobiony – zamiast wielkich plantacji należących do lokalnych magnatów, starych rodzin posiadaczy ziemskich czy krajowych przedstawicielstw zagranicznych korporacji, jak przy produkcji kawy czy hodowli bydła i owiec w Ameryce Łacińskiej, funkcjonują na nim głównie właściciele małych gospodarstw, przekazujący zbiory przez bardzo rozbudowaną sieć pośredników, spośród których każdy oczywiście pobiera opłaty za swoje usługi. W rezultacie, jak na początku czerwca wyliczył tygodnik „The Economist”, sami rolnicy mogą liczyć na mniej więcej 5% zysków ze sprzedaży swoich ziaren. Mało, biorąc pod uwagę fakt, że światowy rynek kakao i czekolady wart jest, według informacji portalu Bloomberg, ponad 47 mld dol.,

z perspektywą wzrostu do 68 mld już na koniec bieżącej dekady.

Monokultura

O tym, że produkcja ziaren kakaowca jest ślepych zaułkiem dla gospodarek krajów Zatoki Gwinejskiej, napisano już wiele artykułów i książek. W przypadku Ghany odpowiada ona za 15% PKB i aż za trzy czwarte wkładu całego rolnictwa w produkt krajowy. Jeśli chodzi o Wybrzeże Kości Słoniowej, statystyki wyglądają nieco lepiej, to 7,5% całego PKB i 50% wpływów z rolnictwa, według danych portalu Statista i Banku Światowego. Statystyki te są jednak w obu państwach zatrważające, bo pokazują, że załamanie na światowych rynkach spożywczych może wywołać tragiczne reperkusje – ucierpią gospodarki krajów, w których łącznie żyje ponad 60 mln osób. Ci, którzy pracują na plantacjach kakaowca, często

nie mają wyboru, bo inne źródła zarobku są dla nich niedostępne.

Wywołane katastrofą klimatyczną pustynnienie utrudnia np. hodowlę bydła, bo terenów nadających się na pastwiska jest coraz mniej, pozostaje więc ucieczka do opartej na usługach (słabo płatnych) gospodarki miejskiej albo śmiertelnie niebezpieczna próba przedostania się do Europy. W przypadku większości iworyjskich farmerów trudno w ogóle zresztą mówić o zarobku, bo według wyliczeń Banku Światowego aż 54% żyje na co dzień poniżej granicy ubóstwa, co oznacza, że dziennie do wydania ma 2,15 dol. Znajduje to zresztą odzwierciedlenie w danych globalnych, bo Wybrzeże Kości Słoniowej odpowiada za ponad jedną trzecią światowej produkcji ziaren kakaowca, ale trafia tam jedynie 5-7% zysków całego sektora.

Z monokulturami eksportowymi, takimi jak kakaowiec, jest spory problem. Z jednej strony od zysków z jego sprzedaży zależy spora część gospodarki i przychodów do budżetu, z drugiej – przychody te nie są wcale znaczące. Ale ponieważ istnieją i są w miarę pewne, mało jest w regionie inwestycji prowadzących do dywersyfikacji przychodów i rozwoju innych sektorów, wskutek czego na plantacjach wciąż pracuje sporo ludzi i ich liczba z każdym rokiem rośnie. A to z kolei ma bezpośrednie przełożenie na inne zjawisko, coraz bardziej widoczne i szkodliwe dla środowiska: karczowanie lasów pod nowe tereny uprawne.

Jako pierwszy na temat znacznych rozbieżności pomiędzy dotychczasowymi danymi o wielkości plantacji a ich realnymi rozmiarami napisał „The Economist”. Powołując się na badania, które przeprowadził Nikolai Kalischek z politechniki ETH w Zurychu, tygodnik poinformował, że o ile w wypadku Wybrzeża Kości Słoniowej szacunki ONZ i informacje przekazywane przez tamtejszy rząd mniej więcej pokrywały się z prawdziwą skalą upraw, o tyle w Ghanie plantacje zajmują aż 70% więcej terenu, niż wynikałoby z oficjalnych dokumentów. Kalischek i jego zespół zbadali to, porównując lokalne mapy z publicznie dostępnymi

zdjęciami satelitarnymi. Stworzony w ten sposób model analityczny pozwalał z przeszło 90-procentową dokładnością stwierdzić, czy na danym terenie istnieją plantacje ziaren kakaowca. Nawet w liczbach bezwzględnych wyniki tych badań robią wrażenie, bo jak ocenia Kalischek, obszar zajęty przez kakaowce stanowi 13,8% całego terytorium Wybrzeża Kości Słoniowej i 11,4% terytorium Ghany. Im głębiej jednak wchodzi się w opracowanie zespołu szwajcarskich naukowców, tym wyraźniej widać szkodę, jaką środowisku wyrządza rozwój plantacji. Niemal jedna trzecia wszystkich terenów uprawnych w Wybrzeżu Kości Słoniowej i 7% w Ghanie znajduje się na obszarach chronionych, przede wszystkim w lasach tropikalnych.

Wybrzeże Kości Słoniowej odpowiada za ponad jedną trzecią światowej produkcji ziaren kakaowca, ale trafia tam jedynie 5-7% zysków całego sektora.

Oczywiście terminu obszary chronione nie można traktować dosłownie, na pewno nie w takim stopniu, w jakim używa się go w Europie czy Stanach Zjednoczonych. Kraje afrykańskie nie mają bowiem zasobów, by swoje lasy otaczać pełną opieką, chronić przed nielegalną ekspansją drobnego rolnictwa indywidualnego. Za 37% ogółu nielegalnej deforestacji parków narodowych i rezerwatów, która miała miejsce w Wybrzeżu Kości Słoniowej od 2000 r., i za 13% w Ghanie odpowiada właśnie karczowanie pod uprawę kakaowców. W szerszej perspektywie czasowej skutki tego procederu są katastrofalne, bo od drugiej połowy lat 50., kiedy w regionie siły nabrały ruchy niepodległościowe, Wybrzeże Kości Słoniowej straciło już 90% powierzchni tamtejszych lasów tropikalnych, a Ghana 65%.

Proceder bez końca

Przeciąć ten kakaowy węzeł gordyjski nie będzie łatwo, bo utrzymaniu bieżących tendencji sprzyja sytuacja gospodarcza, polityczna i klimatyczna w całym regionie. Jak

wszędzie na świecie, nad Zatoką Gwinejską robi się coraz cieplej. Według danych Banku Światowego mediana rocznych temperatur podniosła się tu aż o 0,94 st. w ciągu ostatnich 30 lat, ze znacznym przyspieszeniem w ostatniej dekadzie. Wybrzeże Kości Słoniowej i Ghana to dwa najgorętsze kraje w tej części Afryki, latem coraz częściej temperatura przekracza tu 50 st. C.

W dodatku pada tu coraz mniej, a przede wszystkim coraz bardziej nieregularnie. W czerwcu 2020 r. gwałtowne burze wywołane nadejściem monsunu zachodnioafrykańskiego spowodowały powodzie, podtopienia i osunięcia się gruntów, w wyniku czego zginęło 13 osób. Częściowo zalana została nawet komercyjna stolica kraju, Abidżan.

Niektóre obszary, jak informuje Światowa Organizacja Zdrowia, doświadczły najsilniejszych opadów od pół wieku, w ciągu 48 godzin przyjmując więcej wody niż w ciągu kilku poprzedzających miesięcy. Monsoon spowodował również wdarcie się oceanu w głąb lądu, szkody na długim na ponad 500 km wybrzeżu i konieczność migracji wewnętrznej. Jeśli dodać do tego pustynnienie gleb wywołane rosnącymi temperaturami i silnymi wiatrami, dewastację innych pól uprawnych przez deszcze tropikalne oraz brak regularnych opadów, łatwo zrozumieć, dlaczego wciąż wielu rolników decyduje się na wejście w biznes kakaowy, relatywnie łatwy i dający szybki zwrot.

Tu bowiem dzieje się to samo, co w Brazylii przy nielegalnej wycince lasów Amazonii. Rolnicy wypalają trawy i wycinają drzewa, co, owszem, użyźnia glebę, ale na krótko. Kiedy ta przestaje już rodzić obfite plony, przesuwały się coraz dalej, niszcząc kolejne hektary lasów. Proceder ten właściwie nie ma końca. I to bez specjalnych korzyści, bo według wyliczeń UNDP, agencji ONZ ds. rozwoju, aż 44% wszystkich zysków ▶

► ze sprzedaży ziaren kakaowca trafia do sprzedawców detalicznych, którzy przekazują je zagranicznym korporacjom. Sortownie i przetwórcy odpowiadają za kolejne 42%. Na samym końcu są producenci, z małym odsetkiem wahającym się pomiędzy 5% a 7%.

Bitwa postkolonialna

Wszystkie te zjawiska mają jednak wspólny rodowód – niemal zupełny brak regulacji państwowych. To zarówno pokłosie, jak i przyczyna rozdrobnienia całego sektora. Farmerów jest wielu, niewiele zarabiają, ale na swoich plantacjach tak naprawdę robią, co chcą. Z tym wiąże się kolejny problem natury etycznej, jakim jest wciąż spora liczba nieletnich pracujących przy uprawie kakaowców. Tu oczywiście trudno o precyzyjne dane, istnieją tylko szacunki, ale i te brzmią przerażająco. Amerykański Departament Pracy uważa, że łącznie w Ghanie i Wybrzeżu Kości Słoniowej na plantacjach kakaowców pracuje ponad 1,5 mln dzieci.

Co prawda, zachodni odbiorcy ziaren, a przede wszystkim organizacje międzynarodowe i najwięksi partnerzy handlowi – Francja, Wielka Brytania, Stany Zjednoczone

– próbują od lat wymusić na obu rządach ściślejsze przestrzeganie norm Międzynarodowej Organizacji Pracy (ILO) i ONZ dotyczących pracy dzieci, ale inicjatywy te nie trafiają na podatny grunt. Również dlatego, że wymagałoby to inwestycji z budżetu państwa, a te, jak wylicza Bank Światowy, systematycznie maleją. Oba kraje w ostatnich latach bardzo zredukowały deficyt budżetowy, ale osiągnęły to praktycznie wyłącznie za pomocą cięć w wydatkach publicznych. W rezultacie państwo wycofało się z plantacji, tak samo zresztą jak z ochrony lasów tropikalnych.

Dr Ryan Saylor, politolog komparatysta z amerykańskiego Uniwersytetu w Tulsie, jest zdania, że na powstrzymanie samowoli prywatnych producentów w tej części świata już

od końca. W 2020 r. wspólnie obłożyli nową formą daniny prywatne firmy zajmujące się eksportem – z każdej wysłanej w świat tony ziaren 400 dol. ma być rozdzielone pomiędzy producentów. Rośnie też ruch związkowy, a raczej spółdzielczy – coraz więcej jest organizacji, które reprezentują jednocześnie nawet przeszło pół tysiąca farmerów w negocjacjach cenowych z przetwórcami i pośrednikami.

Na razie skuteczność zwłaszcza tego pierwszego instrumentu jest wątpliwa, bo zagraniczni potentaci na rynku wyrobów czekoladowych, tacy jak amerykańska Hershey Company, próbują opłat dla rolników unikać, manipulując danymi na temat eksportu i księgując transakcje nie w Afryce, ale na amerykańskich i europejskich giełdach surowcowych.

W Ghanie plantacje zajmują aż 70% więcej terenu, niż wynikałoby z oficjalnych dokumentów.

za późno. Zwłaszcza Ghana, pisze Saylor, miała ku temu doskonałe warunki zaraz po uzyskaniu niepodległości w 1957 r. Rządził nią wówczas charyzmatyczny przywódca Kwame Nkrumah, który był wprawdzie zgorzłym nacjonalistą, ale w tym kontekście dawało to spore nadzieje na zbudowanie silnych struktur państwowych, zdolnych postawić się zagranicznym prywatnym interesom. Szansa ta, podsumowuje Saylor, została jednak zaprzepaszczone, co niestety pokryło się w czasie z największym w całym XX w. wzrostem światowego zapotrzebowania na ziarna kakaowca.

Skrótowo rzecz ujmując, walka z kakaowym chaosem to typowa postkolonialna bitwa słabych państw z silnym rynkiem prywatnym, bez większego znaczenia, kto ten rynek reprezentuje. Nie znaczy to, że rządy Ghany i Wybrzeża Kości Słoniowej nie próbują z owym chaosem walczyć. W obu przypadkach słuszną jest na razie diagnoza: farmerzy rozwijają plantacje, bo nie mają alternatywy, a lasy karczują, bo żyją w biedzie, chcą produkować więcej, zamiast zwiększać przychody z już istniejących zbiorów. Lokalni politycy chcą zaś ten schemat reformować

Do zwiększenia presji potrzebne będzie mocniejsze zaangażowanie struktur państwowych, ale też, co z kolei podpowiada Bank Światowy, reforma technologiczna całego sektora w obu państwach. Zewnętrzni eksperci są zdania, że jednym z głównych problemów rynku jest brak możliwości precyzyjnego określenia pochodzenia ziaren – w tej chwili ani opakowania, ani system metkowania tego nie zapewniają. Dlatego często nie wiadomo, czy produkt czekoladowy trafiający do odbiorcy w Europie lub w USA nie pochodzi z plantacji, na której pracują dzieci i która znajduje się na obszarze chronionym, która to wiedza z pewnością wpłynęłaby na decyzje coraz bardziej przecieź świadomych konsumentów. Do tej listy dopisać trzeba konieczność inwestycji w lokalne przetwórstwo i ujednolicenie funkcjonowania rynku, tak by więcej zysków z produkcji zostawało na miejscu. Dawniej mówiono przecieź, że ziarna kakaowca to czarne złoto, zdolne wywołać gorączkę. Czas, by Ghana i Wybrzeże Kości Słoniowej odczuły jej pozytywne rezultaty.

Mateusz Mazzini
m.mazzini@tygodnikprzeгляд.pl



Piłką po piasku

Arabia Saudyjska bezcześci światowy futbol swoimi petrodolarami, ale Europa nie ma prawa się oburzać



Cristiano Ronaldo do ligi saudyjskiej trafił jako pierwszy, zaraz po ubiegłorocznych mistrzostwach świata.

Mateusz Mazzini

Nawet najodporniejsi na wstrząsy kibice mają prawo tego lata czuć się, jakby byli w stanie permanentnego udaru słonecznego. Na początku wydawało się to raczej zbiorem anegdot i smutnych historii o końcach karier piłkarzy, którzy, owszem, osiągnęli wszystko, ale ich ego pozostało niezaspokojone, a nie było na nich chętnych w Europie. To przecież przypadek Cristiana Ronaldo, jednego z najlepszych futbolistów w historii – on do ligi saudyjskiej trafił jako pierwszy, zaraz po ubiegłorocznych mistrzostwach świata. Odchodził jednak w niesławie, z łatką rozkapryszanego gwiazdora, którego nie mogli już znieść koledzy w szatni Manchesteru United. Złota

emerytura jak się patrzy, bo jego dwuipółletni kontrakt opiewał na 200 mln euro za sezon gry.

Kiedy jednak do innego saudyjskiego klubu, Al-Ittihad, po zakończeniu ostatnich rozgrywek trafił Karim Benzema, formalnie najlepszy w tej chwili piłkarz na świecie, triumfator ostatniej edycji Złotej Piłki, Europejczykom przestało być do śmiechu. Co prawda, próbowano jeszcze ten transfer tłumaczyć pokracznymi argumentami, że Benzemie i tak kończył się kontrakt w Realu Madryt, że też ma już swoje lata (dokładnie 35), w dodatku jest praktykującym, mocno zaangażowanym muzułmaninem, więc wyjazd do Saudyjczyków ma również wymiar duchowy – ale to wszystko było pudrowaniem rzeczywistości. Francuz algierskiego pochodzenia także

dostał bajkowy kontrakt, 100 mln euro za rok gry, kilka razy więcej, niż byłby w stanie zapłacić mu ktokolwiek w Europie. A przecież biedny nie jest, przez prawie dwie dekady gry na najwyższym poziomie światowej piłki swoje Karim Benzema zarobił, nie musiał połasić się na wagon złota w lidze o reputacji co najmniej miernej i poziomie (wtedy) jeszcze niższym. Prawdopodobnie jednak, podpisując kontrakt na początku czerwca, wiedział już coś, co my wszyscy wiemy od niedawna – że Saudyjczycy wchodzi w piłkę na poważnie i że tego ich „poważnie” nie należy lekceważyć.

Miliony robią swoje

Od tego momentu minęły zaledwie dwa miesiące, a okienko transferowe, podczas którego piłkarze z ważnymi kontraktami mogą legalnie zmieniać pracodawców, w europejskim futbolu otworzyło się tak naprawdę sześć tygodni temu. I praktycznie codziennie drużyny z ligi saudyjskiej przeprowadzały transfer trudny do wyobrażenia. Trafili już do niej kolega Benzemy z kadry Francji, N'Golo Kanté, oraz dwukrotny medalista mistrzostw świata, chorwacki rozgrywający Marcelo Brozović, serbski gwiazdor Sergej Milinković-Savić, senegalski obrońca Chelsea Londyn Kalidou Koulibaly, swego czasu najlepszy defensor ligi włoskiej, i cała masa innych piłkarzy mających na koncie triumfy w Anglii, Francji, Hiszpanii, Niemczech i Lidze Mistrzów. W chwili oddawania tego tekstu do druku ważyły się też losy Piotra Zielińskiego, wiodącego reprezentanta Polski i świeżo upieczonego mistrza Włoch z SSC Napoli, którego kontraktem kusi klub Al-Ahli. Oferta z Arabii Saudyjskiej to 12 mln euro za sezon, podczas gdy w Neapolu zarabiał dotychczas 3,5 mln. Rachunek, przynajmniej ten ekonomiczny, jest bardzo prosty.

Pieniądze znad Zatoki Perskiej są tak wielkie, zwłaszcza w porównaniu z tym, co można zarobić w Europie, że nawet najlepsi gracze powoli zapominają o ambicjach sportowych. I nie tylko o nich – ciekawym ►

► przykładem jest transfer do Arabii Saudyjskiej byłego kapitana kadry Anglii i Liverpoolu Jordana Hendersona, który na Wyspach był znanym publicznym sojusznikiem społeczności LGBTQ, zaangażowanym w działania na rzecz równouprawnienia i walkę z dyskryminacją. Z północnej Anglii przeniósł się jednak miesiąc temu do Al-Ettifaq, gdzie zarobi 700 tys. euro

ważniejsze są dwa kluczowe pytania: po co Arabia Saudyjska wykupuje piłkarską elitę i w którym miejscu zamierza powiedzieć stop. Powierzchniowa interpretacja wskazywałaby popularne ostatnimi laty zjawisko sportswashingu. Mówiąc w skrócie, oznacza ono gigantyczne inwestycje krajów autorytarnych lub wprost dyktatorskich w sport, dzięki czemu satrapie mają wybielić

a ostatnio nawet własny cykl zawodów najwyższego szczebla w golfie. W piłce nożnej dotychczas Saudyjczycy odstawali, ale chcą nadgonić. Starają się o organizację mundialu w 2030 r., wspólnie z Egiptem i być może Grecją. Przy czym nie jest żadną tajemnicą, że ten ostatni kraj znalazł się w połączonej kandydaturze wyłącznie jako listek figowy, słodzik dla Europy, żeby ta miała jeszcze iluzję odgrywania jakiegokolwiek roli w światowym futbolu. Finał bowiem oczywiście miałby się odbyć w Rijadzie.

Ostatnie dwa miesiące transferowej ofensywy saudyjskich klubów pokazują jednak, że

w tym wypadku chodzi o znacznie więcej niż sportswashing. Analizując powyższe przypadki, trzeba uważać, by wszystkich rozmiłowanych w sporcie dyktatorów nie wrzucać do jednego worka. Co do Chin czy Rosji nie ma wątpliwości, tu chodzi o ściągnięcie do siebie gigantycznych imprez, przykucie uwagi świata i sponsorów – ale tylko na miesiąc, nie dłużej, bo na stałe przeniesienie do siebie elitarnych rozgrywek nie mają szans. Plan Saudyjczyków sięga natomiast znacznie dalej, nie ma przesady w stwierdzeniu, że jest on bardziej polityczny, nawet

Pieniądze znad Zatoki Perskiej są tak wielkie, że nawet najlepsi gracze powoli zapominają o ambicjach sportowych.

tygodniowo. Aktywiści natychmiast go potępili i przestali nazywać sojusznikiem, a Henderson na temat swojego publicznego zaangażowania w poprzednim życiu piłkarskim nabrał wody w usta. Pytany o powody przeprowadzki do Arabii Saudyjskiej zdobył się tylko na frazesy o „ekscytującym projekcie piłkarskim”, który „będzie się rozwijał w najbliższych latach” i którego chce być częścią. Ani słowem nie wspomniał o przenosinach do kraju, w którym homoseksualizm jest karany śmiercią.

W sumie, jak wyliczyła to niedawno włoska „La Gazzetta dello Sport”, saudyjskie kluby od początku czerwca wydały na nowych piłkarzy 1,2 mld euro. 450 mln poszło na wykupienie kontraktów, 750 – na gwarantowane wynagrodzenia. Łącznie wykupiono 50 nowych obcokrajowców, a liczba ta pewnie się zwiększy, bo okno transferowe zamyka się dopiero 20 września, prawie trzy tygodnie później niż w Europie. Z dużą dozą prawdopodobieństwa można więc założyć, że ci, którzy do końca sierpnia nie otrzymają ciekawych ofert na Starym Kontynencie, z chęcią wsiądą w samolot do Rijadu.

Nie tylko piłka

Mniej zainteresowani futbolem czytelnicy mogą – słusznie – przy tych kwotach się oburzać, choć

swój wizerunek na arenie międzynarodowej. Pierwszym poważnym przykładem zaślania swoich zbrodni sportem były letnie igrzyska olimpijskie, które w 2008 r. organizował Pekin – Międzynarodowy Komitet Olimpijski drżał wtedy, czy ogolone na tyso głowy niektórych sportowców nie zostaną uznane za gest solidarności z prześladowanymi przez chińskie władze tybetańskimi mnichami, co organizatorów potęźnie by rozsierdziło. Od tego czasu, również z powodu wszechobecnej korupcji w największych federacjach sportowych, ale też

Saudyjczycy wiedzą, że walutą przyszłości jest ludzka uwaga, opłaca się więc inwestować w sektory, które tę uwagę przyciągają najbardziej.

ogromnych kosztów zapraszania do siebie sportowców, właściwie każda większa impreza to festiwal prania wizerunku dyktatorów. Władimir Putin dostał igrzyska zimowe w Soczi i piłkarski mundial w 2018 r., który cztery lata później powędrował do Katarczyków, naznaczony śmierciami przy budowie stadionów tysięcy robotników, głównie z Azji Południowo-Wschodniej. Arabia Saudyjska też w tym procesie uczestniczyła, organizując chociażby wyścig w ramach Grand Prix Formuły 1, popularne zwłaszcza w Stanach Zjednoczonych walki zapaśnicze z cyklu World Wrestling Entertainment,

cywilizacyjny, niż sportowy czy gospodarczy. Arabia Saudyjska chce się stać potęgą w sportach, które wywodzą się z Zachodu, w których Zachód miał monopol na wygrywanie i które są w gruncie rzeczy czymś więcej niż sportem – należą do fundamentów europejskiej (futbol) czy amerykańskiej (golf) kultury.

Jeśli już używać terminologii ze świata finansów korporacyjnych, działania Saudyjczyków należy określić jako wrogie przejęcie – ale, no właśnie, czego? Nie tylko piłki nożnej, lecz stopniowo całego DNA europejskich społeczeństw. Najpierw weszli do futbolu tam, skąd on

się wywodzi we współczesnej wersji. Własnością rodzin królewskich znad Zatoki Perskiej stały się francuski Paris Saint-Germain (Katar), angielski Manchester City (Zjednoczone Emiraty Arabskie), ostatnio zaś Newcastle United (saudyjski fundusz państwowy PIF). Kiedy już przejęli piłkę w Europie, zaczęli ją ściągać do siebie. Obudowali ją najpierw serwisem informacyjnym (katarska telewizja Al-Dżazira), potem własną telewizją sportową (beIN Sports). Teraz mają u siebie kilku spośród kilkudziesięciu najbardziej rozpoznawalnych graczy i nagle plany tamtejszej federacji, żeby liga saudyjska w ciągu czterech lat stała się jedną z 10 najlepszych na świecie, wcale nie wydają się takie absurdalne.

Między sportem a cyrkiem

W szerszej perspektywie jednak to plan przejęcia kontroli nad wszystkimi formami rozrywki, które uwielbiają Europejczycy i Amerykanie. Stąd sport, ale też przemysł kinowy, bo PIF jest współwłaścicielem studia produkcyjnego Legendary Entertainment, odpowiedzialnego m.in. za „Interstellar” czy „Jurassic World”. Do tej listy dopisać trzeba wejście na rynek producentów gier komputerowych – tu PIF za 4,9 mld dol.

kupić spółkę Scopely. Przy tej kwocie nawet astronomiczne wydatki na futbolistów wydają się niewielkie.

Strategia Saudyjczyków jest oczywiście bardzo sprytna z ekonomicznego punktu widzenia. W Rijadzie zdają sobie sprawę, że z czasem świat nie będzie już potrzebował ropy i gazu z Zatoki Perskiej, gospodarkę trzeba więc przestawić na inne tory. A skoro walutą przyszłości jest ludzka uwaga, opłaca się inwestować w sektory, które tę uwagę przyciągają najbardziej. Poza tym jest jeszcze wymiar kulturowy, pokazanie Amerykanom i Europejczykom, że przynależą już do przeszłości. Stary Kontynent w optyce bogatych krajów arabskich może być co najwyżej gigantycznym parkiem rozrywki, skansenem, czymś na kształt ogromnego muzeum na otwartym powietrzu – w którym wszystko jest na sprzedaż. W końcu sprzedaliśmy naszą rozrywkę, a także naszą kulturę i naszą edukację. Nie jest przypadkiem, że w Abu Zabi swój kampus otworzył New York University i że znajduje się tam drugi Luwr. Wyłącznie kwestią czasu jest, kiedy w środku znajdzie się Mona Lisa – oczywiście ta pierwsza, oryginalna.

Równolegle do tych przejęć i transferów trwa intensywna maskarada, nosząca wręcz znamiona

usypiania czujności odbiorców. Chodzi o to, by w Europie jak najdłużej nikt się nie zorientował, że nasi pupile czy ulubione kluby i gry należą do arabskich książąt. Właściciele znad Zatoki Perskiej bardzo skutecznie bronią się przed wizerunkowym łączeniem z europejskimi podmiotami. Szejk Mansur z Emiratów, który jest właścicielem Manchesteru City od 2008 r., na meczu swojej drużyny był przez te 15 lat dosłownie dwukrotnie, a The Citizens rozegrali tych spotkań, lekko licząc, ponad 750. Chodzi o to, by za bardzo klubu z kontrowersyjnym władcą nie kojarzyć. Niech pieniądze się mnożą, kibice płacą, przeżywają emocje, ale niech robią to w błogiej nieświadomości, a nawet wyparciu, że wszystko to dzieje się za pozwoleniem bliskowschodniego autokraty, który pomaga rosyjskim oligarchom unikać zachodnich sankcji, homoseksualistów karze śmiercią, a bossom narkotykowym daje schronienie tak długo, jak płacą za komercyjne wizy.

Dlatego jak nigdy dotąd zasadne są tego lata pytania o przyszłość piłki nożnej i w ogóle europejskiego sportu zawodowego. W tej chwili futbol stoi w rozkroku – wciąż udaje, że jest wyrównaną rozgrywką, w której wszystko jest możliwe, a rządzi jakoś i wynik na boisku. Z drugiej strony chorej komercjalizacji i zamiany w zglobalizowaną rozrywkę nie da się już ukrywać. Władze piłki muszą na coś się zdecydować. Albo wrócą do korzeni, wyrzekając się miliardowych przychodów i walcząc z przeniesieniem centrum piłkarskiej grawitacji nad Zatokę Perską, albo zamienią się w show, z rywalizacją sportową niemającą nic wspólnego, za to popularny i zarabiający na sobie. W tym drugim kierunku zdają się dryfować Amerykanie, którzy swoją najlepiej sprzedającą się za granicą ligę, koszykarską NBA, zamienili właśnie w mieszankę popcornu, zawodów cyrkowych i okazjonalnego współzawodnictwa sportowego. Drogi środka w tym układzie nie ma. A nawet gdyby była, nikt by pewnie nią nie poszedł.

Mateusz Mazzini
m.mazzini@tygodnikprzeglad.pl



www.wydawnictwomg.pl

Ciąża Piąty tydzień

Za pierwszym razem
w szpitalu wstydziła się,
bo była najmłodsza.
Miała 18 lat i rodziła
pierwsze dziecko.
Jak rodziła Krzysia,
wstydziła się znowu.
Miała 46 lat



Anna Dudek

Za pierwszym razem w szpitalu wstydziła się, bo była najmłodsza na oddziale. Miała 18 lat i rodziła swoje pierwsze dziecko. A potem, jak rodziła Krzysia, wstydziła się znowu. Młodsze kobiety patrzyły na nią jak na babcię, której zdarzył się przykry wypadek. Miała 46 lat. Lekarka na obchodzie, a Krzysiu urodził się w Wielki Piątek, znudzona była, jak oni wszyscy, ale jak zobaczyła datę urodzenia Agaty, aż podskoczyła.

– To pani? – zapytała.

– To ja – odpowiedziała Agata.

Wzięła to za komplement. Widocznie nie wyglądała tak staro, skoro lekarka była zdumiona. Dla młodej-starej mamy to dobry znak. Lekarka, do której chodzi od lat – 20 lat – mówi: „Pani Agato, wchodzi pani w okres menopauzy, trzeba zmienić tryb życia. Łatwo nie będzie. Mniej stresu, więcej ruchu, dieta”. O mniej stresu trudno, bo praca stresująca, ale chodzi na spacer, je warzywa, pije wodę, bo nie chce puchnąć. Wyjeżdża odpocząć na kilka dni na Roztocze z nowym chłopakiem i przemyka jej

przez głowę: może ta menopauza nie będzie taka zła. Kiedy wraca, nie pamięta ani o lekarce, ani o menopauzie. Przypomina sobie dopiero, kiedy, po raz pierwszy od 32 lat, nie ma okresu. Zaczęło się – myśli. Myślała, że będzie jej przykro, że będzie chciała odprawiać rytuały na pożegnanie kobiecości i żegnać środek życia. Ale czuje się lekko. Cieszy się, że pierwszy raz od stu lat może się skupić na sobie. Że nie musi liczyć dni płodnych, martwić się hormonami, zakładać wkładki ani czekać, aż partner założy prezerwatywę, bo one, szczerze mówiąc, zawsze ją trochę odstręczały.

Badanie jest formalnością. Kiedy czeka na rady dotyczące uderzeń gorąca, słyszy od lekarki: piąty tydzień. Tyle koleżanek ma, a nie słyszała, żeby któraś menopauzę liczyła w tygodniach.

– I co teraz? – pyta więc.

– Kwas foliowy i kontrola za miesiąc – odpowiada lekarka.

Majtki, które Agata podciąga za parawanem, zatrzymują się w okolicy kolan.

– Słucham? – dopytuje. Gumka od majtek dotarła do pępka, rajstopy

zostaną w torebce, na razie zza parawanu wychyla się głowa, która powtarza: – Słucham?

Lekarka się uśmiecha i mówi:

– Ciąża. Piąty tydzień.

Agata: „Jakby mi ktoś w mordę dał. Żaden zachwyt, żadnego pocucia szczęścia. Szok, przerażenie i wstyd. Przykro to mówić, ale jak masz 45 lat, dwu- i trzyletnie wnuki i nagle się dowiadujesz, że jesteś w ciąży, to masz ochotę zapaść się pod ziemię”.

Kiedy staje przed lustrem, kiedy patrzy na swoje siwujące włosy, które beczelnie wyłazą spod farby, na zmarszczki, w których tak chętnie zbiera się rzadko używany fluid, na piersi, którym bliżej do pępka niż obojczyka, myśli: to się nie dzieje. Ale dzieje się, a o tym dzianiu mówią jej i te włosy, które nabierają blasku, i jakby gładsza skóra, i piersi, które napinają się pod naporem hormonów. Jedyne, o czym myśli Agata, to to, jak powie partnerowi. O rozmowie z synami i rodzicami nawet nie chce myśleć. Ma 45 lat i czuje się jak stara nastolatka. Boi się, co powie mama. Boi się, co powiedzą synowie. Co ona powie wnukom?

•
– Mamo, jestem w ciąży.
– Nie opowiadaj. Nie wierzę – odpowiada matka.

Zaczyna wierzyć, kiedy Agacie zbiera się na płacz.

– Co ja mam zrobić? – buczy matce w ramię.

– Żeby tylko zdrowe było – mówi matka. – Nie z takimi rzeczami dawałaś sobie radę w życiu. Żeby zdrowe było. Już, cicho.

– A jemu mam powiedzieć? – pyta Agata. – Może nie donoszę, po co robić zamieszanie.

– Mówić od razu – stwierdza matka. – Niech się przyzwyczaja. A ty sobie radę dasz tak czy inaczej.

Dopiero jak już urodzi się jej syn, dowie się od matki, że ojciec mówił: „Po co jej to. Głupia. Nieodpowiedzialna. W dzieci się bawić na stare lata”. Miał poczucie, że córka na starość go zawiodła. Córka miała wrażenie, że zawiodła wszystkich.

•
Boi się reakcji partnera, tylko jaki to partner: zaczęli się spotykać całkiem niedawno, choć znali się wcześniej. Boi się, że nie donosi ciąży. A najbardziej się boi, że z dzieckiem będzie coś nie tak. Na myśl o tym, że dziecko może się urodzić z niepełnosprawnościami, oblewa ją zimny pot. Wszystko, tylko nie to – myśli. Na to nie jestem gotowa. Panie Boże, tylko nie to. Kiedy czeka na wyniki badań prenatalnych, jest pewna, że coś jest nie tak. Ma wrażenie, że to będzie jej kara za lekkomyślność. Biczuje się myślami, śni ją jej się dzieci z upośledzeniami i zdeformowane płody. Normalnie spać zacznie dopiero, kiedy odbierze wyniki badań. Wszystko w porządku. Nie ma wad. Teraz martwi się tylko, czy donosi ciążę i co to będzie z ojcem dziecka.

– Zostaniesz ojcem, co ty na to? – mówi Agata.

– A mam jakieś wyjście? – pyta przyszły ojciec.

Ślub biorą parę miesięcy później. Ojciec Krzysia martwi się tylko, że jest stary. Ma 55 lat. Jego pierwszy i jedyny syn będzie miał starych rodziców. Kiedy Agata pójdzie na emeryturę, Krzysiek będzie miał 14 lat. Gdy wybierają wózek dla syna, bardzo uprzejmy, młody sprzedawca pyta:

– A wnusio kiedy się urodzi?
Zawodowo przyjazny uśmiech zamiera mu na wargach, kiedy Agata odpowiada:

– Synio, to dla naszego dziecka.

Chłopak pąsowieje, nie wie, gdzie oczy podziać i mówi:

– Ja bardzo przepraszam, zwykle matki dla córek wózki kupują.

Kiedy z tym nowym wózkiem i malutkim Krzysiem wychodzi na dwór, sąsiad zagląda do środka i pyta: – A to wnusio czy wnusia?

•
„To nie jest wcale tak, że jak już raz urodziłaś, jak już masz dziecko, nawet dorosłe, to jesteś matką i już. Nie, nie”, mówi Agata. Matką zostajesz za każdym razem, kiedy rodzi się dziecko. Stajesz się raczej. I za każdym razem inną. Jedyne, co wiesz na pewno, raz na zawsze, o czym nigdy nie zapomnisz, to odpowiedzialność, strach, czy podołasz. Dziecko jest na zawsze, ciągle, bezustannie, bez odpoczynku.

Agata: „Chyba nie jestem lepszą mamą. Ale na pewno inną. Starą? Tak. Dojrzałą”.

Agata: „Jak miałam 18 lat, to urodziłam dziecko i tyle. Nie zdawałam sobie sprawy, co się właśnie wydarzyło. Niby wiedziałam, że jestem mamą, ale nie miałam pojęcia, o co w tym chodzi. Nie zastanawiałam się nad tym. Przejmowałam się głównie tym, czy wszystko dzieje się zgodnie z książką, a syn nie za późno zaczął siadać i jeść jajka”.

Że w ogóle to nie o siadanie ani jajka chodzi, Agata zacznie się orientować dopiero przy drugim synu. Przy Krzysiu odpuszcza zupełnie. Nie słucha matki, sąsiadek, nie liczy centyli. Słucha siebie i syna. Macierzyństwo jest dla niej. Nie dla świata. Po tym, co przeszła, już wie, że świat to ona i jej syn. To jest mikrokosmos.

•
Czas mija szybko. Chwile są ulotne, szczęście kruche. Kiedy Agata wraca z pracy, ona, pani dyrektor, otwiera drzwi do domu, rzuca się na kolana z rozpostartymi ramionami i czeka, aż Krzysiek się w nią wtuli.

Zmęczona po całym dniu zarządzania, wdycha zapach syna i słucha, jak zaczyna nadawać. Mówi cały czas, nawet przez sen. Są dni, kiedy Agata, wyczerpana pracą i ciągłym żądaniem stuprocentowej uwagi przez syna, chodzą na rzesach i płacze w poduszkę. Ma prawie 50 lat, menopauzę przechodzi ciężko, kolana i kręgosłup boją. Ale Agata wie, że za kilka mrugnięć nie będzie do niej podbiegał czterolatek. Za chwilę będzie się opędał od matczynych czułości, za chwilę szkoła, nastoletni bunt. Czas mija szybko.

Agata: „Nie martwię się upływającym czasem. Nie myślę, że jak mój syn będzie miał 18 lat, ja będę miała ponad 60. Jestem tu i teraz, na tym się skupiam. Dopiero się urodził, już ma cztery lata. To daje pokorę, skupienie, rozważę. Jestem starsza niż inne młode mamy. Ale i mądrzejsza o wiele doświadczeń. Dlatego celebruję i swoje macierzyństwo, i dzieciństwo swojego syna”.

Nie zawsze tak było. Przedtem były studia, praca, macierzyństwo z doskoku. Obok. Toczyło się samo. Starsi synowie mówią, że była dobrą mamą, ale ona nie może sobie wybaczyć, że stawiała ich w kącie. Krzysio w kącie nie stoi. Pytam, czy wychowuje syna w duchu rodzicielstwa bliskości. „Ja praktykuję rodzicielstwo miłości”, słyszę w odpowiedzi. Uśmiecha się. „I świętego spokoju”, dodaje.

Ze starszymi synami o ten święty spokój było trudniej. Ich ojciec, pierwszy mąż Agaty, miał ważniejsze sprawy na głowie niż rodzina. Pracował, a po powrocie do domu chciał się relaksować. Grać na komputerze, oglądać filmy. Synowie wychodził do pracy, rzucał jej 5 zł na cały dzień i mówił: „Masz z tego coś ugotować”. Kiedy w odwiedzinach przychodziła jej matka, babcia jej dzieci, płakała na widok pustej lodówki z jednym jedynym serkiem ▶

► homogenizowanym. Wozila wnukom obiady. Nie wiedziała, że zięć maltretuje psychicznie córkę i bije dzieci.

Agata: „Nie widziałam sygnałów ostrzegawczych. U mnie w rodzinie przemocy nie było. Nawet jak mnie szarpał albo podduszał, jak wydziełał pieniądze, zabraniał wychodzić z domu – potrafiłam to sobie jakoś wytłumaczyć. W sumie moje życie sprowadzało się do tego, żeby go nie drażnić”.

Umiała sobie wytłumaczyć, dlaczego ją czasem szarpie. Po prostu schodziła z drogi, starała się zmniejszyć, zniknąć. Walczyła tylko o dzieci. Kiedy syn chciał wziąć kasety wideo z pokoju ojca, jak zawsze zamknęła tego na klucz, ojciec rzucił się na niego z metalową rurką. Wskoczyła między nich, odepchnęła męża. Wtedy naprawdę się bała, że mąż zrobi dziecku krzywdę. Kiedy odpychała go od syna, miała już decyzję – odchodzi. Ale między podjęciem decyzji a jej egzekucją minie jeszcze parę miesięcy. Wyprowadzi się dopiero, jak na wyjeździe pobię ją tak mocno, że jej krew będzie i na kanapie w wynajętym pokoju, i na dywanie. Gdy wróciła do pokoju z tą spuchniętą, posiniaczoną twarzą i rozciętą wargą, mąż spokojnie zacierał ślady.

nie ma kontaktu z ojcem. Lepiej dogaduje się z drugim mężem Agaty.

Agata: „Miałam w sobie mnóstwo złości. Były momenty, że chciałam mu coś zrobić. Raz, jak rzucił się na syna, złapałam butelkę i chciałam go uderzyć. Chciałam zrobić mu krzywdę. Ale nie potrafiłam. Wybiłam tylko szybę w oknie. Miałam nadzieję, że zobaczy, że ludzie zobaczą, i to go otęże”.

A dzisiaj? A dzisiaj żałuje tylko, że tak długo to trwało. I że jak skopał jej syna – ich syna – bo mały niewystarczająco szybko się przebrał, od razu nie odeszła. Że wierzyła w jego słowa, że sama sobie nie da rady. Jak się wyprowadzali, płakała wyłącznie z żalu, że nie zrobiła tego wcześniej. Tyle mniej jej dzieci mogły wycierpieć.

Minęło 15 lat. Chłopcy – zawsze będą „chłopcami”, choć obaj są po trzydziestce – nie mają z nim kontaktu. Do matki nie mówią inaczej niż „mamuś”.

•

W całej Polsce, jak wynika nie tylko z danych Centrum Praw Kobiet i Feminoteki, ale także innych organizacji zajmujących się pomocą kobietom, ofiarą przemocy pada od 800 tys. do miliona kobiet. To nie tylko bicie. To również przemoc

20 lat znosiła piekło, pragnie się zapaść pod ziemię. I nie wie, co mówić, kiedy naprzeciwko siedzi oprawca. Policjant zeznania spisuje, ale kręci głową, że i tak nic z tego nie będzie, bo „znięty” – tak prokuratorzy i policjanci mówią o sprawach z art. 207, czyli o znęcanie się („Kto znęca się fizycznie lub psychicznie nad osobą najbliższą lub nad inną osobą pozostającą w stałym lub przemijającym stosunku zależności od sprawcy, podlega karze pozbawienia wolności od 3 miesięcy do lat 5”) – rzadko przechodzą. Umarzanych jest siedem na dziesięć spraw.

Prokuratorzy uznają, że albo przestępstwa nie było, albo za niska szkoldliwość społeczna czynu. I podpisują się pod umorzeniem. Kobieta skarży, sędzia znowu uwala. A jeśli już zapadnie wyrok, to w zawieszeniu, co oznacza, że kat wraca do domu. I dalej gnoi, upokarza, bije. Albo gorzej. Kilka lat temu głośno było o sprawie w pewnej wsi na północy Polski; w jednym z domów mężczyzna, mąż i ojciec, latami katował żonę i dzieci. Wszyscy wiedzieli. Po latach kobieta złożyła doniesienie o podejrzeniu popełnienia przestępstwa, o dziwo – chwyciło. Kiedy w końcu odbyła się rozprawa, na której zapadł wyrok pozbawienia wolności w zawieszeniu, oprawca spokojnie wrócił do domu. I zamordował żonę.

Takich spraw jest więcej. Tysiące. „Dzień dobry, tu... Dostałam pani numer od (tu pada nazwisko znanej aktywistki), mam taką sprawę”, mówi jedna z kobiet. Opowiada: „Założyłam sprawę o znęcanie, prokuratura ją umorzyła, ale ostatecznie wystąpiłam z prywatnym aktem oskarżenia, jednocześnie toczyła się sprawa o opiekę nad dziećmi, były dowody, że mąż mnie szarpał przy dzieciach i wyzywał, mówił, że zabije, ale sąd uznał, że przemoc wobec mnie nie ma nic wspólnego ze złym traktowaniem dzieci, przyznał szerokie kontakty z ojcem, a dzieci nie chcą tam chodzić...”. Kolejna historia się z nią przeplata, wątki są te same: syn widział, jak ojciec gwałci matkę, sześciolatek przynosił leżącą, zakrwawioną mamie wodę w szklance, żeby ją obudzić, choć myślał, że umarła.

W Europie od dekady trwa ofensywa przeciwko kobietom. W Polsce jest wyjątkowo skuteczna, co pokazuje ograbianie kobiet z ich praw i skala umorzeń spraw o przemoc.

Wszystko umył. Zachowywał się, jakby nic się nie stało. Dopiero wtedy się przeraziła.

Mężowi nic nie mówi. Prosi synów, żeby skrzyknęli kolegów do pomocy w przeprowadzce. Chłopcy się cieszą. „No, w końcu, mamo”, mówią. Przeprowadzkę do wynajętego domu, który udało się cudem znaleźć, organizują błyskawicznie. Agata pamięta, jak uśmiechnięci nieśli razem ciężką donicę z jej ulubionym rododendronem. I jeszcze pamięta, jak młodszy syn na widok jej spuchniętej twarzy wziął ją pod brodę, spojrzał jej głęboko w oczy i zapytał: „On ci to zrobił?”. Do dziś

psychiczna, emocjonalna, seksualna i ekonomiczna. Tej ostatniej kategorii nawet nie ma w Kodeksie karnym. A skoro nie ma jej w kodeksie, to dla policjantów, prokuratorów i sędziów nie istnieje.

Policja szacuje inaczej – na nieco ponad 100 tys., a to dlatego, że szanki opiera na liczbie złożonych niebieskich kart. Ofiar jest o wiele więcej, ale boją się zgłaszać przemoc, bo nikt nie traktuje ich poważnie. Sędzia na rozprawie pyta, dlaczego, skoro to taki skurwysyn, tak długo z nim siedziała. I czemu się pani trzęsie, chce wiedzieć, proszę odpowiedzieć, a kobieta, która

Dziś dziesięcioletni syn nie chce mieć z „tym człowiekiem”, bo tak o ojcu mówi, nic wspólnego. Nie chce chodzić na wyznaczone przez sąd spotkania, pisze do sądu, żeby go posłuchał, chce opowiedzieć, co „ten człowiek” zrobił mamie, ale sąd nie zamierza słuchać. I zarządza kary finansowe dla matki za to, że „alienuje” syna. Owa „alienacja” robi zresztą w Polsce zawrotną karierę, choć została zdyskredytowana zarówno przez Światową Organizację Zdrowia, jak i Amerykańskie Towarzystwo Psychiatryczne, w rezolucji Parlamentu Europejskiego z 2021 r. – „Wpływ, jaki na kobiety i dzieci wywierają przemoc ze strony partnera oraz prawo pieczy nad dzieckiem” – wskazuje się zaś na ową „alienację” jako strategię obronną przemocowców. W tym samym dokumencie autorzy piszą, że w Europie od dekady trwa ofensywa przeciwko kobietom. W Polsce jest wyjątkowo skuteczna, a pokazuje to i stopniowe ograbianie kobiet z ich praw, i skala umorzeń spraw o przemoc. Pokazuje też Czarna Księga Ofiar Przemocy Domowej w Polsce w 2021 r., którą wydała Niebieska Linia: nie wiadomo dokładnie, ile osób traci życie w wyniku przemocy domowej. To liczba rozpięta na skali od 150 do 500 osób rocznie. Głównie kobiet. Ile dokładnie ginie – nie wiemy. Wiemy za to, że jeśli mężczyzna zamorduje partnerkę, a często i dziecko lub dzieci, a potem odbierze sobie życie, kwalifikuje się to jako „samobójstwo rozszerzone”, odbierając tym samym kobiecie podmiotowość nawet w śmierci, traktując ją jako dodatek do samobójstwa kata.

Za „alienowanie” – kary finansowe. Dotkliwie. Jedna z kobiet nazbierała w karach 60 tys., bo 17-letni dziś syn nie chciał się widzieć z ojcem. „Zmusz dorosłego chłopca, powodzenia”, mówi jego matka, choć wcale dziecka zmuszać nie chciała. Tyle że wola jej syna i jej samej nie miała większego znaczenia dla sądu, który uznał, że choć kontakty mogą u małoletniego (wciąż, jeszcze rok) wywoływać dyskomfort, to w dalszej perspektywie przyniosą więcej korzyści niż szkody. Szkody jednak były – komornik zajął jej cały firmowy sprzęt.

Nie ma jak pracować. Ma długi. Były mąż nie płaci alimentów. Komornik jest bezradny, bo były mąż nie ma nic na sobie. Prokuratura sprawę umorzyła, mimo że niealimentacja jest przestępstwem. (...)

W tej historii pobrzmiwa kolejna, właściwie z jednej strony przypominają domino, z drugiej – matroszki. Są odbite jak od sztancy, jedna przegląda się w drugiej, dopełniają się wzajemnie, wszystkie są częścią mozaiki, która kojarzy się z bezlitosną rzeczywistością fikcyjnego przecieży Gileadu. Przesadzam? Chyba nie. Olka: „Mój były mąż podawał

sparaliżowani strachem lekarze zwlekali z ratowaniem ich życia, zajmując się płodami, które nosiły.

Zamordował je system. „Przez zmianę ustawy Iza zapłaciła najwyższą cenę – życie. Właściwie mogę powiedzieć, że to życie zostało jej odebrane”, mówiła w PE szwagierka Izabeli z Pszczyny, Barbara Skrobol. Tymczasem Ministerstwo Zdrowia publikuje dane, z których wynika, że w 2021 r. w Polsce wykonano 107 aborcji, co stanowi niemal dziesięciokrotny spadek ich liczby w porównaniu do 2020 r., w którym wykonano 1074 zabiegów, z czego

Kobietami i dziećmi nikt się nie przejmuje. Kobiety mają rodzić, dzieci mają być urodzone.

naszemu synowi silne leki uspokajające. Któregoś razu mały mi wrócił jak kukła, potem leciał przez ręce. Pojechałam na SOR, powiedziałam o swoich podejrzeniach. Zrobili testy toksykologiczne, wyszło, że dziecko podtrute. Facet uznał, że zamiast zajmować się dzieckiem – mały płakał, chciał do mnie – da mu coś na uspokojenie. Wszystko wysłałam do sądu. Żadnych konsekwencji, poza tymi dla mnie, że jestem piniaczką. Nikt się nie przejął, a kontakty mają być z nocowaniem”.

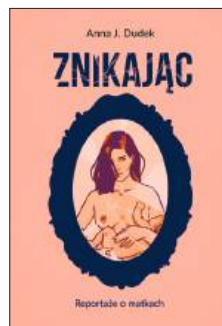
Kobietami i dziećmi nikt się nie przejmuje. Kobiety mają rodzić, dzieci mają być urodzone. Co będzie, jak to już się wydarzy, nikogo nie obchodzi, a dowodem na to jest wyrok Trybunału Konstytucyjnego z 20 października 2020 r., który uznał przesłankę embriopatologiczną za niezgodną z konstytucją, skazując tym samym kobiety na rodzenie śmiertelnie chorych dzieci. I śmierć. Kiedy w listopadzie 2022 r. w Parlamencie Europejskim odbyto się z inicjatywy Komisji Praw Kobiet i Równouprawnienia (FEMM) wystąpienie w sprawie aborcji w Polsce, Robert Biedroń, szef tego ciała, mówił o Justynie, Izbie, Ani, Dominice, Agnieszce, Marcie. Kobieta, które umarły, bo

1053 z powodu wad płodu. Żadna z tych liczb nie ma nic wspólnego z rzeczywistością, bo kobiety robią w Polsce – jak szacują organizacje pozarządowe – co roku ok. 100 tys. aborcji. Aborcyjni zamordyzm nie zmniejsza liczby aborcji. Zmniejsza tylko bezpieczeństwo kobiet.

Pierwszy syn mało od matki wymagał. Taki był do pieszczoty. Zawsze zadowolony. Przewinie się, przytuli – i szczęśliwe. Drugi potrafił wrzeszczeć trzy godziny. Jak ganiała go 40 minut po sklepie, a on się chował, rzucał, darł się wniebogłosy, potrafiła go złapać za rękę i szarpnąć. Wstydziła się, że ludzie się gapią i myślą: zła matka, nawet własnego dziecka nie potrafi uspokoić. Zła, zgrzana, bliska płaczu szarpała syna, bo bała się oceny ludzi w markecie. Dzisiaj, jak Krzysz robi to samo, jak zaczepia ludzi, bo, jak mówi jego matka, urodził się do kontaktu z człowiekiem, ona nie reaguje. Czeką, aż dziecku przejdzie, aż się wygada, wybiega.

Agata: „Chyba nie jestem lepszą mamą. Ale na pewno inną. Starą? Tak. Dojrzałą”.

Fragmenty książki Anny J. Dudek *Znikając. Reportaże o matkach*, Znak Horyzont, Kraków 2023



Katarzyna Kubisiowska

Ważna postać epizodyczna

Całe lato 1969 r. Pies z Korą i Galią jeżdżą autostopem po Polsce. Do szczęścia wystarczy im namiot, słońce, muzyka

Będzie epizodem. Niespełna rocznym. Ale ważnym. W końcu to mężczyzna, z którym po raz pierwszy uprawia miłość. To zostaje na zawsze.

Z Psem poznają się w kwietniu 1968 r. na Plantach pod budynkiem BWA, gdzie na ławkach wysiadują długowłosi. Rysiek wprowadzi Korę w środowisko. Niegrzecznego chłopca z dobrego domu zna całe miasto.

Towarzyszy Korze w podróży do Mielen na pierwszy hipisowski zlot. Na trasie E7, 150 km za Krakowem, w okolicach Skarżyska, ich auto zatrzyma drogówka. Pierwszy milicjant pyta pasażerów obwieszonych koralikami, dlaczego tak dziwnie wyglądają. Drugi milicjant wyjaśnia, że to hipisi. Pierwszy, sporządzając służbową notatkę, pyta, jak się to pisze. Pasażerowie wyjaśniają chóralnie i po angielsku: najpierw hip, potem pies. Bingo: wszyscy usłyszą, że drugi człon to najlepszy pseudonim dla Ryśka.

Na temat genezy tej ksywki istnieje inna wersja. Rysiek w kontakcie bywa trudny. Powinien nosić tabliczkę: „Uwaga! Zły pies”.

Pies ma to, czego brakuje Korze: rodzinny dom w kamienicy przy ulicy Blich, nieopodal Hali Targowej. Przestronny, z biblioteką.

Wysoki, szczupły, szlachetne rysy, gęsta broda, długie do ramion włosy, które codziennie pieczętowiec rozczesuje. Zrównoważony, spokojny. Ciepła barwa głosu. Świdrujące spojrzenie. Na szyi dzwoneczek. Na filmie z balu hipisów, wykorzystanym w klipie z 2021 r. do piosenki Grzegorza Nawrockiego „Brudnopis (Kochałem kiedyś Psę)”, widać jego fantazję – ztraca się bez reszty w tańcu, wygina ciało, rzucając na boki biodrami i odstawiając brzuch.

Podoba się nie tylko kobietom. Tekst Nawrockiego powstał pod wpływem zwierzeń mężczyzny spotkanego po koncercie w Krakowie, skrycie kochającego się w Psie i zdolnego zrobić dla niego wszystko,

włącznie, jak mówią słowa piosenki, „z łaską pod Sukiennicami”.

Poeta i malarz Jacek Gulla przyjaźni się z Psem, spędzają ze sobą mnóstwo czasu, prowadzą gorące dyskusje. Kochający się w Gulli Krzysztof Niemczyk, artysta totalny, szaleje z zazdrości, podejrzewając kolegów o romans. W mroźny dzień potrafi wystawać pod oknami Psa. Mówi, że go nie cierpi.

Pies ma to, czego brakuje Korze: rodzinny dom w kamienicy przy ulicy Blich, nieopodal Hali Targowej. Przestronny, z biblioteką. Mama, Janina Terlecka, dystygnowana dama. Ojciec, Olgierd Terlecki, historyk,

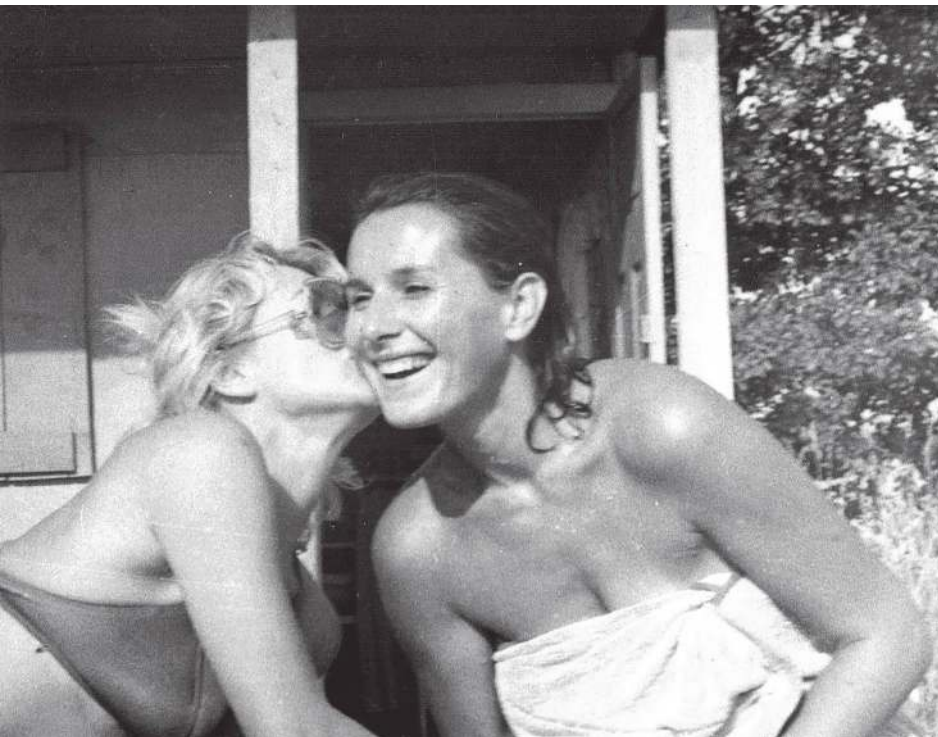
występują Szwagry – formacja z parą wokalistów: Marianem Kosterem i Ireną Wiśniewską. Cieszą się z Korą rodzimą muzyką quasi-hipisowską, która w drugiej połowie lat 60. jest w fazie pełnego rozkwitu. Lubią zespół z Ustki, 74 Grupa Biednych, i jego protest songi: „Jestem wolny” i „Ballada o młynarzu”. Bywają w klubie Pod Ręką na koncertach Zdroju Jana, łączącego formy widowiskowe z oryginalnym instrumentarium. Podoba im się wrocławski zespół Romuald i Roman – to prekursorzy rodzimego rocka psychodelicznego, mający słabość do wielominutowych solówek gitarowych.

W drugiej połowie lat 60. niezwykłą popularność zyskują pocztówki dźwiękowe – jednostronne płytki gramofonowe przypominające pocztówki. Jakość mają fatalną, trwałość – krótką, lecz często są jedynym sposobem na zdobycie upragnionych nagrań. To właśnie z nich Kora i Pies słuchają ukochanych Doorsów. I dzięki nim Kora doświadczy pierwszej poważnej muzycznej identyfikacji – chce być jak Grace Slick, amerykańska piosenkarka (ur. 1939 – od 1966 r. wokalistka grupy Jefferson Airplane. Na początku lat 70. rozpoczęła karierę solową. Śpiewała m.in. o przyjmowaniu substancji psychoaktywnych i uprawianiu seksu. Krytykowała Kościół katolicki i wojnę w Wietnamie) obdarzona mocnym altem o niskiej barwie i szerokiej skali, wykonująca wokalny slalom między rock and rollem a poetycką egzaltacją, liryzmem i melancholią a dzikością i krzykiem.

literat, redaktor najpierw „Dziennika Polskiego”, potem „Życia Literackiego”, człowiek z podwójną tożsamością, co wyjdzie na jaw dopiero po jego śmierci.

Korze Pies imponuje tym, że studiuje na UJ historię. Pisz też wiersze, są publikowane w „Dzienniku Polskim”. Lubią jadać w jadłodajni U Stasi przy Mikołajskiej. Mielony, kompot, tłuczone ziemniaki z masłem. Siedzi się przy dużych stołach przykrytych ceratą, płaci przy wyjściu.

Wieczory spędzają w klubach muzycznych. W wojskowej Szopie przy ulicy Rakowickiej, gdzie w soboty na potańcówkach rocka grają na żywo czeskie zespoły. W Jaszczurach



Kora z siostrą, 1982 r.

Poza tym robią to, co zakochana para: uprawiają seks. Kora w tej sferze to debiutantka. On zachęca do eksperymentów, lubi mocne doznania. Powtarza Korze: „Bądź taka, nie bądź taka, bądź taka, bądź taka, nie bądź taka”. Tę właśnie frazę wpisuje dorosłym, zamaszystym pismem do jordanowskiego pamiętnika Kory. Niby niewinna wyliczanka, a między słowa wpleciona jak zaklęcie destrukcja. Z czasem Kora tę frazę rozwinie w piosenkę, która w 1989 r. znajdzie się na płycie Maanamu „Sie ściemnia”.

Włóczę się po Krakowie. Miasto z Rynkiem narzuca styl życia, choć byś nie planował, trafisz na płytę. Można przesiadywać popołudniami na kamiennych ławkach pod Ratuszem. W okolicy są Krzysztofory, Barany, Jaszczury. Jest i kawiarnia Noworol (zwana tramwajem) na parterze Sukiennic, z wejściem od strony kościoła Mariackiego. Siada się przy stoliku i świat się wyświetla w ciągu kolejnych sekwencji: spieszący dokądś ludzie, stojące dorożki, jadące auta.

Na linii A-B (północno-wschodniej części Rynku) fontanna z żabami od nazwiska jej projektanta zwana

kanapą Zina – można usiąść na jej brzegach i obserwować gołębie dziobiące się po głowach.

Wszystkie ulice – Wiślna, Świętej Anny, Szewska, Szczepańska, Sławkowska, Świętego Jana, Floriańska, Mikołajska, Sienna, Grodzka, Bracka – prowadzą do Rynku.

Jedna z nich doprowadzi Psa w samo południe 11 marca 1968 r. pod pomnik Mickiewicza (zwanego Adasiem), gdzie odbywa się protest przeciwko zdjęciu z desek warszawskiego Teatru Narodowego „Dziadów” reżyserowanych przez Kazimierza Dejmka, uznanych przez PRL-owską władzę za inscenizację „antyrosyjską, antyradziecką i religiancką”. Tu znaczenie ma przypadek: trzy dni wcześniej Rysiek odwiedza kolegę w Warszawie i widzi demonstrujących studentów okładanych pałami przez zomowców.

11 marca pod Mickiewiczem Rysiek, zirytowany słowami młodego człowieka twierdzącego, że w Warszawie milicja nikogo nie bije, wykrzyknie: „Bije, i to mocno!”. Ktoś zmylony jego ekscentrycznym wyglądem rzuci, by się nie wtrącał, bo nie jest studentem. W odpowiedzi Rysiek wyciągnie z kieszeni spodni legitymację studencką.

Teraz mówcy wezwą krakowską brać do solidarności ze środowiskiem warszawskim. Domagają się m.in. przestrzegania konstytucji PRL-u, uwolnienia aresztowanych pracowników naukowych i studentów, otwartego informowania o wszystkich sprawach publicznych, zagwarantowania autonomii wyższych uczelni w Polsce.

Protesty krakowskie oraz te w całej Polsce zostają stłumione. Aresztem i grzywną karze się za „zakłócanie porządku w miejscach publicznych”, za uczestnictwo w „nielegalnych związkach”, za produkcję i kolportaż ulotek. Kilkadziesiąt osób jest zawieszonych w prawach studenta, część pracowników naukowych zwolniono z pracy.

Dla Ryśka Terleckiego to ważne doświadczenie polityczne. Przejrzy na oczy, skonfrontuje się z prawdziwą naturą komunizmu. Nie inwestuje jednak jeszcze młodszej energii w obalanie ustroju, na razie idzie ona w założenia apolityczny ruch hipisowski.

Całe lato 1969 r. Pies z Korą i Galią (przyjaciółką Kory) jeżdżą autostopem po Polsce. Do szczęścia wystarcza im namiot, słońce, muzyka. Nocują gdzie popadnie, nawet na klatkach schodowych. Zgodnie z hipisowską ideologią niemarnowania palą niedopałki znalezione na przystankach tramwajowych, dojadają resztki w barach mlecznych.

21 sierpnia Pies sam ruszy na kolejny hipisowski zlot odbywający się na Dolnym Śląsku, w przygranicznych Dusznikach-Zdroju. Stoi na rogatkach Krakowa, próbuje złapać stopa w stronę Wrocławia. Gdy dotrą do niego wieści, że polska armia wraz z radziecką, węgierską, NRD-owską, bułgarską wkraczają do Czechosłowacji z planem stłumienia Praskiej Wiosny, rezygnuje z podróży, wraca do domu i z przyjaciółmi maluje na murach rebus złożony z trzech znaków: czerwonej gwiazdy, znaku równości, swastyki.

„Kleiliśmy się” – wspominała Kora. I ma na myśli środki odurzające. Bo Pies odkrywa przed swoją dziewczyną nie tylko sferę seksu, wprowadza ją także w świat narkotyków. Już w czasie zlotu w Mielnie głosi ▶

► z emfazą, że narkotyki mogą być drogą do wolności.

Razem z Korą wędrują tą psychodeliczną drogą.

Pierwszy raz wezmą coś w Zakopanem, w plenerze. Wkoło zielono, błogo, w głowie – karuzela.

Potem jest płyn Tri – trójchloroetylen, substancja stosowana przy operacjach chirurgicznych oraz w pralniach do wywabiania plam. Nasąca się nim wacik, przystawia się do ust i nosa, wacha, wdycha – ów rytuał nazywa się właśnie klejeniem. Rezultatem jest stan nadwidzenia i nadczucia. Efekt może być też fatalny: w Krzysztoforach ktoś odurzy się do tego stopnia, że się porzyga i straci przytomność.

Korze Pies imponuje tym, że studiuje na UJ historię. Píše też wiersze, są publikowane w „Dzienniku Polskim”.

W Krakowie tri pojawia się wiosną 1968 r. jako bardzo tajemniczy i trudny do zdobycia specyfik przywieziony w małym pojemniczku z Warszawy. Ekscytacja opada, kiedy się okaże, że można go kupić w każdym sklepie gospodarstwa domowego.

Gdy tri znika ze sklepowych półek, hipisi znajdują zamiennik: fenmetrazynę (mówią: ferma) zapisywaną przez lekarzy na odchudzanie (recepty można zdobyć na lewo). Inne jej zastosowanie odkryją licealiści i studenci – przed egzaminami to koło ratunkowe, działa jak amfetamina: maksymalizuje koncentrację i poprawia pamięć. Nie otumania jak tri, przeciwnie, mobilizuje do twórczej ekspresji. Tyle że po przyjęciu większej ilości człowiek staje się obsesyjnym perfekcjonistą, nieustannie poprawia swoje dzieło lub odwrotnie – cokolwiek zaczyna robić, szybko to porzuca i zaczyna coś innego.

Przymiowanie fenmetrazyny potęguje w Korze fizyczną zapaść i chaos emocji.

To pod jej wpływem w łazience przy Jaremy nieskutecznie targnie się na życie. Cierpi na bezsenność – nie zmruży oka przez dwa tygodnie. Dzień i noc bez odpoczynku,

w pełnej gotowości mentalnej. Waży 47 kg, skóra i kości. Dzieje się to w klasie maturalnej, trudno się dziwić, że ostatnią rzeczą zaprzatającą jej głowę są przygotowania do egzaminu dojrzałości.

Ale ma siłę, by toczyć z Psem i znajomymi dyskusje na temat sposobów dotarcia do drugiego człowieka. Rozważać, czy to możliwe, jeśli ofiaruje mu się czas i uwagę. Filozofować, rozpruwać egzystencjalne podszywki. Kora jest przekonana, że poprzez dialog można zmieniać świat na lepsze. Jednocześnie konstatuje, że mimo usilnych prób pozostaje on nienaruszony w swoim trwaniu. Dlatego zaczyna rozważać, czyby się nie spalić. Chce przebudzenia i otwarcia

na nowe. Uzna, że tylko w ten sposób może wstrząsnąć sumieniami ludzi, tak jak to uczynił w 1968 r. Ryszard Siwiec w Warszawie na Stadionie Narodowym i rok później Jan Palach w Pradze na placu Waława.

Przyjaciele Kory martwią się, wiedzą, że jest do tego zdolna. Przypadkiem zareaguje człowiek o ksywce Minoaur, mówiąc: „Kora, przecież nie możesz tego zrobić, spal się symbolicznie”. Razem zrobią sporych rozmiarów lalkę, przytargają pod BWA, obleją benzyną, rzucą zapalną. Buchnie płomień – w momencie robi się wysoki słup ognia.

Z grupą znajomych Pies i Kora pójda pewnego dnia do malarza Piotra Marka, kolegi mieszkającego przy Tartowskiej, przecznicy Zwierzynieckiej. Odbiją się od drzwi – nie są mile widziani na tej akurat proszonej domówce. Gdy odchodzą, ktoś rzuci do kosza niedopałek, zapalą się śmieci, dym osmali futrynę. Następnego dnia dzielna Milicja Obywatelska dokonana oględzin miejsca wykroczenia, robi zdjęcia, spisze protokół, wytropi przestępcę. W rezultacie Pies zostaje oskarżony o spowodowanie zagrożenia pożarem

i w lutym 1970 r. na miesiąc trafia do aresztu przy Montelupich. Najpierw obcinają mu włosy, potem ruszają przesłuchania – jest wypytywany o narkotyki, dezenterów, kontakty z Kościołem i cudzoziemcami.

W sprawie Psa przesłuchiwana jest i Kora. Weźmie winę na siebie, powie, że to ona wzniciła ogień.

Psu to wiele nie pomoże, Korze nie zaszkodzi, ale sam ten akt odwagi zrobi na nim wrażenie. Tym większe, że ich związek wcześniej rozpada się z hukiem. Kora czuje się manipulowana, a Rysiek inaczej traktować kobiet nie potrafi. Kora ucina toksyczną więź – radykalnie i bez możliwości naprawy. Urządza publiczną scenę: w Krzysztoforach, na oczach Psa, za kotarą, kocha się z hipisem o pseudonimie Hugo – statystą z Teatru Starego.

Hugo od dawna durzy się w Korze, śle jej wiersze Stachury jako swoje. To z nim w 1969 r. Kora jedzie ze Świnoujścia do Międzyzdrojów, gdzie uczestniczą w studenckim festiwalu FAMA. Kora śpiewa na stopie „Blowin’ in the Wind” Dylana. Hugo dla Kory to nikt na serio.

A Pies po miesięcznym pobycie w więzieniu zostaje w kajdankach odwieziony do szpitala psychiatrycznego w Kobierzynie. Przebywa na oddziale kierowanym przez doktorkę Noemi Madejską, sprzymierzeńczynię oryginałów, która wypisuje mu kolejne przepustki, dzięki czemu pacjent przez trzy miesiące przebywa głównie poza szpitalem.

Potem Pies wróci na studia. Tyle że zmienia uczelnię, przenosi się na KUL. Namówi go do tego ks. Adam Boniecki, marianin, publicysta „Tygodnika Powszechnego”, duszpasterz akademicki przy kościele Świętej Anny. Na łamach pisma Boniecki pisze, że hipisi „o przystosowaniu mówią z odrazą i odcieniem pogardy. (...) Stwierdzają z zadumą: wolność to robienie tego, co się chce. Swoje istnienie uważają za fakt artystyczny” (...).



Fragmenty książki Katarzyny Kubisiowskiej *Się żyje. Kora. Biografia*, Znak, Kraków 2023

MIĘDZY OKŁADKAMI

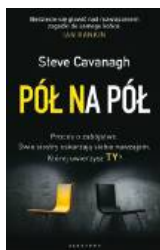


Phil Klay **Przerzut**

tłum. Krzysztof Cieślak
Cyranka, Warszawa 2023

To nie reportaż przepisany z telewizora ani tanie emocje „zpiśdziałego liberałkowatego dziennikarzyni, który próbuje skrócić coś o cikliwej stronie wojny”. To krew, znoj, łzy i pot. Ale przede wszystkim próba opowiedzenia tego, co nieopowiedziane, próba zrozumienia tego, co jest poza rozumem. Poetyka bluzgu nie jest tutaj efekciarską zagrywką, a brutalność miesza się z delikatnością jak krew z pustynnym piachem. Klay sam był żołnierzem i służył w Iraku, jego opowiadania, choć pełne czarnego humoru i żołnierskiego żargonu, są dla amerykańskich misji na Bliskim Wschodzie tym, czym „Na zachodzie bez zmian” było dla I wojny światowej. Smutne losy „zwykłych mężczyzn próbujących czynić dobro, których przygniatają groza, niemożność poskromienia własnych pasji, ich maczystowskie pozostawstwo i tzw. charakterność, pragnienie bycia twardszym”.

Rafał Piłkuła



Steve Cavanagh **Pół na pół**

tłum. Andrzej Szulc
Albatros, Warszawa 2023

Oto coś, co uciechy miłośników starannie obmyślonej zbrodni – nowa sprawa, w której obrony podejmuje się Eddie Flynn, były oszust, obecnie adwokat, trzymający się zasady, że gdy ma dowiedzieć czyjeś niewinności, sam musi być jej pewien. Z historiami z sali rozpraw zazwyczaj jest tak, że stajemy po stronie albo niezłomnego oskarżyciela, albo obrońcy, który daje z siebie wszystko, by uratować klienta. Cavanagh potrafi jednak wprowadzić element zaskoczenia, zmienić perspektywę. W „Trzyście” podważał zaufanie do ławy przysięgłych, a teraz wywołuje w nas konflikt lojalności. Bo prokurator to drań, adwokatów zaś mamy dwoje, reprezentujących siostry oskarżone i oskarżające się wzajemnie o zamordowanie ojca. Za kim się opowiedzieć? Za bohaterem serii i narratorem czy za młodą prawniczką, która w pełni zasługuje na wygraną, nawet jeśli jej pierwotna strategia procesowa jest bezwzględna i zgodna z zamysłem oskarżyciela: kiedy drapieżnik goni dwie ofiary, dla każdej ważne jest tylko to, by być szybszą niż ta druga. No to kto tu кого dopadnie?

Aleksandra Pańko

FESTIWAL

29. Międzynarodowy Plenerowy Festiwal Jazz na Starówce Antonio Faraò Quartet featuring Chico Freeman

Muzyczne spotkanie znakomitości: Antonio Faraò, rodowity rzymianin, uważany jest przez międzynarodową krytykę za jednego z najlepszych współczesnych pianistów jazzowych. Chico Freeman zaś wywodzi się z chicagowskiej sceny AACM (Association for the Advancement of Creative Musicians) związanej z tradycjami new black music. Styl Faraò jest wyjątkowy: bezbłędna biegłość techniczna w połączeniu z nieokiełznaną kreatywnością i porywającą witalnością. Freeman to jeden z najważniejszych saksofonistów naszych czasów, który udoskonalił koncepcje improwizacji i kompozycji. Ma na koncie ponad 30 albumów jako lider/kompozytor, prowadził własne renomowane grupy, takie jak The Leaders i Roots. W jego muzyce tradycja postcoltrane'owska interesująco spleta się z ekspresją rhythm and bluesa.

(ap)

Więcej na: www.jazznastarowce.pl.

**WARSZAWA, RYNEK STAREGO MIASTA,
19 SIERPNIĄ, GODZ. 19**



KURTYNA W GÓRĘ



Trzy razy Ma-

Do obsady w spektaklu „Wieczór trzech coachów” według własnego scenariusza Włodzimierz Kaczkowski zaprosił aktorów, których nazwiska zaczynają się od Ma. To oczywiście żart, ale jest prawdą, że występująca w „Wieczorze” trójka: tryskająca energią Monika Mariotti, nieco kpiarski Robert Majewski i pogodny Łukasz Matecki, ma poczucie humoru we krwi. Dzięki temu przedsta-

wienie – jak zwykle w Teatrze Scena Współczesna na pograniczu kabaretu, stand-upu, improwizacji i przemyślanego scenariusza – biegnie wartko, przynosząc mnóstwo uśmiechu i wytchnienie od codzienności.

Pomysł jest prosty, a w tym tajemnica powodzenia: Kaczkowski nawiązuje do modnego coachingu, czyli swego rodzaju treningu do osiągania sukcesu, potraktowanego na szczęście z przymrużeniem oka, ale i z odrobiną goryczy. Jest trochę zabawy z naukowymi definicjami i ekspertyzami zaoceanicznych specjalistów (z ekranu przemawiają do nas jak natchnieni Wojtek Solarz i Sebastian Stankiewicz), okraszonych piosenkami do tekstów Krzysztofa Konrada z muzyką Mateusza Wachowiaka (m.in. brawurowa „Głupota, głupota”).

Specyficzny smak ma minutowa przerwa na... włączenie telefonów komórkowych, podczas której coachowie szukają w sieci nowych inspiracji, ale i widzowie sięgają po swoich smartfonowych przyjaciół. Cóż, tacy przyjaciele, jakie czasy.

Tomasz Miłkowski

„Wieczór trzech coachów”, scenariusz i reżyseria Włodzimierz Kaczkowski,
muzyka Mateusz Wachowiak, Teatr Scena Współczesna, premiera 9 lipca 2023

(ZA)KOCHAJMY SIĘ W NATURZE!

Najlepsze do uprawiania seksu są lasy bukowe i grabowe, które mają gładką ściółkę i mało runa

Rozmawia Michał Sobczyk

Wakacje są idealną porą na rozpoczęcie przygody z seksem na łonie natury?

– Jeszcze lepsze są słoneczne dni pod koniec kwietnia i w maju, kiedy roślinność zielna i liście na drzewach są słabiej rozwinięte. Dobry jest także wrzesień, a z latem bywa różnie. Niektóre fragmenty lasów czy łąk są wówczas masowo nawiedzane przez owady lub mają wysoką wilgotność, ale oczywiście również o tej porze roku można znaleźć bardzo przyjemne miejsca na wspomnianą aktywność; pięknie może być choćby na wykoszonej łące. I nie obawiamy się tak komarów, których jest zresztą coraz mniej, ani kleszczy, którymi straszą nas na każdym kroku.

Na co, poza wilgotnością i obecnością mrowisk, należy zwrócić uwagę, gdy „mamy ochotę na chwilęczkę zapomnienia”?

– Na pewno na obecność wszystkiego, co kolczaste, co w polskich warunkach oznacza zwłaszcza jeżyny, tarninę i robinie akacjową. Z zasady omijamy także lasy sosnowe, gdyż występują tam twarde szyszki, które zwyczajnie uwierają w plecy. Najlepsze są lasy bukowe i grabowe, które mają zwykłe gładką ściółkę i mało runa, dlatego przyjemnie jest się w nich położyć. Do rozważenia są też lasy świerkowe, które są co prawda bardzo ciemne, więc lepiej sprawdzą się w słoneczny dzień, za to mają specyficzny, bardzo przyjemny klimat

i sprzyjające podłoże, z drobnymi igiełkami i stosunkowo niewielką ilością dość miękkich szyszek.

A które drzewa mogą stanowić dobrą alternatywę dla łoża?

– Niestety, dużych kłód nadal jest w lasach bardzo mało, mimo że coraz więcej mówi się o tym, że leśnicy powinni w nich pozostawiać martwe drewno. Żebyśmy mogli wygodnie ułożyć się na pniu, jego kora musi być gładka, dlatego idealne do tego celu są buki i osiki, natomiast kiepska jest bardzo chropowata sosna.

Przyroda może być nie tylko sceną, ale także współuczestnikiem aktów seksualnych. W książce opowiedziałem trochę historii o tym, jak od starożytności ludzie eksperymentują z różnymi roślinami w charakterze dilda (najbardziej niesamowity jest niedojrzały owoc monstery, ale ona niestety nie rośnie w polskich lasach). Spotkałem ponadto osoby, obu płci, które masturbują się grzybami, używają ich jako naturalnych lubrykantów, a nawet takie, które podniecają się na ich widok.

Wiemy już, gdzie można przenieść część naszego życia erotycznego, jednak pozostaje pytanie: po co?

– Korzyści będą się różnić w zależności od osoby, ale niektóre zalety seksu w plenerze są uniwersalne. Na pewno stanowi atrakcyjne urozmaicenie, a że jest tak naturalny, daje szansę na przeżycie czegoś metafizycznego – na połączenie się z całym stworzeniem i poczucie rytmu życia. Dla mnie to zupełnie magiczne.

„Seks w wielkim lesie” napisałem przede wszystkim dla młodszych pokoleń, które są silnie uwikłane we współczesną cywilizację – oferowane przez nią wygody i świat, który stworzyła. Dla osób takich jak te, które były zaskoczone lub wręcz zszokowane, gdy usłyszały ode mnie, że lubię uprawiać seks w naturze. Bo choć seksualność robi się coraz bardziej otwarta, jednocześnie rosną wymagania co do higieny i komfortu. Chciałem zachęcić młodych do spróbowania czegoś nowego, a jednocześnie pomóc im oswoić się z przyrodą.



DR HAB. ŁUKASZ ŁUCZAJ

– botanik, autor książki „Seks w wielkim lesie”

Łukasz Łuczaj – etnobotanik, popularyzator wiedzy przyrodniczej, aktywista ekologiczny i producent mieszanek nasion do zakładania łąk kwietnych. Pracuje jako profesor na Uniwersytecie Rzeszowskim, mieszka z rodziną w kilkunastohektarowym gospodarstwie w Pietruszej Woli na Podkarpaciu, gdzie prowadzi eksperymenty nastawione na odtwarzanie różnorodności biologicznej. Autor bloga (lukaszluczaj.pl) i wideobloga (youtube.com/@luczaj100).

Słyszałem, że drugą grupą, która chętnie sięga po wspomnianą publikację, są seniorzy.

– Starsi czytelnicy mówią mi, że dzięki niej przypomnieli sobie czasy młodości. Bo przecież kiedyś przyroda była jednym z głównych

spacerów. W tej chwili poza miejscami typowo turystycznymi czy rekreacyjnymi rzadziej można spotkać drugiego człowieka.

Seks w plenerze może dostarczać nie tylko nowych doznań, ale i korzyści zdrowotnych.

Nie ma przepisu, który by zabraniał uprawiania seksu na otwartych przestrzeniach czy w państwowych lasach.

miejsc intymnych schadzek. Własna izba była czymś bardzo ekskluzywnym, bo ludzie mieszkali w dużych rodzinach, wszędzie wszystko było słychać i zawsze mógł ktoś wejść, dlatego, aby się kochać, trzeba było się oddalić na obrzeża posesji, do lasu czy na pole.

Motyw kochanków chowających się w zbożu przewija się w wielu wspomnieniach i w źródłach etnograficznych.

– Ludzie zapomnieli już, a młodszy pokolenie może nawet tego nie wiedzieć, że kiedyś było ono wysokie. Jeszcze za czasów mojej młodości zwykle sięgało ponad pas, dzięki czemu było idealne do tego, żeby zrobić sobie tunel i w ten sposób zapewnić prywatność.

Wychodzi na to, że nowoczesne rolnictwo, tak jak leśnictwo, nie jest sex friendly.

– Dawniej było nie tylko wyższe zboże, ale także więcej terenów wykaszanych lub wygryzanych przez zwierzęta, na których przyjemniej się położyć. Z drugiej strony

– To, co proponuję w książce, jest po prostu ekstremalnym poszerzeniem praktyki nazywanej przez Japończyków shinrin-yoku, czyli kąpielą leśną, której pozytywny



wpływ m.in. na układ odpornościowy został udowodniony naukowo. Ale ja nie myślałam o tej książce w poważnych kategoriach, nie dobiegałam do niej żadnej ideologii, proekologicznej czy prozdrowotnej. Ona powstała, bo chciała powstać.

powodu najpierw wydałam ją po angielsku, by mogli po nią sięgnąć czytelnicy na całym świecie.

Zapewne wiele osób fantazjuje o tym, o czym można w niej przeczytać, ale nie mogą się przełamać.

– Powszechna jest obawa przed byciem nakrytym oraz możliwymi konsekwencjami. Tymczasem okazuje się, że nie istnieje przepis, który by zabraniał uprawiania seksu na otwartych przestrzeniach czy w państwowych lasach. Potwierdził to rzecznik Komendy Głównej Policji, kiedy TVN robiła materiał o mojej książce i zadzwoniła do

niego z prośbą o interpretację. Dlatego wystarczy takie rzeczy robić w miejscach, w których nie kręca się ludzie. Ryzyko, że ktoś nas zobaczy, jest wówczas minimalne.

Obstawiam, że nierzadki jest także strach, że podczas swawoli coś nas pogryzie albo wejdzie tam, gdzie nie trzeba.

– Ludzie mają przeróżne fobie na tle zwierząt. Boją się rojów gryzących komarów, wyobrażają sobie, że we wszystkich wyższych trawach czyhają na nich kleszcze, a pod każdym kamieniem leży wąż. Polska przyroda tak nie wygląda, więc zamiast jakoś specjalnie rozwijać ten wątek, ograniczę się do apelu, żebyśmy się nie bali. Jeżeli zachowamy zdrowy rozsądek, podobnie jak np. przy siadaniu do pikniku, nic szczególnie złego nam się nie przydarzy. ►

Kochankom sprzyja to, że ludzie rzadziej wychodzą w teren. Kiedyś wiecznie byli poza domem: siali, łazili na spacer.

obecnie pojawiły się nowe szanse na intymność, bo mamy dużo zakrzaczonych nieużytków czy zarastających lasem dawnych pól, idealnych na kryjówki.

Kochankom sprzyja i to, że ludzie rzadziej wychodzą w teren. Kiedyś wiecznie byli poza domem: siali, pilnowali, nudzili się, łazili na

Czy to prawda, że jest pierwszą taką pozycją na świecie?

– Gdy zaczynałam ją pisać, nie było ani jednej podobnej publikacji. Parę książek zahaczało o tę tematykę, np. zawierało porady dotyczące seksu w kontekście biwakowania, ale żadna nie potraktowała jej kompleksowo, co mnie zdziwiło. Z tego

► Z jakimi reakcjami spotyka się „Seks w wielkim lesie”?

– Dominuje bardzo pozytywny odbiór. Słyszę od różnych ludzi, że książka jest inspirująca, dobrze napisana, a pikantność i delikatność są w niej dobrze wyważone, co czyni ją pozycją prawie dla każdego. Właściwie jedynym zarzutem pod jej adresem jest to, że jest za

tematy. Tak po prostu mam – napisałem kilka książek i każda jest o czymś zupełnie innym.

Tytuły mówią wszystko: „Dzikie rośliny jadalne Polski”, „Podręcznik robakożercy”, „Dziki ogród”.

– Każda z nich miała prowokować do myślenia i zachęcać do zmiany nawyków. Wszystkie są bardzo bliskie mojemu sercu, bo są niewyrachowane. Nie miałem żadnego powodu, że-

by je napisać, poza szczerą chęcią wejścia w dyskusję ze społeczeństwem. Oczywiście nie wymyśliłem tematów, którym są poświęcone, ale mam wrażenie, że jestem

pierwszą osobą w Polsce, która zajęła się nimi na poważnie. Mam poczucie, że jestem trendsetterem i wybiegam średnio dziesięć lat do przodu.

Dodam, że przestania swoich publikacji wcielam w życie. Nie inaczej jest w przypadku „Seksu w wielkim lesie”. Już po jego ukazaniu się spłodziliśmy z partnerką syna na polanie pod lasem.

Czym jeszcze spróbuje pan zainteresować Polki i Polaków?

– Zacząłem już pracę nad kilkoma książkami, ale nie zdradzę ich tematów ani tytułów.

Tym przyjemniej będzie na nie czekać.

Michał Sobczyk

m.sobczyk@tygodnikprzeglad.pl

Dawniej przyroda była jednym z głównych miejsc intymnych schadzek.

cienka. Teraz, na podstawie historii, z którymi odezwali się do mnie czytelnicy, mógłbym napisać coś dwa razy grubszego, ale nie mogę się zebrać, bo porwały mnie kolejne

ZBOŻE I KRZAKI

Niejeden stary polski film pokazuje kochanków chowających się w zbożu, od „Nad Niemnem” (reż. Zbigniew Kuźmiński, 1987) po „Samych swoich” (reż. Sylwester Chęciński, 1967). W nizinnym wiejskim krajobrazie Polski pola uprawne stanowiły często większość powierzchni, a drzewa znajdowały się dopiero gdzieś na horyzoncie. Pastwisko i łąki były nisko wykoszone. W lipcu było już po sianokosach, a zboże było wysokie. Nic więc dziwnego, że szukający intymności ludzie się w nie zagłębiali. Do niedawna zboża rosły często po pas, a nawet po szyję. Stojąca w zbożu dziewczyna mogła nawet ukryć tam swoje nagie piersi. Wystarczyło więc tylko zrobić mały tunel i było się całkowicie zamaskowanym przez metro-we źdźbła i otulonym kobiercami rosnącej w zbożu wyki. W zbożu wszędzie pełno było maków, chabrow, kąkoli, rumianów. Ech, musiało być kolorowo kochać się w takim przykrykonym, wielkim zbożu. Z czasem, z chęcią maksymalizacji wydajności w przeliczeniu na jednostkę powierzchni, zaczęto uprawiać nowe, niskie odmiany zbóż. Obecnie zboża są tak niskie, że ciężko się w nich schować nawet psu, a herbicydy skutecznie niszczą maki i chabry.

À propos psów... termin „dogging” bierze się od angielskiego „pies”, „dog”, gdyż pierwotnie odnosił się do ludzi, którzy w Anglii chodzą na spacer z psem i podglądają pary kochające się w podmiejskich lasach. Z czasem jednak zaczął oznaczać ludzi, którzy umawiają się na seks w takim miejscu. Szczególnie popularny jest w okolicach Londynu i hrabstwie Kent. „Umawiają” to mocno powiedziane, bo często w organizowane przez internet schadzki ludzi, którzy mają na to ochotę, włączają się zupełnie przypadkowi uczestnicy. W Londynie tradycje podobne do doggingu istnieją już od XIX w. – na Hampstead Heath jest miejsce, gdzie już wtedy spotykali się geje, szukając ustronnych okolic nadających się do uprawiania seksu.

Dogging przeniósł się także do innych krajów, w tym i do Polski, szczególnie Warszawy. W Warszawie pary umawiają się czasem w miejscach, które są widoczne z tras szybkiego ruchu, a zarazem niedostępne.

Starym warszawiakom miłosne igraszki kojarzą się z nadwiślańskimi zaroślami. Teraz brzegi Wisły porośnięte są prawdziwym, gęstym łęgowym lasem. Kiedyś jednak drzew było mniej i kochankowie kryli się w krzakach wilkiny i innych krzewiastych gatunkach drzew porastających brzegi cieków wodnych. Wielki krzew daje ci schronienie jak namiot. Ciebie nie widać, ale ty mniej więcej orientujesz się, co się dzieje dookoła. Nadrzeczne krzaki są zresztą domeną wielu ukrytych działań, jak picie wina czy palenie trawki. W pewnym sensie pisanie o krzakach wykracza poza pisanie o erotyce w naturze. Bo chciałbym pisać o czymś przyjemnym, „estetycznym”. Zakładam jednak, że są i przyjemne krzaki, a sytuacje, kiedy piknik w gęszczu wiklin otoczonych wijącym się chmielem, kolczurką klapowaną (*Echinocystis lobata*), gdzie dotarłaś przez ścieżkę z zadeptanych pokrzyw, nawłoci kanadyjskich i niecierpka himalajskiego (*Impatiens glandulifera*) strzelającego swymi strąkami, będzie jednym z najważniejszych wspomnień twego życia. Zarośnięty krzakami brzeg rzeki ma jeszcze jedną zaletę. Kiedy już przedrzesz się przez nadwiślańskie gęszcze, przez klony jesionolistne, czeremchy, pokrzywy, rdestowce japońskie (*Reynoutria japonica*), nawłocie i niecierpki, otworzy się przed tobą tafla wody. Znajdziesz tu zarówno kamienie, na których można usiąść i patrzeć w wodę, trzymając się za ręce, jak też piaszczyste łąchy. Za drzewami usłyszysz mruczenie wielkomiejskiej Warszawy. Będziecie sami, jeśli traficie akurat na moment, że nie obserwuje was żaden wędkarz.

Fragment książki Łukasza Łuczaja *Seks w wielkim lesie*, Wydawnictwo Ha!art, Kraków 2020





Wieczne odpoczywanie

Wojciech Kuczok

Prawdopodobnie Szatan

Popadam w paranoję, czym chętnie ze światem się podzielę, albowiem jedyne, co mi pozostaje, to terapia autoironią. Pamiętam, że kiedy pierwszy raz zobaczyłem człowieka prowadzącego rozmowę przez douszną słuchawkę, wziąłem go za pomyłonego. Zdziwiłem się, że młody, zadbany mężczyzna gada do siebie na ulicy; z czasem zacząłem się dziwić niepomiernie, że w mieście rozpanoszyła się jakaś obłąkańcza epidemia, aż ktoś mi w końcu uświadomił, że nieco nie nadążam za postępem technicznym. Dwie dekady temu po raz pierwszy znajomy zrobił aparatem fotograficznym filmik z moim udziałem, a ja myślałem, że raczej mnie wkręca, niż nakręca – no bo jak to tak, zdjęcie, które mówi? Film aparatem, nie kamerą?

Nauczony tymi blamażami przestałem publicznie się dziwić wszelkim technologicznym rewolucjom, a ostatnio nawet antycypuję je nieco paranoicznie. Dziś już nikt nie ma wątpliwości, że telefony nas podsłuchują, laptopy nas podglądają, czego dowodzą dane natychmiast przemielone przez algorytmy i wypłute w postaci sprofilowanych reklam. Wystarczy porozmawiać czule z kochanką przez komórkę o planowanej randce w tajnej agroturystyce, aby między postami znajomych natychmiast znaleźć reklamy prezerwatyw i lubrykantów pod ramię z ofertami biur podróży i zacisznych pensjonatów; dość przeczytać najnowszy felieton ulubionej autorki, a już się wypychają między posty materiały promocyjne wydawnictw; człowiek poskarży się szeptem lub Messengerem, że ma kłopoty ze spłatą kredytu, a od razu go bombardują SMS-owe zachęty do pobrania chwilówek. Tymczasem jednak przytrafił mi się zbieg okoliczności w kontekście powszechnej inwigilacji dość upiorny, choć w istocie rzeczy całkiem niewinny.

Wróciwszy z kanikuły pozazasięgowej, rzuciłem się tapczywie do Spotify, założyłem słuchawki i wybrałem losowy tryb wyboru muzyki. Trafilo na suitę Władysława Szpilmana „Życie maszyn” z najnowszej płyty mojej ulubionej pianistki Julianny Awdiejewej. Słyszałem ten utwór dotąd tylko raz, na żywo, podczas festiwalu Chopin i jego Europa (którego kolejna edycja już za chwilę, skądinąd właśnie Awdiejewa zagra na finał „I koncert fortepianowy” Brahmsa) – algorytm trafił w środek tarczy, bo rzecz chodziła mi po głowie od lat, a nowej płyty rosyjskiej pianistki dotąd

nie wysłuchałem. Płyta nosi tytuł „Resilience” i gromadzi utwory przetrwańców mrocznych czasów, zaiste postaci, które wykazały się wielką odpornością na napór grozy wojennej – oprócz sławetnego robinsona warszawskiego mamy tu jeszcze utwory Szostakowicza i Weinberga. Płytę otwiera jednak Szpilman z przedwojennym „Życiem maszyn”, które pokazuje go od strony całkiem poważnej kompozytorsko – zwłaszcza w nadzwyczaj efektownej, prokofiewowskiej z ducha części toccatowej. I teraz uwaga: tyle, co wybrzmiała trzecia część suity, zadzwoniła do mnie pani z... chorzowskiego Muzeum Hutnictwa i zaprosiła do udziału autorskiego w nowo powstającym periodyku, którego pierwszy numer ma być poświęcony „dźwiękom oraz muzyce świata industrialnego” pod hasłem „HUTA HUCZY”. Ochoczo się zgodziłem, zwłaszcza że audiosfera fabryczna kołysała mnie do dziecięcych snów, jak każdego chorzowianina wychowanego pomiędzy hutami – ale zaraz potem przyszedł spiskowy zestaw ponurych przewidywań. Zaraz, zaraz, a jeśli za chwilę

Klasyyczny lęk paranoika, że niejacy Oni wiedzą o nas wszystko, nie jest już groźbą urojoną, jak dowodzą kolejne pisowskie skandale, od Pegasusa po Niedzielskiego.

algorytm sięgnie już tak dalece, by kreować rzeczywistość? Każda nasza myśl i każda decyzja będą teraz rezonować? A może od zawsze tak było – nasze życia są zdeterminowane przez Nadalgorytm, który pokażna część ludzkości myli z Bogiem?

Klasyyczny lęk paranoika, że niejacy Oni wiedzą o nas wszystko, nie jest już wcale groźbą urojoną, jak dowodzą kolejne pisowskie skandale od Pegasusa po Niedzielskiego. Donald Tusk w swojej instagramowej kampanii mówi wprost o wszechinwigilacji, którą stosuje władza, by założyć nam obrożę i kaganiec. Moje lęki są raczej natury ontologicznej. Rasowy paranoik czyta w zbiegach okoliczności ukryty sens, ba, on w przypadki nie wierzy – w paranoi wszystko kieruje się żelazną logiką, którą choroba każe rozwikłać. Świetnie się tym zabawiał Gombrowicz w „Kosmosie”. Jeśli więc to nie ślepy traf odezwał się głosem pani z Muzeum Hutnictwa w reakcji na moje słuchanie „Życia maszyn” – „któż zatem bawi się tak ludźmi i w szyderstwo ich obraca?”.

Łukasz Skop

Ogromne, radosne i pełne wdzięku. Niekwestionowany symbol lata i każdego wiejskiego ogródka. Znać i lubiane od wielu pokoleń – takie są właśnie słoneczniki. Nie można ich nie znać i nie da się nie pokochać od pierwszego wejrzenia. I kiedy myślisz, że wiesz o nich wszystko – bo gdzie takie olbrzymy mogłyby ukryć jakąś tajemnicę? – one wciąż jeszcze potrafią czymś zaskoczyć. Jesienią spójrz uważnie w dojrzewający słonecznikowy talerz. Setki smakowitych nasion układają się tam w hipnotyzującą mandalę. Czy wiesz, jak powstał ten misterny projekt?

Słoneczniki zaprojektowały swoje kwiatostany w najdrobniejszym szczególe. Większość z nich wydaje co prawda tylko jeden – ale za to całkiem słusznych rozmiarów – kwiatostan. Zewnętrzne kwiaty języczkowe (płatki) okalające słonecznikowy talerz czynią go doskonale widocznym z oddali, tak by owady zapylające nie przegapiły zaproszenia na ucztę. Wewnętrzne drobne kwiaty rurkowe, z których powstają nasiona, upakowane są z zegarmistrzowską precyzją, a pod każdym z nich czeka już wstępnie rozwinięte nasiono. Sposób ułożenia kwiatów, a co za tym idzie nasion, nie jest jednak przypadkowy. By zmieścić ich na powierzchni kolistego kwiatostanu jak najwięcej, słoneczniki posługują się wyższą matematyką i upychają nasiona tak gęsto, jak to tylko możliwe. Jestem pewien, że gdyby wybierały się kiedyś na wakacje, zostałyby też mistrzami pakowania walizek!

Jeśli tak jak ja uwielbiasz wyskubywać nasiona słonecznika wprost z dojrzałego talerza, spróbuj zacząć od dowolnego nasiona położonego najbliżej brzegu, a później poruszaj się w kierunku środka, wybierając ziarna sąsiadujące ze sobą w jednej linii. Szybko zauważysz, że możesz wyjadać nasiona wzdłuż linii zakręcającej w prawo lub w lewo, bo cały kwiatostan składa się z krzyżujących się spiral. Czy wiesz, ile takich spiral znajduje się w każdym słoneczniku? Możesz je policzyć, a jeśli akurat z niewiadomych przyczyn nie masz



Matematyka słonecznika

Gdyby słoneczniki wybierały się kiedyś na wakacje, zostałyby też mistrzami pakowania walizek

pod ręką słonecznika (nie przegap jesiennej pełni sezonu!), to podpowiadam: licząc w obie strony, mały talerz wypełnia 55 i 89 krzyżujących się spiral, w średniej wielkości talerzu jest ich 89 i 144, a największe słoneczniki będą miały dokładnie 144 i 233 łuki nasion. Liczby te należą do ciągu liczb Fibonacciego, w którym każda liczba jest sumą dwóch poprzednich: 0, 1, 1, 2, 3, 5, 8, 13, 21, 34, 55, 89, 144, 233 itd.

I cóż przychodzi słonecznikom z praktykowania takiej matematyki? Wraz z rozpoczęciem kwitnienia jako pierwsze otwierają się kwiaty położone w zewnętrznym okręgu, potem kolejno rozwijają się te rosnące coraz bliżej środka itd., aż w końcu słonecznik przekwitnie. W tym czasie słonecznikowy talerz ciągle rośnie, a każde nasiono rozpycha się pomiędzy swoimi sąsiadami. Spiralne ułożenie gwarantuje, że żaden skrawek przestrzeni nie zostanie zmarnowany,

nasiona znajdujące się w samym środku nie będą miały zbyt ciasno, a pomiędzy nasionami na obrzeżach nie utworzą się puste przestrzenie. I kto by pomyślał, że zwykłe słoneczniki to taka doskonałość?

Słoneczniki są wysokie, wyraziste i wytrzymałe – chociaż tylko dwie z tych trzech cech występują zawsze. Słoneczniki nie muszą być wysokie. Jest całe mnóstwo karłowatych odmian, a niektóre z nich to prawdziwe krasnoludki. Mają niewiele ponad pół metra wysokości! Takie słoneczniki mają jeden kwiatostan skierowany ku górze i nie potrzebują dużo miejsca, poradzą sobie nawet w donicach.

Słoneczniki nieraz kwitną przez całe lato. Taki efekt można osiągnąć przynajmniej na dwa sposoby. Po pierwsze, zamiast słoneczników jadalnych – tych uprawianych dla wielkich talerzy wypełnionych dużymi nasionami – wybierz słoneczniki

ozdobne. Te pierwsze wydają tylko jeden kwiatostan, te drugie – jeden główny i wiele mniejszych na bocznych łodygach. Kiedy słonecznik ozdobny osiągnie taką wysokość, że na jego czubku będzie wyraźniej widać zawiązek kwiatu, zetnij mu głowę. Brutalna dekapitacja opóźni jego kwitnienie, lecz roślina skieruje swoje siły do wszystkich pędów bocznych, które wydadzą przez to wyrównane pod względem wielkości kwiaty (nawet do kilkudziesięciu na jednej roślinie). Będą rozwijać się stopniowo, a jeśli na bieżąco będziesz usuwać po kwitnieniu wszystkie przekwitłe kwiatostany, nowe pąki będą pojawiać się do końca lata.

Drugi sposób to wybór odpowiedniego gatunku słonecznika. Zamiast słonecznika zwyczajnego (*Helianthus annuus*), do którego zalicza się zarówno popularne odmiany jadalne, jak i ozdobne, wybierz słonecznik ogórkolistny o dość niefortunnie brzmiącej łacińskiej nazwie *Helianthus debilis*. Zawiązuje on mnóstwo drobnych kwiatów, niewiele większych od rudbekii, rozwijających się na cienkich łodygach. Fantastycznie nadaje się do bukietów i nie jest tak masywny jak inne jednoroczne słoneczniki.

Po przekwitnięciu kwiatostanów nasiona potrzebują jeszcze czasu, aby w pełni się rozwinąć i dojrzeć. U słoneczników jadalnych określenie stopnia dojrzałości nasion to przydatna umiejętność – najsmaczniejsze są te, u których pod łupiną wykształciła się już cała zawartość, ale jeszcze nie są całkiem twarde i wyschnięte. Polowanie na dojrzałe słoneczniki to w mojej rodzinie jesienna tradycja i każdy bezbłędnie potrafi rozpoznać te najlepsze. Najważniejsze to nie zaglądać słonecznikom w zęby. Jeśli spróbujesz wyłuskać pojedyncze nasiona, żeby sprawdzić ich dojrzałość, talerz zostanie napoczęty, a przez to ptaki będą miały ułatwione zadanie i mogą wydziobać wszystkie nasiona, zanim naprawdę dobrze dojrzeją.

Gotowe do ścięcia słoneczniki mają maślanożółte plecy – tylną część kwiatostanu. Kiedy zauważysz zmianę koloru z zielonego na żółty, nie musisz nawet próbować nasion – na pewno będą dojrzałe.

Taki słonecznik możesz od razu ściąć i zacząć go dziobać – poruszając się, oczywiście, według matematycznego klucza.

Zejdź na ziemię

Nasiona słoneczników ozdobnych są niewielkie i chociaż można je jeść, to do celów spożywczych lepiej uprawiać typowe słoneczniki jadalne o większych nasionach, a kwiatostany słoneczników ozdobnych zostawić ptakom. Lubię obserwować, jak do moich słoneczników zlatują się ptaki z całej okolicy. Późną jesienią, kiedy pokarmu jest coraz mniej, często wydziobują z nich nasiona, jeszcze zanim słonecznikom opadną płatki.

Ze słoneczników, które najbardziej mi się podobają, zbieram nasiona na kolejny rok, jednak żeby w ogóle mieć co zebrać, muszę zabezpieczyć wybrane kwiatostany przed ptakami. Pilnuję tych najładniejszych i obserwuję, kiedy pszczoły kończą je zapyłać. Gdy przekwitną, a płatki zaczną więdnąć, nakładam na cały kwiatostan mały kawałek firanki i gumkę recepturkę, która go przytrzyma. W ten sposób nasiona mogą dojrzeć i wyschnąć, a ptaki się do nich nie dobiorą. Z reszty nasion mogą natomiast korzystać do woli – w ten sposób każdy jest zadowolony.

Najlepszym terminem siewu słoneczników jest początek maja. Słoneczniki mają nawet swoje święto przypadające każdego roku na 1 maja – to Międzynarodowy Dzień Partyzanckiego Sadzenia Słoneczników (International Sunflower Guerrilla Gardening Day), który został ustanowiony w 2007 r. przez grupę brukselskich aktywistów. Słoneczniki stały się tym samym symbolem zazieleniania wszystkich zaniedbanych i opuszczonych miejsc, które wcale nie muszą źle wyglądać.

Razem raźniej

Zamiast przekonywać i wyliczać dlaczego, gdzie i z czym słonecznikom będzie się dobrze rosnąć, wolę ostrzec, kto nie skorzysta na słonecznikowym towarzystwie. Otóż

prawie wszystkie kwiaty! Wystarczy jeden rzut oka na słoneczniki i od razu widać, że to rozbójnicy, którzy mają duże wymagania. Co prawda, potrafią urosnąć nawet w piaszczystej ziemi (sam taką mam na działce), wytrzymają nieprzesadny upał, suszę i sąsiedztwo innych roślin, ale wyciągają dla siebie z ziemi mnóstwo wody i składników pokarmowych. Posadź jeden słonecznik wśród innych kwiatów, szczególnie jednorocznych, a szybko się przekonasz, że te rosnące najbliżej niego będą mniejsze i w czasie upału zwiędną szybciej od pozostałych.

Jeśli chcesz mieć naprawdę dorodne słoneczniki, a przy tym leży ci na sercu dobro ich sąsiadów, posadź je z dala od innych roślin. To samo dotyczy odległości słoneczników od siebie nawzajem, która powinna wynosić nawet metr dla wysokich odmian i przynajmniej 50 cm dla tych najmniejszych. Jeśli chcesz mieć rząd posagowych słoneczników – wysokich, równych i dorodnych – do jednego dołka wrzuć po kilka nasion, a kiedy wzejdą, zostaw tylko po jednej, największej siewce.

Mów łaciną

Słonecznik zwyczajny, *Helianthus annuus*, otrzymał nazwę od greckich słów: *hélios* – „słońce” i *ánthos* – „kwiat”, a także *ánnuus* – „roczny” (w znaczeniu „nietrwały, nieodporny na mróz”). Słoneczniki to prawdziwe kwiaty słońca nie tylko dlatego, że przypominają je wyglądem. Na wielkich słonecznikowych plantacjach szczególnie wyraźnie widać, że wszystkie kwiatostany zwrócone są na południe i tak samo jest z każdym słonecznikiem: zawsze odwraca twarz w stronę słońca. Zjawisko polegające na wzroście rośliny w kierunku światła nazywane jest fototropizmem dodatnim, a słonecznik jest klasycznym przykładem.



Fragmenty książki Łukasza Skopa *Kwiaty bez ogródek. Jak dbać o rośliny przez cały rok*, Wydawnictwo Poznańskie, Poznań 2023

Biało-błękitne wrota Sahary

Tunezja ze względu na strategiczne położenie od wieków budziła zainteresowanie mocarstw. Stąd zabytki z różnych epok na styku pustyni i plaż

Chrystian Ślusarczyk

Kraj o powierzchni dwukrotnie mniejszej od Polski wciśnięty jest między dwóch znacznie większych arabskich sąsiadów – Algierię i Libię. Biorąc pod uwagę ich atrakcyjność turystyczną i potencjał, mógłby stać na straconej pozycji. Szczęśliwie jednak dla 11-milionowej Tunezji tak się nie dzieje. Sąsiedzi od lat przeżywają turbulencje polityczno-gospodarcze i nie w głowie im budowanie turystycznej potęgi. Natomiast mała Tunezja kroczy drogą dwóch innych krajów arabskich, liczących się na globalnej mapie turystyki – Egiptu i Maroka. Oba są dla niej poważnymi konkurentami.

Czym od lat przyciąga Tunezja? Wypoczynek w tym kraju to połączenie morskiego i plażowego relaksu z wciąż żywą arabsko-berberyjską kulturą oraz wieloma dobrze zachowanymi zabytkami. Tunezja szczyti się długą na 1,2 tys. km linią brzegową, którą niemal w całości stanowią pokryte drobnym piaskiem plaże. Temperatura wody w turkusowym Morzu Śródziemnym w sierpniu i wrześniu dochodzi do 28 st.

Większość hoteli na tunezyjskiej riwierze jest zbudowana w stylu mauretańskim. To często potężne kompleksy z niską zabudową, zadbanymi, zielonymi parkami, kilkoma restauracjami i barami oraz dużymi basenami.

Polscy turyści najczęściej udają się do Tunezji, korzystając z usług biur podróży. Lot trwa trzy-trzy i pół godziny. Samoloty lądują zwykle na dwóch międzynarodowych lotniskach, w miastach Al-Munastir i Dżardzis (to drugie na Dżerbie). W Tunezji obowiązuje ruch

bezwizowy. Polscy turyści muszą jednak posiadać ważny co najmniej na trzy kolejne miesiące paszport. Walutą jest dinar tunezyjski (TND). Nie wolno go wwozić do Tunezji, dlatego musimy się zaopatrzyć w odpowiednią ilość euro czy dolarów, z wymianą których nie będzie problemów.

Tunezja kusi atrakcyjnymi cenami. Nietrudno znaleźć oferty, w których za tygodniowy pobyt w trzygwiazdkowym hotelu nad morzem, z wyżywieniem HB (śniadania i obiadokolacje), na przełomie sierpnia i września zapłacimy 1,6 tys. zł za osobę.

Wiele atrakcyjnych cenowo artykułów (np. skóry czy ceramikę) znajdziemy na bazarach. Pamiętajmy – odmowa targowania się jest niemal obrazą dla sprzedającego. Osoby nie najlepiej znoszące upały powinny pamiętać, że w lipcu i sierpniu na południu kraju temperatury często przekraczają 40 st. Ale upały toleruje się tam łatwiej ze względu na niewielką wilgotność powietrza.

Tunezja to nie tylko śródziemnomorskie ośrodki i ulubione przez najmłodszych parki wodne. Atrakcją dla preferujących czynny wypoczynek jest tzw. Grand Sud, czyli Wielkie Południe, i wyjazd na Saharę. Wiele biur podróży, zarówno w kraju, jak i na miejscu organizuje wycieczki (środek transportu bardzo różny, możliwe także wielbłądy). Wszędzie obecny piasek, pustkowia aż po horyzont, kwitnące kaktusy to przeżycia, które na długo zapadają w pamięć. Punktem obowiązkowym jest również odwiedzenie jednej z oaz. Warto udać się do oazy Tauzar w pobliżu sporego słonego jeziora Szatt al-Dżarid. Dziś zaskakująco zielone gaje palm daktylowych niemal pukają do bram miasteczka.

Wszędzie, i nad morzem, i na pustynnym Wielkim Południu, spotkamy się z tunezyjską gościnnością, w parze z którą idzie kuchnia. Słynny kuskus to przecież potrawa nieobca w wielu polskich restauracjach. W Tunezji ta narodowa potrawa doczekała się... pomnika. Spory gar kuskusu postawiono w zabytkowym Kairuanie.

Tunezja, w której teoretycznie aż 99% mieszkańców wyznaje islam, jest najbardziej liberalnym krajem arabskim. Za czasów Habiba Burgiby, prezydenta i premiera, w Tunezji zniesiono wielożenstwo, zalegalizowano bezpłatną aborcję i uregulowano kwestię prostytucji. Produkowane i sprzedawane jest też całkiem niezłe wino – w Polsce niedostępne.

Miasta z łańcuszkami plaż

Ośrodki wypoczynkowe znajdują się najczęściej w miastach albo w ich pobliżu. Tak jest w przypadku Susy. Miasto odwiedza rocznie 1,5 mln turystów. Mogą tu zwiedzić m.in. Wielki Meczet (IX w.), ribat (muzułmański obóz wojskowy), katakumby oraz wpisana na listę UNESCO spora medynę. Na północ od centrum wzdłuż morza ciągną się kilometrami hotele, z których każdy ma własny dostęp do szerokiej plaży. 15 km na północ od centrum Susy powstał nowoczesny, pełen zieleni ośrodek turystyczny Port el-Kantaoui, gdzie hotele i cała infrastruktura chowają się w śródziemnomorskiej roślinności. Miejscowość poza plażami kusi mariną i centrum nurkowania.

Natomiast 15 km na południe od Susy, na styku zielonej riwierzy z gajami oliwnymi, znajduje się Al-Munastir. Wielu polskich turystów upodobało sobie tamtejsze ośrodki



Leżące 20 km od Tunisu Sidi Bou Said to jedno z najbardziej uroczych miejsc w Tunezji.



Medyna w Tunisie.



Wielki Meczet w Susie.

i rozległe plaże. Na wzgórzu nad miastem warto odwiedzić mauzoleum Burgiby z bajecznie kolorowymi kopułami i minaretami; prezydenta pochowano tam w 2000 r.

Al-Hammamat położony zaledwie 20 km od Tunisu, już blisko półwyspu Al-Watan al-Kibli, z francuska zwanego Cap Bon, przez niemal cały rok pachnie jaśminem, hibiskusem i oleandrami. To, podobnie jak Susa, spore miasto z bardzo starą medyną, które otoczone jest łańcuszkiem plaż.

Cały czas rozbudowywana jest infrastruktura miasta Safakis, znanego też jako Sfax, drugiego pod względem wielkości w Tunezji. Zwiedzanie otoczonego murami miasta to podróż w czasie, a na niepowtarzalną atmosferę składają się strzeliste minarety wyrastające w każdym niemal zaułku starówki. Także Sfax otoczony jest łańcuszkiem piaszczystych plaż. Latem panuje na nich spory zgiełk. Aby go uniknąć, możemy się wybrać na pobliskie wyspy Karkana, gdzie tunezyjska flora i fauna pokazuje swoje najpiękniejsze oblicze.

Dżerba – wielokulturowy klejnot

Północne, afrykańskie wybrzeże Morza Śródziemnego w odróżnieniu od wybrzeży po stronie europejskiej jest praktycznie pozbawione wysp i wysepek. Wyjątek stanowi położona w pobliżu granicy z Libią Dżerba. Wyspa o powierzchni 514 km kw. (dwukrotnie większa od naszej wyspy Wolin) ma 100 tys. stałych mieszkańców. Połączona jest ze stałym lądem (z miejscowością Dżurf al-Kantara) 10-kilometrową groblą, po której biegnie szosa. Połączenie to zawdzięczamy Rzymianom. Na Dżerbę dostać się możemy także promem (popularnie zwanym *le bac*) oraz oczywiście samolotem.

W sezonie, który na Dżerbie trwa jeszcze dłużej niż w pozostałych regionach Tunezji (od kwietnia do końca października), liczba turystów może przekraczać liczbę stałych mieszkańców. Wyspa przyciąga zarówno wspaniałymi plażami i zjawiskowymi widokami, jak i bogactwem zabytków, stanowi bowiem ciekawą mieszankę wpływów arabsko-muzułmańskich i berberyjskich z żydowskimi. ▶

► W przeszłości zamieszkiwana była przez liczną diasporę żydowską. Szacuje się, że obecnie na Dżerbie mieszka już tylko 700-800 Żydów. Do dziś zachowało się tam aż 40 synagog, z których część udostępniana jest turystom. Za najciekawszą uważana jest synagoga Al-Ghariba w miejscowości Ar-Rijad, najstarsza w Afryce Północnej. Niestety, pielgrzymi i turyści odwiedzający tę synagogę już dwukrotnie byli celem ataków terrorystycznych. W kwietniu 2002 r., w wyniku zamachu bombowego, za który odpowiedzialność wzięła Al-Kaida, zginęło 21 osób (głównie cudzoziemców). Od tego czasu policja i inne służby są stale obecne na wyspie, by zapewnić bezpieczeństwo. Mimo to w maju 2023 r. w kolejnym zamachu terrorystycznym w tym samym miejscu życie straciły cztery osoby, w tym zamachowiec, a dziewięć zostało rannych.

Największym miastem Dżerby jest Haumat as-Suk, ze sporym – jak wskazuje sama nazwa – sukiem, czyli orientalnym bazarem. To dość nowoczesne miasto, ale nie brakuje w nim wąskich uliczek z kafejkami. Stare Haumat as-Suk szczyci się XV-wiecznym fortem Aghlabid.

Ci, którzy zdecydowali się spędzić urlop na Dżerbie, nie powinni omijać berberyjskiej wioski Kallala, która już od czasów rzymskich słynie z oryginalnych wyrobów ceramicznych. Z kolei miłośników egzotycznej fauny może zaciekać farma krokodyli zlokalizowana na wschodzie wyspy. To największa tego rodzaju atrakcja w całym basenie Morza Śródziemnego! Hodowanych jest tam prawie 500 gadów, sprowadzonych z dorzecza Nilu.

Kurorty z pięknymi, piaszczystymi plażami znajdują się głównie na wschodzie wyspy. Na przeszło 20-kilometrowej riwierze powstały dziesiątki umiejętnie wkomponowanych w środowisko naturalne kompleksów hotelowych. W ogromnej większości oferują wypoczynek all inclusive.

Kairuan – religijne serce Tunezji

Kairuan znajduje się ok. 60 km na zachód od Susy. Łatwo dostać się

tam lokalnymi autobusami, chociaż klimatyzacja nie jest w nich sprawą oczywistą. Miasto stanowi jedno ze świętych miejsc islamu, podobnie jak Mekka czy Jerozolima. Na szczęście w odróżnieniu od saudyjskiej Mekki zabytki i święte miejsca Kairuanu udostępniane są turystom, a władze miasta robią wszystko, by przyciągać jak najwięcej cudzoziemców.

Miasto zostało założone w roku 671. Początkowo było niewielkim posterunkiem strzegącym szlaków karawan przed atakami ze strony Berberów. W kolejnych wiekach szybko się rozrastało. Dziś ma niemal 200 tys. mieszkańców.

Największą atrakcją jest Wielki Meczet Sidi (pana) Ukby, czyli fundatora miasta. Obecna bryła meczetu pochodzi z IX w. To potężna budowla z równie potężnym dziedzińcem, murami fortyfikacyjnymi i szerokim, typowym dla tej części świata arabskiego, czworobocznym minaretem. Całość konstrukcji wspiera się na 114 filarach połączonych zdobionymi łukami. Wewnątrz świątyni jest aż 17 naw. Poza Wielkim Meczetem w Kairuanie znajduje się co najmniej 100 innych muzουλmańskich świątyń. Nieco oddalony od starego miasta (medyny) jest Meczet Cyrulika (Sidi Sahab), ważny cel pielgrzymek kobiet. Nie wszystkie meczety są przygotowane na odwiedziny zagranicznych turystów, dlatego delikatne zapytanie z naszej strony o możliwość choćby zajrzenia do środka z pewnością będzie mile widziane.

Ważnym dla muzουλmanów miejscem jest Bir (studnia) Baruta. Panuje przekonanie, że wody z kairuańskich studni połączone są aż z wodami ze studni Zamzam w Mekce i mają cudowne właściwości.

Jak przystało na prawdziwe arabskie miasto, kairuańska starówka otoczona jest potężnymi murami obronnymi z VIII i IX w. W jej sercu rozlokował się tradycyjny suk. Do medyny wchodzi się kilkoma bramami w kształcie łuków. Wielki Meczet i medyna w Kairuanie zostały wpisane na Listę światowego dziedzictwa UNESCO.

Kairuan od wieków znany był z produkcji dywanów. Piękne, ozdobne tkaniny można tam kupić i dziś,

jednak ich transport do kraju może być sporym problemem. Warto natomiast wybrać się do muzeum dywanów. Poznamy w nim m.in. proces produkcji kilimów dawniej i obecnie. Kairuan słynie też z wyrobów tytoniowych.

Stolica i starożytność

O długiej i burzliwej historii Tunezji świadczy spore zagęszczenie starożytnych zabytków. Choć ze znanej Kartaginy (główny wróg Rzymu z III i II w. p.n.e.), położonej na przedmieściach stolicy, niewiele zostało, w innych miejscach budowle z czasów rzymskich zachowały się w zaskakująco dobrym stanie. Ruiny amfiteatru w Al-Dżamm zaliczane są do najwspanialszych pozostałości z czasów rzymskich w Afryce. Świetnością dorównują im ruiny w Bulla Regia i Thugga (północna Tunezja).

Stolica kraju, przeszło 600-tysięczny Tunis, nie jest oblegana przez turystów. Mimo to warto poznać tujsze atrakcje: medynę, hammamy (łaźnie), medresy (wspaniałe przykłady muzουλmańskich szkół), Wielki Meczet Az-Zaituna, czyli meczet oliwkowy, czy wreszcie znane daleko poza granicami Tunezji Muzeum Bardo. Miejsce to słynie przede wszystkim z cennej kolekcji mozaik, które powstały na zlecenie zamożnych obywateli rzymskiej Afryki. Bardo warto odwiedzić także ze względu na sam budynek, w którym znajduje się muzeum. To dawny pałac bejów jednej z miejscowych dynastii, z wieloma dziedzińcami, tarasami i łukami.

Większość z nas, wspominając swój wyjazd do Tunezji, ma pewnie problem z przypomnieniem sobie arabskich nazw miejsc i miejscowości. W pamięci pozostaje jednak najprostszy i chyba najprawdziwszy obraz Tunezji. Kraju białobłękitnego – starannie pobielonych budynków oraz błękitnych okiennic i bram wejściowych. Taki widok towarzyszy nam od stołecznego Tunisu na północy aż po dzikie berberyjskie południe, miejsca, które stały się sławne dzięki nakręceniu tam „Gwiezdných wojen”.

Chrystian Ślusarczyk

Krótką, wstydliva historia

Wiele wskazuje na to, że niebawem, po 25 latach, zostanie zakończona budowa ambasady RP w Berlinie. W każdym razie, jak widać na zdjęciu, mury już stoją. Tym samym zamknięty zostanie jeden z najbardziej wstydlivych rozdziałów w historii polskiego MSZ.

Zacznijmy od początku. W roku 1964 Niemiecka Republika Demokratyczna podarowała Polsce działkę o powierzchni 4,2 tys. m kw., położoną w najbardziej reprezentacyjnej części Berlina, przy Unter den Linden 70-72, 400 m od Bramy Brandenburskiej. Zbudowany na niej został biurowiec klasy Lipsk, w którym znalazła siedzibę ambasada PRL.

30 lat później zaczęto w MSZ zastanawiać się, co zrobić z mocno przestarzałym biurowcem – czy go remontować, czy zburzyć i w tym miejscu zbudować nową siedzibę. Wybrano wariant drugi.

Pierwszy konkurs na projekt nowej ambasady rozpisano w roku 1997, w czasach koalicji AWS-UW, przewidując 800 m kw. powierzchni biurowej. Gdy MSZ zaakceptowało projekt przygotowany przez pracowników BBK, wymyślono, że budynek ma pomieścić również Instytut Kultury, a na parterze będą organizowane wystawy itp. Projekt więc przerabiano i powierzchnia ambasady rozrosła się do 1,4 tys. m kw.

Te zmiany akceptował dyrektor generalny MSZ i to on w roku 2000 zdecydował o budowie nowej siedziby. Polscy dyplomaci wynieśli się więc z Unter den Linden, opuszczony budynek zaczął niszczyć i straszyć.

Po zamachu z 11 września 2001 r. na World Trade Center zmieniły się normy bezpieczeństwa zagranicznych przedstawicielstw państw NATO, a projekt ambasady nowych norm nie spełniał. MSZ zostało więc z górą niepotrzebnych planów, za które z powodu wcześniejszych przeróbek musiało zapłacić, bagatela, 18,6 mln zł. Na całą budowę miało zaś 40 mln zł. Dlatego po długich wahaniach i nieudanych próbach kolejnej przeróbki pierwszego projektu powrócono do wariantu modernizacji starego budynku. Ale gdy okazało się, że remont i modernizacja starej siedziby będą niewiele tańsze od budowy nowej, sprawa znów ugrzęzła.

Za Anny Fotygi nie drgnęła, a po Fotydzę MSZ objął Radosław Sikorski. „Jestem przekonany, że w odróżnieniu od poprzedników nie będę potrzebował kolejnych 10 lat na zbudowanie ambasady w Berlinie”, grzmiał 7 maja 2008 r. w sejmowym wystąpieniu. Szef jego gabinetu politycznego, Piotr Paszkowski, zapewniał zaś, że do końca 2009 r. powstanie projekt nowej ambasady i że otwarta zostanie ona w roku 2012.

I co? Jesienią 2012 r. MSZ ogłosiło, że... rozstrzygnęło konkurs na projekt ambasady w Berlinie i wygrała go pracownia JEMS. Z pompą prezentowano makietę, tak jakby był to już prawdziwy gmach. Następnie powołano pełnomocnika ds. budowy ambasady. Ale przyszedł nowy szef MSZ, Grzegorz Schetyna, i go odwołał.

A potem przyszło PiS. Minister Waszczykowski najpierw odrzucił projekt ambasady przygotowany przez Sikorskiego. Potem skierował do prokuratury zarzuty o niegospodarność, przy okazji nazywając hańbą sprawę pustej działki straszącej w centrum Berlina.

Jeszcze później ministerstwo ogłosiło, że będzie budowało ambasadę w modelu partnerstwa publicznego-prywatnego. Ale partnera nie znaleziono. W tej sytuacji 20 września 2017 r. premier Morawiecki zdecydował, że ambasadę zbudujemy sami.

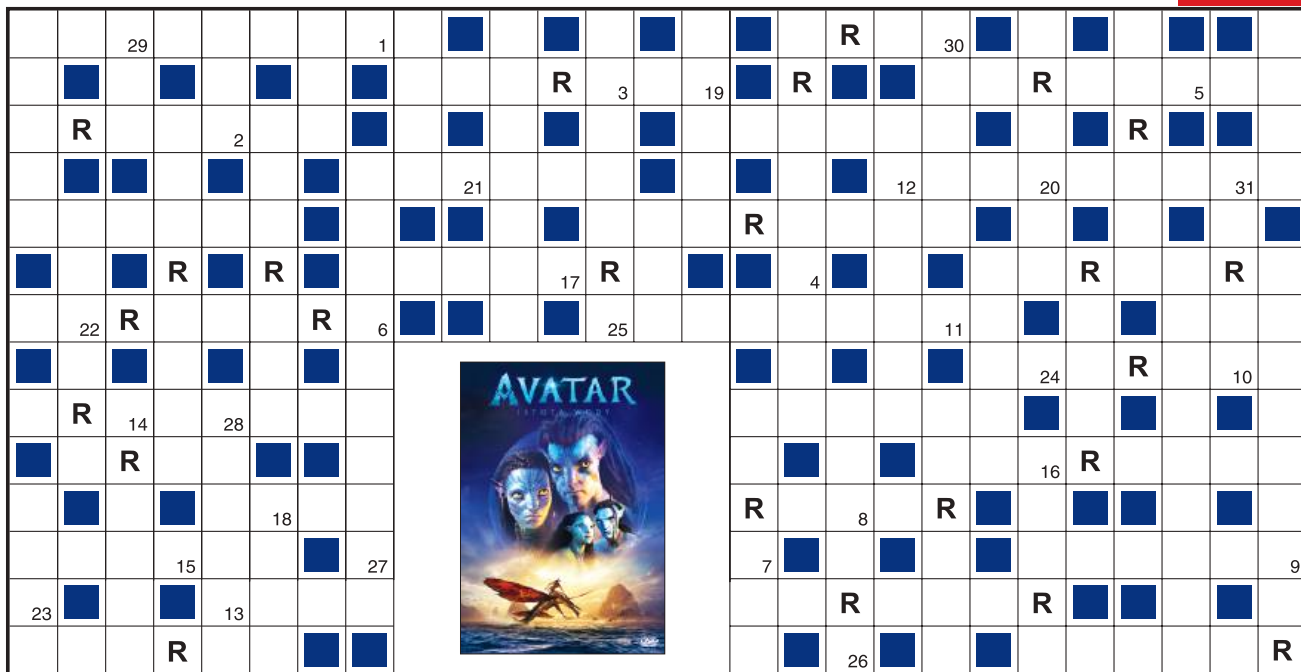
W roku 2020 budowa jeszcze się nie zaczęła. Zaczęły się przetargi. Potem wreszcie coś się ruszyło. I po 25 latach może się doczekamy ambasady.

Czy tak musiało być? Cofnijmy się w czasie. Wiosną 1997 r., kiedy ministerstwem kierował Dariusz Rosati, bardzo zaawansowany był inny plan. Zaangażowany był w niego Deutsche Bank i jego odnoga zajmująca się nieruchomościami. Podpisano nawet list intencyjny. Plan przewidywał, że na polskiej działce za pieniądze DB powstaną do roku 2000 dwa budynki. Pierwszy będzie pełnił funkcję polskiej ambasady, drugi przez 30 lat wynajmować będzie Deutsche Bank. Potem budynek zostałby zwrócony Polakom. DB miał już na niego najemcę – Komisję Europejską, która chciała otworzyć przedstawicielstwo w stolicy Niemiec. Te plany nie zostały zrealizowane. W Polsce głośno przeciw nim protestowano, podnosząc argument, że budowanie ambasady przez obcą firmę jest bardzo niebezpieczne. Kampania na „nie” organizowana przez jeden z tygodników oraz grupę posłów PSL okazała się skuteczna.

Z kronikarskiego obowiązku warto nadmienić, że z tego wariantu skorzystali Węgrzy. Za pieniądze Deutsche Banku na ich działce postawione zostały ambasada i budynek komercyjny, który wynajmuje... Komisja Europejska.

Attaché





1	2	3	4	5	6	7	8	9	10	11	12	13	14	15	16	17	18	19	20	21	22	23	24	25	26	27	28	29	30	31
---	---	---	---	---	---	---	---	---	----	----	----	----	----	----	----	----	----	----	----	----	----	----	----	----	----	----	----	----	----	----

Objaśnienia są podane w kolejności alfabetycznej odgadywanych wyrazów.
Miejsce wpisu do odgadnięcia. Wszystkie litery R ujawniono.
Litery z pól ponumerowanych od 1 do 31 utworzą końcowe hasło.

- prowincja rzymska z prokonsulem w Koryncie
- Marek... – rzymski wódz
- używany jako materiał rzeźbiarski, dekoracyjny
- włącza się przy próbie włamania
- sprzymierzeniec wojenny
- kopalny głowonóg
- oddziela akty przedstawienia
- jego wschodnia część to dziś Bangladesz
- zawodowa, kesonowa lub wieńcowa
- nerka wieprzowa albo wołowa
- drugie... – podtekst

- uwodziciel, lowelas
- dygnitarz w Republice Weneckiej
- stolica kraju związkowego Styria
- kryje rodzinne szczątki
- potężny lyk
- wojak ze skrzydłami
- oznacza drugą niewiadomą
- olimpijskie, a gdy filmowe, to śmierci
- ojciec Danusi z „Krzyżaków”
- prawniczy ekstremista od „Jaszczyra”
- w nim wylaniany najlepszy kandydat
- chodzi bokiem po plaży
- ręczny warsztat tkacki
- miasto nad Łebą
- tafla ograniczona bandami

- miniszko powiększające
- nazywany spadającą gwiazdą
- dokument stwierdzający narodziny
- ciamkanie, cmokanie
- aktorzy grający w filmie
- winny do salatk
- nazwa własna góry (z greki)
- towarzysz, współnik
- o niewykształconym i niekulturalnym
- pierwszy, eksperymentalny egzemplarz
- element zawieszenia łagodzący wstrząsy
- doskonały mówca
- i sieć na ryby, i pułapka, okrażenie
- koncentracja uwagi lub komasacja
- wyciśnięty z owoców, warzyw
- przewodniczy ceremoniom dożynkowym
- konus jako bryła
- chrząszcz z kleszczami na odwołku
- maszynowy – mocno łączy tkaniny
- motyw muzyczny
- wielkie cierpienie, męczarnia
- na nim – z boku, na stronie
- zacisze, odludne miejsce
- potyczka, sprzeczka
- umowa o bezpłatne, czasowe używanie
- imię autora ołtarza mariackiego
- wynalazca zamka bębnekowego
- pracuje przy wzmacnianiu betonu
- kurze, jaskółcze lub angielskie
- zgromadzenie, zjazd
- wielkość mogąca przybierać różne wartości
- komiksowy kapitan MO
- nadaje włosom mokry wygląd
- poręcza za pożyczkobiorcę

KUPON JOLKI „Przeglądu”

hasło:

imię i nazwisko:

adres:

Ja, niżej podpisany(a), wyrażam zgodę na przetwarzanie moich danych osobowych przez Fundację Oratio Recta z siedzibą w Warszawie, ul. Inżynierska 3 lok. 7, 03-410 Warszawa, w celu niezbędnym do rozwiązania jolki w „Przeglądzie”, opublikowania moich danych osobowych na łamach tygodnika w razie wygranej i przesłania mi nagrody. Oświadczam, że zostałem(am) poinformowany(a) o dobrowolności podania danych osobowych, o prawie wglądu do moich danych, prawie do ich poprawiania i usuwania.

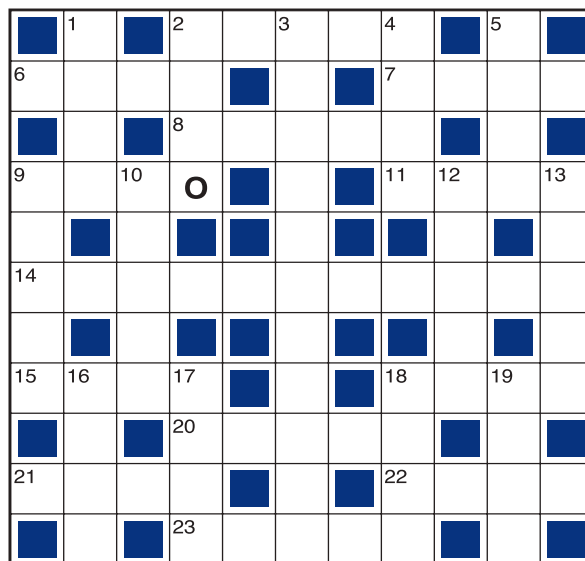
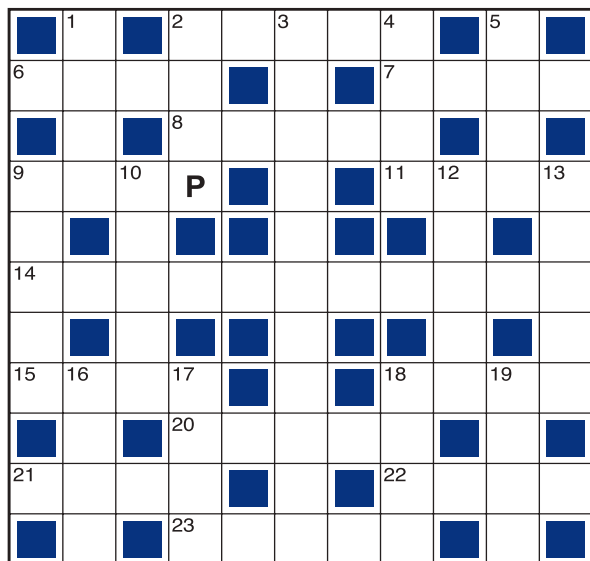
data, miejscowość

czytelny podpis

Rozwiązania samego szyfru prosimy nadsyłać na adres redakcji w ciągu 14 dni od daty ukazania się numeru, z dopiskiem: „JOLKA-1130”. Do rozlosowania DVD „Avatar. Istota wody” ufundowane przez Galapagos. Rozwiązanie można też wysłać, pisząc SMS: KRPRZ.XXX.HASŁO KRZYŻÓWKI. Należy stosować litery, cyfry i kropki, wielkość liter nie ma znaczenia, w miejsce XXX wpisać numer krzyżówki. Osoby nadsyłające rozwiązania wyrażają tym samym zgodę na przetwarzanie ich danych osobowych. SMS-y należy wysłać pod numer 72550 (płatny 2,46 PLN + VAT) do 20 sierpnia 2023 r.

Rozwiązanie „JOLKI-1127” z nr. 30: Zabłąkany nie wskaże drogi.
Nagrody otrzymują: Piotr Borski z Poznania, Elżbieta Lewandowska z Warszawy, Zbigniew Żbikowski z Gorzowa Wielkopolskiego.

Określenia wyrazów zostały podane pod wspólnym oznaczeniem.
Zdecyduj, do którego diagramu wpisać odgadnięte słowo.

**Poziomo:**

- 2) w Indiach lub sędziowska według PiS ■ Marcei ptak
6) np. zwichnięcie kostki ■ finał biegu
7) duet + 1 ■ ...górski to brzost
8) zakładana na kolo ■ pierścień do gry
9) burgund lub malaga ■ okres rozwoju, część drogi
11) żelazne spojenie ■ bywa gęsta jak mleko
14) makulatura, szpargały ■ zbiorczo o RTV, komórkach, drukarkach
15) „...a Marcin powiedział” ■ obóz tatarski
18) wytrzymałość, nieugiętość ■ klub siatkarski z Bełchatowa
20) rabat lub dawany czemuś ■ stan zniszczenia
21) kleszcze rzemieślnicze ■ karane zachowanie na boisku
22) imię aktorki Bołdż ■ turecka waluta
23) skok w karierze ■ ...Zbawienia

Pionowo:

- 1) stwór z Himalajów ■ amunicja na zająca
2) ...prac ■ typ dekoltu
3) instytucja oskarżająca ■ jednoczesność zjawisk
4) najmniejsza cząstka pierwiastka ■ solny lub siarkowy
5) ...kwietna zamiast trawnika ■ „Biały...” Londona
9) rezultat, skutek ■ gaszone do bielenia
10) to, co wprawia w ruch, stymulator ■ poznaje tajniki
12) Balbinka albo zielonka ■ szczeniak lub niejadalny grzyb
13) i ufnosć, i religia ■ liście jako motyw zdobniczy
16) rasowy koń ■ metal w termometrze
17) pieśń operowa ■ w niej wykład, akademie
18) sportowa lub Gąsienicowa ■ sęta drewna
19) stolica Łotwy ■ wydechowa w aucie

SUDOKU

W każdym rzędzie, w każdej kolumnie i każdym kwadracie 3 x 3 powinno się znaleźć 9 różnych cyfr od 1 do 9.

ŁATWE

	4		7	8	6	1	5	
6					2		7	
2	5				1			8
	3		6			2	9	4
9			1	3			6	5
	6							
4	2	3				5		
						4		9
		1		5	7			

ŚREDNIE

		4		7			3	
		1		8		2		
5			3		1			
4		6			7	9	8	3
2								
						6	4	2
	6	9	1		5			4
		3			6	5	1	
		2	9	4			7	

TRUDNE

5	1			6				
				4		8		
4				7		3	6	
		4		1		6	7	
	3	7	2				9	
6						8		
	9		8		1	4		
8		3				7		
				4				

20% WIDOCZNOŚCI

Spróbuj odczytać hasło widoczne tylko częściowo
– to myśli, której autorem jest Winston Churchill.

DLA SIEBIE SAMEGO JESTEM OPTYMISTĄ, DYCIĘ
DLA KOGOŚCI INNEGO JESTEM OPTIMISTĄ, DYCIĘ
KIMKOLWIEK INNYM DO NICZEGO CIĘ NIE PRZEDAJĘ.
KIMKOLWIEK INNYM DO NICZEGO CIĘ NIE PRZEDAJĘ.



PENETRACJE

TRYBUNA PROF. TADEUSZ KLEMENTEWICZ,
POLITOLOG

Polskie jastrzębie i jastrząbki wszystkich formacji od prawicy do lewicy to zaledwie mali pomocnicy Wujka Sama. Żeby chociaż wiedzieli, co czynią. Przecież tylko w wyniku zbiegu okoliczności, jakim był upadek realnego socjalizmu, udało się przesunąć w kolejce do antyszambrowania w Waszyngtonie. A Polska jak była, tak jest gospodarczym zadupiem. Świadczy o tym też sposób budowy fortu Polanda, niemalże taki sam jak cesarza Jeana-Bédela Bokassy: to zakupy na kredyt w magazynach patrona.

odra WALDEMAR ŻUREK,
SĘDZIA SĄDU OKRĘGOWEGO W KRAKOWIE

Sytuacja jest dziś bardzo zła. Neosędziów przybywa, w niektórych wydziałach sądów różnych szczebli są już sami polityczni nominaci, którzy dostali awanse nie za dobrą pracę, tylko za służenie władzy. One spadły im z nieba. Będą się za to odwdzięczać. Są też tacy, którzy dali się zastraszyć. Znam sędziego, który od lat świetnie orzeka, ale mówi ze łzami w oczach, że nie miał odwagi zgłosić zdania odrębnego wobec decyzji neosędziego. Nie podajemy sobie ręki, nie wsiadamy do windy z kimś, kto naszym zdaniem sprzeniewierzył się przysiędze sędziowskiej. Musi minąć pokolenie, żeby to się zmieniło. Zasada powrotu neosędziów na dawne stanowiska jest właściwym lekarstwem, bo eliminuje odpowiedzialność zbiorową. Odpowiadać będą jednostki za konkretne przewinienia – przed niezależnym sądem. Trzeba wymierzyć sprawiedliwość – ku przestrodze.

zwierciadło ROMAN GUTEK,
TWÓRCA FESTIWALI FILMOWYCH,
PROPAGATOR KINA

Żeby zbudować dobry repertuar, trzeba go zaplanować z dużym wyprzedzeniem. Czasami kupujemy prawa do filmów na etapie scenariusza, a nawet wstępnych treatmentów, czyli tylko zarysu historii. I tu pojawia się ryzyko. Wchodzą w grę duże pieniądze. Kupiłem np. film „W stronę Marrakeszu” z Kate Winslet i wierzyłem, że po „Titanicu” jej obecność w filmie przyciągnie widzów. Tylko że to był maleńki film, który nie zebrał takiej liczby widzów, jak zakładaliśmy. Po prostu przepłaciliśmy, ale tak to w tym biznesie bywa.

na szczycie ADAM BIELECKI,
HIMALAISTA

Od wielu lat mówię, że czas podążania po śladach innych dla mnie się skończył. Chciałbym wytyczyć swoją własną ścieżkę w górach. Właśnie eksploracja, czyli szukanie nowych ścian, gór i dolin to jest to, co mnie ekscytuje. Podczas wyprawy w Karakorum czułem się jak sześciolatek w fabryce czekoladek. Wielka dolina pełna niezdobitych ścian i szczytów to dla mnie niemalże Graal uprawiania alpinizmu. Być może jesteśmy ostatnim albo przedostatnim pokoleniem, które ma szansę jechać tam, gdzie przed nami nie było nikogo.



Beata Ewa Bialecka, Pokój dla kobiet zmęczonych



Jacek Sroka, Hunger nach Bildern

INKOGRAFIE | PRACE NA PAPIERZE

„Inkografie | Prace na papierze” to kolekcja inkografii, grafik oraz unikatowych prac na papierze autorstwa współczesnych artystek i artystów: Beaty Ewy Bialeckiej, Ryszarda Grzyba, Pawła Jarodzkiego, Tomasza Kocłegi, Małgorzaty Kosiec, Zdzisława Nitki, Artura Przebindowskiego, Jacka Sroki, Tomasza Wawryczuka i Urszuli Wilk.

Inkografie to sygnowane i numerowane wydruki pigmentowe o standardach muzealnych i archiwalnych. Pierwowzorem inkografii jest oryginał – najczęściej obraz na płótnie. Technika ta wykorzystuje wysokiej jakości atrament pigmentowy i bezkwasowy papier artystyczny ze specjalnym certyfikatem jakości. Edycje są limitowane, 20-50 egzemplarzy, co sprawia, że inkografie są uznawane przez galerie i muzea jako prace kolekcjonerskie.

Galeria Arttrakt

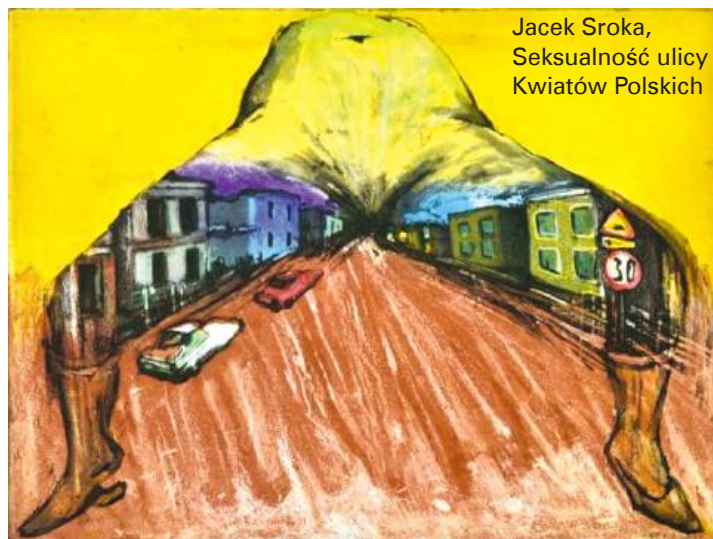
Wrocław, ul. Ofiar Oświęcimskich 1/1
do końca sierpnia



Artur Przebindowski, Bez tytułu 2



Ryszard Grzyb, Konfucjusz i nosorożec



Jacek Sroka,
Seksualność ulicy
Kwiatów Polskich

TOMMY EMMANUEL

CGP

13 LISTOPADA – **BIELSKO BIAŁA** | CAVATINA HALL

14 LISTOPADA – **KRAKÓW** | KLUB STUDIO

15 LISTOPADA – **WARSZAWA** | KLUB STODOŁA

16 LISTOPADA – **GDAŃSK** | FILHARMONIA BAŁTYCKA



BILETY DOSTĘPNE NA: WWW.STODOLA.PL ORAZ WWW.TICKETCLUB.PL



@KLUB.STODOLA



@KLUB.STODOLA

• TEATR CAPITOL •



LUMBAGO

REŻYSERIA OLAF LUBASZENKO
AUTOR JOHN GRAHAM
PŁOŚCENIE ELŻBIETA WIŻNIAK

KUP BILET

www.teatrcapitol.pl

GRAMY W CAŁEJ POLSCE!

Ministerstwo Kultury i Dziedzictwa Narodowego

Dofinansowanie z budżetu państwa na podstawie ustawy o działalności kulturalnej jednostek o charakterze non profit

Patroni Medialni

RMF MAXX

onet

WYKZOSKOPIA

Interia

Robiety

ams

Familie.pl

Polnet

kicket

Obag

mokosh

ARTYSTA WARSZAWA

STREFA MUSIC

TV mzo

qecman

Radio

Radio

Radio

TEATR W TRASIE

CAPITALNE SPOTKANIA ZE SZTUKĄ



II EDYCJA



MAŁŻEŃSTWO TO MORDERSTWO

TEATR CAPITOL, WARSZAWA
NIEDZIELA, 24 WRZEŚNIA GODZ.15:30



LUMBAGO

TEATR POWSZECHNY IM.J.KOCHANOWSKIEGO, RADOM
WTOREK, 26 WRZEŚNIA GODZ.15:30



MAŁŻEŃSTWO TO MORDERSTWO

MIEJSKI OŚRODEK KULTURY, JÓZEFÓW
SOBOTA, 21 PAŹDZIERNIKA GODZ.15:30

SZCZEGÓŁY: WWW.TEATRCAPITOL.PL/CAPITALNE-SPOTKANIA-ZE-SZTUKĄ

Ministerstwo Kultury i Dziedzictwa Narodowego

NARODOWE CENTRUM KULTURY

Patroni Medialni

RMF MAXX

onet

WYKZOSKOPIA

Interia

Robiety

ams

Familie.pl

Polnet

kicket

Obag

mokosh

ARTYSTA WARSZAWA

STREFA MUSIC

TV mzo

qecman

Radio

Radio

Radio